ADOLF NOWACZYŃSKI

FACECJE Z LODOMERJI

(Z CYKLU „MAŁPIE ZWIERCIADŁO")



WYDAŁ ODDZIAŁ WARSZAWSKI
INSTYTUTU LITERACKIEGO „LEKTOR", SP. Z OGR. ODP
WARSZAWA — LWÓW — POZNAŃ — KRAKÓW — LUBLIN
1923

GLADIOLUS TAVERNALIS
(MIECZYK KAWIARNIANY)

Opaliński spał. Sparty obu rękoma na lasce, z podwiniętym do góry kołnierzem płaszcza, kiwał się na wszystkie strony w miarę niespodzianych, podskakujących rzutów jadącego wózka. Młyński w dość niewygodnej pozycji siedział obok i już cokolwiek zmęczonym wzrokiem wodził po okolicy. Wózek toczył się teraz cicho i gładko po wąskiej, piaszczystej, prywatnej drodze między dwoma wysokiemi łanami pszenicy, koła cichuteńko skrzypiały, czasem zawadziły widocznie o przydrożny kamień, wtedy wózek mazowiecki przechylał się i Opaliński wzdrygał się we śnie, aby natychmiast drzemać jeszcze mocniej. Dookoła padały ciężkie cienie i zlegały na łany i lasy, zamazywały coraz gwałtowniej kontury pagórków, dachów wiejskich, chat, drzew, i zwolna wszystko zanikało w ciemnem tle. Jeszcze jakieś ptaszysko jak widmo zerwało się z głębiny pszenicznej, przeleciało nad wózkiem, jeszcze zamajaczyła niedaleko biel jakiejś chyba świeżo wapnionej ścianki chłopskiej, jeszcze tuż nad piaszczystą dróżką postanęły nagle jakby dla strachu stare, potrzaskane wierzby czarownice, poczem powiał nocny, zimnem przejmujący wiatr i ciemny zmrok stawał się czarną ciemnością. Cisza na polach sta-

wała się przenikająca do ostatnich włókien nerwowych. Opaliński spał, „stylowy Maciek", furman drzemał, czwórka fornalska ospałym truchtem waliła po piasku, tylko Młyński gorączkowo, nerwowo, z chorobliwą chyżością myśli kombinował i marzył, rozpamiętywał i planował.

...Tak. Jedzie więc wreszcie do Opalińskich na sierpień, na wrzesień. Mówią, że go nie puszczą aż późną jesienią, aż zupełnie przyjdzie do siebie, nabierze rumieńców, zyska na wadze z 10 klg., a przedewszystkiem pozbędzie się swej newrozy, która go już wnet zrobi kompletnie niemożliwym w pożyciu z normalnymi ludźmi.

Tak... wyrwał się z miasta, z tego nieznośnego, małego pretensjonalnego miasta, nie pojechał ani z papą do Marjenbadu, ani z mamą i siostrą do Krynicy, tylko na wieś, na wieś, na prawdziwą polską wieś w ziemi krakowskiej, powiecie olbromskim, „gubernji" kieleckiej. Ostatni raz na wsi był, hohol jeszcze chłopcem.

Odtąd hamował swoją tęsknicę do wsi, przechowywał w pamięci i tulił starannie wszystkie wspomnienia chłopięce, zawsze rozpamiętywał z lubością i rozczuleniem fragmenty pejzażowe, zachody słońca, cieniste ustronia sadu, wielki leniwy staw z gęsto wyrastającemi jasno-zielonemi trzcinami, wspaniały las dębów i buków, ziemię zasłaną bukwią i żołędziami, przypominał sobie jakieś olbrzymie ruskie dynie, panoszące się olbrzymiemi, okrągłemi, zielonemi cielskami wśród żółtych ogórków, mały, jasnozielony „lasek" końskiego zębu, jakieś cztery pokrwawione cielska dzików, rozłożone na jodłowych gałęziach, panów starych ze strzelbami, pochylonych nad dzikami, potem jakieś ulewy, deszcze, potopy, żółtą wodę, podpływającą

potwornemi falami pod same szyby werandy, płacz pań wszystkich, modlitwy gromadne przed obrazem Matki Boskiej... Wszystko to w niknących akwarelowych barwach przesuwało się teraz błyskawicznie przez pamięć Młyńskiego.

Niektóre z tych wspomnień traciły nawet mglistość i rozwiewność, a nabierały niespodziewanie teraz intensywnych barw rzeczywistości: o ta ukochana weranda z różnokolorowemi szybami, z której schody kamienne wiodły w ogród, z której roztaczał się w nieskończonej perspektywie widok na rozlewającą się szeroko rzekę, obramioną wiklinami i olszyną, pełną tajemniczych wysp, wysepek i półwyspów. Słońce świetliło szyby werandy, i na kamiennej posadzce kładły się jasne, ale jakby chore, blado-fioletowe, blado-czerwone, żółte, zielone plamy. Na brudnej, starej poduszce spał olbrzymi mendog z wyciągniętemi łapami, z wywieszonym od gorąca językiem, w całym dworze była cisza poobiednia, wokół werandy przewijały mirjady lotnych stworzeń z tem cudownem: zum zum zum, melodją elfów rozigranych w sennej sferze. Na szerokich stołach werandy suszył się po gospodarsku rozłożony głóg „na marmoladę", jak mówiła stara Strycharska, a on wtedy młody chłopczyna, blady Polo z miasta, rozciągnięty na dywanie w spiekocie lipcowego słońca wchłaniał te kolosalne, niesłychane: „Tajemnice Afryki", autora? Ech, wtedy go przecież nic a nic nie obchodził autor! Obchodziły go sprawy oranżerji i starego Strycharskiego ogrodnika, obchodziły go haszcze i wertepy i wszystkie wyspy na rzece i ich tajemnice, obchodził go młynek, jaki sobie zbudował, ogródek, jaki dla jego zabawy mu odgrodzono, obchodziły go wszystkie roboty w polu, czyszczenie stawu

z gnijącego zielska, wreszcie nawet ta olbrzymia krowiarnia, długa ciemna, wysoka, nad wieczorem pełna głośnego przeciągłego ryku. Obchodziło go jej misterjum tajemnicze, te dwa olbrzymie byki, zamknięte osobno na kłódkę z wzbronionym dostępem dla dzieci. Dlaczego?

I Młyński zaśmiał się cicho do siebie. Tak, tak, to był pierwszy poważny problem dla chłopięcia; dlaczego te wspaniałe byki zamykano jak więźniów, jak zbrodniarzy w komorze, a dlaczego te niezliczone krowy, rozlegiwające się tak wygodnie na brudnej słomie, miały tyle wolności?

Drugi problem był wnet po pierwszym religijny, buntowniczy, ateuszowski; w piętnastym roku życia opadła zeń wiara, jak za szeroki jakiś płaszcz bez szelestu, bez śladu. Teraz wierzył już tylko raz na rok, prawie perjodycznie, dosłownie jak mówi przysłowie koło Wielkiej Nocy, kiedy z rodziną po krakowsku odbywali t. zw. „Familien Festgang" na Rezurrekcję. Stary hofrat brał wtedy imponujący kołnierz z wystającemi rogami, do kieszeni zarzutki jedwabną chustkę ponsową, miał pysznie uczesaną głowę i siwe faworyty, hofratowa atłasowo-koronkową mantylę, a obaj bracia, pan komisarz starostwa, syn solidny, poprawny i drugi „artysta", „dekadent", „filozof", i „djabli wiedzą co", a właściwie jak papa definiował „nieudała bistja", „kawiarniana pflanca"... konwojowali siostrę.

I kiedy bywało cała rodzina siedziała w stallach gotyckich, kiedy w obłokach dymu kadzielniczego z ciemności w blasku świec i żyrandoli z głębi wielkiej, ciemnej nawy kościelnej zaczęły wyłaniać się chorągwie, feretrony, krzyże, figury, wszystkie dzwony gotyckiego tumu jęczały staremi, pordzewiałemi sercami,

kiedy pod wielki ołtarz zbliżała się procesja, w szereg ustawiali się żołnierze, podchodził baldachim, przed nim dziewczątka z kwiatkami, a pod nim w gronie proboszczów w złocie i fiolecie sędziwy starzec biskup siwy z twarzą ascety, z monstrancją w dłoniach... wtedy i młodszego Młyńskiego opanowywało jakieś rozczulenie, jakiś żal, ból, jakaś duma i radość, że i on należy do tej wielkiej gminy... Robiło mu się gorąco, czerwieniał, bladł, w blado-niebieskich oczach szkliły się łzy, dusza mu się modliła stare „Ojcze nasz", serce biło, niepokój go ogarniał, budził się w nim *unus defensor Mariae*, praprawnuk szaraczków kresowców, odpędzających poganina i szepczących Zdrowaśki. I dopiero spojrzenie w bok na hofrata gładzącego lewy faworyt przyprowadzało go do równowagi, zlewało mroźną wodą, oswabadzało go z „katolickiego transu". Łzy gdzieś znikały, prostował kark zgięty i rozpoczynał przerwane kokietowanie pierwszej lepszej mieszczaneczki z brzegu. Czy nie tak?...

Młyński jakby westchnął.

Wózek wjeżdżał, trzęsąc się po większych kamieniach, w niskie opłotki, między chłopskie ogródki. Z niedaleka żółciły się jaskrawo okna chałupin, gdzieś na podwórku zrozpaczony pies wył w noc bezksiężycową, chłód był przejmujący. Wózek utknął przed dłuższym domkiem na podmurowaniu, karczmą, Maciek zeskakiwał z siedziska, Opaliński się budził.

...A co tam, Maciek?

...Imbratowice, jaśnie panie, ino zapałków zabiorę u żyda.

...Spał pan? pytał Młyńskiego Opaliński, bo jam się troszeczkę zdrzemnął.

...A trochę, więcej rozglądałem się.

...O noc, zimno, myślałem, że wcześniej będziemy. Trzeba było zaraz po obiedzie z Krakowa wyjechać. Maciek, długo jeszcze będziesz nami podrzucał, huncwocie!

...A jesce dobra godzina będzie. Ano byle tylko, jaśnie panie, stróż Lupusa potrzymał w budzie, bo inacej będzie źle...

...Ano ma przykazane. Wal w imię Boże dalej, ale już nie żałuj, bo późno. Kostnieje się z zimna.

Opaliński spojrzał na zegarek przy świetle zapałki; była dziesiąta, wózek raźno ruszył w drogę. Drzwi karczemki jeszcze otwarły się, szeroka smuga światła padła na drogę, ciekawy żyd stał w progu, kłaniał w pół i życzył szczęśliwej drogi jaśnie dziedzicowi. Opaliński zasypiał na nowo. Młyński oparł się wygodniej o siedzenie, poprawił skórzanego fartucha, przymknął oczu, próbował zasnąć, starał się na moment nie myśleć, znów otwartemi oczyma wpatrzył się w ciemność, wreszcie wyciągnął papierośnicę i po chwili rozpamiętywał znów dalej, zasnuwając się obłoczkami dymu.

...„Jaśnie panie", tak, „jaśnie panie"! ładny tytuł, wogóle przyjemnie to mieć wieś, własne konie, stangreta... Co to przyjemnie, to rozkosz, to jedyne życie, inne to wegetacja, a to „ich" życie, no to już parodja. I Młyński cieszył się na myśl samą, że najpiękniejsze miesiące roku przepędzi teraz na wsi i to na wsi, gdzie jest podobno ogromnie starodawny dwór polski i gniazda bocianie, i ogrodnik oryginał, i sad ogromny z mnogością owoców, i stadninka koni na folwarku, i chłopstwo nie gangrenowane polityką, i fara, i cmentarz przy farze, i ksiądz starodawny, i okopy szwedzkie...; dla siebie będzie miał konia karego dobrego chowu i li-

nijkę, wózeczek na dwie osoby i pokój z widokiem na podwórze folwarczne, czworaki pachciarza i wieś. Aż zaciągnął się silniej dymem tytuniowym, taka radość go ogarnęła, taka nadzieja wolności, bujania, śpiewania, jeżdżenia, ruchu, taka żądza bratania się z naturą, tarzania po trawie, snu na wonnych, ciepłych mchach leśnych, żądza rwania kwiatów i owoców, zbierania jagód, zwożenia zboża, wszelkiej, bylejakiej roboty chłopskiej.

Spluwał ze wstrętem za wózek, gdy mu coś szeptało: rozegzaltowany mieszczuch, mieszczuch!! Irytował się, gdy mu refleksja ironicznie tłumaczyła do ucha, że... przecież... mój kochanku, wieś wszyscy lubią, nie tylko ty, nieboże, ale na krótko, na kilkadziesiąt dni w sezonie letnim. Natura bez kiosków z grenadiną i lodami prędko się znudzi. Las jest czarowny, gdy ma ścieżki, aleje, pawilon z muzyką. Chłopstwo bądź co bądź jeszcze śmierdzi. Urok wsi większy jest w drukowanych powieściach zdolnych panów, niż w rzeczywistości. Przekonasz się! A Młyńskiego pasja brała na ironizowanie nieodstępnego towarzysza sceptycyzmu, który mu jeszcze przed używaniem tych rozkoszy marzonych sączyć zaczynał truciznę. Otrząsnął się, jakby chciał zrzucić z karku gniotący go koszmar... W każdym razie pożądana zmiana w repertuarze życiowym. Ani nie został w mieście, ani nie pojechał z paniami do Krynicy, czy jakiegoś innego Zakopanego, gdzie miejskie banalne głupie życie dostaje tylko inne tło zielone. Nie potrzebuje grać w tennisa i z warszawskiemi panienkami oblewać się potem w słońcu, nie potrzebuje obtańcowywać po reunionach histerycznych mężatek i rozwódek, nie potrzebuje zaznajamiać się z setką błaznów wysmokingowanych byle siostry i ku-

zynki miały danserów, nie będzie ani „promenował", ani „emablował", ani „flirtował", nie będzie miał bezwarunkowo żadnego... „stosunku", bo przecież na Kaśki i Małgośki ani popatrzy. Będzie pił mleko, odrestauruje się, może opali w słońcu i... Wrócisz znów, kochaneczku, w miasto, będziesz dalej niby trenował się w filozofji, pisał sonety, grywał w bilard, siedział godzinami w cyganerskiej kawiarence Schultza, spijał czarne kawy, włóczył się po spelunkach i wracał nad ranem do domu... Hehe... No nie?... Pamiętasz wróżbę tego arcygenjalnego poety, co to był do niedawna waszym królem i prorokiem. Pamiętasz?

I Młyńskiemu zamajaczyła przed zamkniętemi oczyma dziwaczna scena kawiarniana. Wiosna, ciepło, przed kawiarnią przy stolikach nieco publiczności, w sali kawiarnianej stoliki puste, tylko w bocznym małym pokoju przy oficjalnym stoliku młodej literatury niedbała grupa młodych i starszych ludzi o nazwiskach znanych i cenionych kandydatów do nieśmiertelności... prowincjonalnych...

Przy turkocie kół podkutych mazowieckiego wózka Młyński jakby słyszał teraz cichym, przyduszonym głosem wymawiane słowa genjalnego poety z czarciej łaski, tego nawskroś kosmopolity, który był przytem tak polskim z krwi i kości, tego rozlewnego kabotyna o skroś Mesjaszowych gestach...

...Tak mi was żal, robaczki, tak mi was żal, że tu taki dokoła przesmutny zmierzch bogów, że tak wszyscy schodzicie w nicość na psy, na nędzę, na pośmiewisko, że tak tu siedzicie i siedzicie u tego Schultza i tak was ta przeklęta melancholja gryzie, ten niepokój szarpie, ta nicość zabija, tak tu gnijecie, butwiejecie, jak opadłe liście jesienne na drogach, w tem starem

mieście, głupiem, wstrętnem mieście. Ta Wisła stara święta płynie i płynie, już ze starości żółta, brudna, leniwa, zniechęcona; a od niej idzie na miasto, na dusze wasze, robaczki, malarja, taka duszna, paskudna krakowska malarja, taka trupia atmosferka marnych upodleń, drobniusich podłości... A wy, robaczki, w tej malarji dusicie i dusicie się, tracicie resztki sił na walce z niskimi ludźmi. W tej kawiarni toście się tak pokryli, tak tu uciekacie przed tą malarją miasta, tacyście jak te kwiaty oranżeryjne, dusze biedne, chore, ale i do tej kawiarni za wami szczelinami wchodzi zgniłe powietrze malarycznego miasta. I poginiecie biedne kawiarniane pflance, choć tu i będziecie ciągle uciekać! A ta kawiarenka stanie się waszem przekleństwem, waszym upadkiem, waszą doliną śmierci!!

I widział Młyński przed sobą twarz bladą, prawie męczeńską pełną niewysłowionego cierpienia z dobremi oczyma dziecka, twarz tego pół-maga, alkoholika, prawie cygana i prawie anioła, opromienioną nieziemską ekstazą i już po dwóch... butelkach Vermouthu. A koło niej schylone, zasłuchane, zasępniałe, zrozpaczone, szydercze, nieznane jeszcze z pism „obrazkowych dla narodu“ twarze...

Więc ta chuda o piekielnie czarnych oczach i zaciętych wargach góralskiego wyrostka płonącego buntem, rzucającego burżuazyjnej krytyce i czytającemu filisterstwu już drugą powieść chłopską z życia wynędzniałego ludu. Genjalna bestja, głupia, pseudonymująca się symbolicznie: Huraganem...

Więc ten nie nerwowo a kurczowo skubiący bródkę „uważasz pan“ *gourmand* i *connaisseur* poezji, wytworniś, prawie obtargany egzemplarz ludzki, mówiący siedmioma językami, pijący dla oszczędności

herbatusię z mleczkiem, a szastający się po całej Europie, gdzie coś z wielkiej sztuki ostało się przed wandalizmem hotelowej kultury.

Młyński przeglądał w pamięci całą tę galerję schodzącą się tu od wielu lat. Przez mały pokoik kawiarenki Schultza przesuwało się po pokoleniu pokolenie. Przeszli tędy z wystającemi uszyma od butów, klnący i plujący pierwsi społecznicy egzaltujący się chłopem i nędzą, pionierowie Tatr i pierwsi chorąży czerwonego sztandaru, obecnie dymisjonowani idealiści „adjunkty", „koncepisty", adwokaty. Przeszli drudzy „modern vom Scheitel bis zur Sohle", trawestujący po naszemu Verlaina i Beaudelaira, indywidualni bez oryginalności, ale szczerzy, entuzjazmujący się czystem pięknem, a upijający się czystym alkoholem w każdym nieparzystym dniu kalendarza, już krytyczni względem socjalistycznych mrzonek młodzieńcy. Przyszła i trzecia nuança pokolenia, globetrotterzy krajowi, estetki w czarnych aż po uszki szlipsach, awanturniczych fryzurach, wyperfumowani twórcy kopy sonetów o łabędziach, lwach, stawach, nenufarach, gryfach, królewnach, reklamujący afiszami swoje „zbiorki", jeżdżący po prowincjonalnych miastach z odczytami o sobie, piszący anonimowe bałwochwalcze krytyki swych poezyj, wyuzdani karjerowicze młodociani, aktorzy najmłodsi...

Sam Młyński miał „indywidualność" z tych trzech nuanców skombinowaną. Mimowoli uśmiechnął się; tak jest, on świeżutka firma literacka, dopiero „wielce obiecujący" a jeszcze nie „ogólnie ceniony" zalicza się już do tych, co przeszli i już ma zdecydowaną antypatję do tych, którzy wchodzą za nim. Wcześniej I przypomniał sobie rozmaite sylwety tych, których zostawił

tam w tyle za sobą, w kawiarence, przy stoliku, w mieście, w przeszłości. Ot, teraz po 10-ej będzie kwadrans. Schodzą się już na nowo. Długi, suchy, z pomarszczoną jakby wygryzioną twarzą, Jenakowski, emerytowany radykał, remanent starego pokolenia, encyklopedja dziennikarska już siedzi, jak zwykle po kolacji, czyści zęby wykałaczką, płucze się herbatą i czyta „wstępny" z Figara... W Krakowie... Figaro! Koło niego chudziutki, niziutki, genialny kryptografista, talmudysta o oczach niezapominajek czyta „naczelny" z Timesa. Politykują. Jeden ziewnął, drugi za nim, zapalają papierosy. Gaz syczy. Przy sąsiednim stoliku pan pułkownik w cywilnem ubraniu, „sztamgast" od lat 14, dłubie w nosie, zakrywając się Journalem, pewny, że go nikt nie widzi. W bocznej sali tłuką kije bilardowe, bile upadają na ziemię. Do kawiarni wchodzi Sielawa Łakomyski, sataniczny mentor wszystkich n u a n c ó w pokolenia, wchodzi z dwoma czy trzema młodziankami, którzy uwielbiają w nim „potężną indywidualność". „Potężna indywidualność" jest skrachowanym prawnikiem, udziela się w prywatnej guwernerce, nadto jest rodzajem pokątnego doradcy młodych gejsz i aktoreczek „poszukujących" stajenki. Nadto gra dobrze w winta, pisze od siedmiu lat studjum o „Monnie Lizie", „którą musi zresztą kiedyś pojechać zobaczyć, choć to do entuzjastycznej pracy wcale nie potrzebne". Łakomyski wygimnastykował się na paradoxach i od kilku lat imponuje zawsze nowo przybyłym gościom paradoxami w aktualnym sosie. Za to idą koniaki, wódki, pjolter. Łakomyski wpada w trans, majaczy o przodkach kasztelanach... coś tego, z kresów, z daleka... Szelma ten Niesiecki, świniarze te herbarze, nic o Lakomyskich

nie piszą... a tu tylko rasa coś warta!... feudalizm, pańszczyzna, „a tyś milczał syn szlachecki!", precz z aptekarzami i mydlarzami i wogóle!... Pijany Łakomyski zwykle gada i gada, młodzieniaszki mruczą między sobą: „zawsze to genjalny łeb! szkoda go!" Łakomyski, który mimo pijaństwa podsłuchuje zawsze, śledząc efektu, podnieca się entuzjazmem blambeków, każe sobie fundować, pije znów, uczepia się kogoś upatrzonego, wyrzuca mu brak talentu, zaczyna mówić o Dostojewskim, „którego się bądź co bądź przeczyta, choć to zbyteczne, bo już te szelmy Niemcy tyle o tem popisały". Potem znów pije, śmieje się po szatańsku, łzy ma w oczach, histeryzuje, blednie, słania się i z pewną regularną monotonją powtarza się scena zaśnięcia „potężnej indywidualności", płacenia zań i odprowadzania go do domu. Reszta do głębi wstrząśnięta upadkiem moralnym tak „kolosalnej inteligencji" pójdzie do kochanego Spatza, w lupanar Spatza, gdzie „przy piwie i przy Meli, wszystko się rozweseli"... jak mówi żeński portjer domu dam — dających, kochana Franusiowa...

Młyński wzdrygnął się. A jednak może i ten Sielawa-Łakomyski to także tylko ofiara malarji, ofiara czasów przejściowych, ofiara fatalnie dobranego milieu? Koniec końców Łakomyski z tą całą swą degryngoladą moralną czuje się zupełnie szczęśliw, brawuje nią gdzie może, upija się tylko wtedy, gdy moc dekadentów wszelkiego fasonu się zeszła, a jego blednięcie, nastroszenie włosów i *speak* sataniczny wywołuje wielką sensację wśród zebranych. Urodzony kabotyn... mruczał Młyński przez zęby, kasztelanów zna i lubi z powieści, uczy bębny z arystokracji jak egzaminowany bakałarz, a po kawiarniach Tartuffe zmienia

się na Masynissę i daje lekcje praktycznego cynizmu po cztery koniaki za godzinę. Urodzony bakałarz i tyle...

Młyński „gasił i tępił" Łakomyskiego, sympatyzując z nim serdecznie. Czuł czasem obrzydzenie do tego specyficznie modern upodlenia, które pozwalało alkoholikowi tracić kompletnie przytomność, a równocześnie załatwiać rachunki osobiste, nawiązywać intrygi, zdradzać tajemnice, naciągać na fundowanie, grać wyrafinowanie na nerwach młodzików, imponować erudycyjną swadą i kradzionemi frazesami filistrom od bocznych stolików. Młyński tępił jezuicką naturę Łakomyskiego, ale rozkochany był w jego błyskotliwości, a nawet w jego starych, zwietrzałych paradoxach. Gdy myślał o nim, wstręt go brał estetyczny, gdy siedział z nim, radował się z jego triumfów, śmiał ze śmierdzących lupanarstwem dowcipów, podziwiał manifestacyjnie jego paradoxy i „podpierał autorytet" potężnej indywidualności z kawiarni Schultza. Tak płynęły lata zamtuzowych „burz i rozpędów". Łakomyski twórczość nowelistyczną Młyńskiego nazywał „kleceniem ramot", jego sonety „karmelkowym symbolizmem", zazdrościł mu marnej dziennikarskiej sławki. Sam zaś nie pisał, nie chcąc się „prostytuować z krytyką". Młyński od czasu do czasu, gdy go ambicja ugryzła, urządzał wobec plenum kawiarnianego obalanie „potężnej indywidualności". Zaczynali od przycinków, poczem Młyński głosem chrypliwym z wściekłości a zwykle z pozorną flegmą mówił mniej więcej: „Wiesz, Gustaw, znudziłeś *mnie* już okropnie, powtarzarz się, kokietujesz *mnie* ciągle jednakowo, nie bawisz *mnie* już. Tańcz już koło kogo innego, masz tu panów naprzykład... (i tu wskazywał na liryczną smar-

katerję) — możesz ich bawić, puszczam cię! Filip, dwa koniaki panu Łakomyskiemu. I pasja u obu rosła. Zaczynał się pojedynek pyskaty dwóch reprezentatywnych i czołowych jednostek kawiarenki Schultza. Kończył się prawie regularnie tem, że Młyński zaczepiał szyderstwem ryngraf z Matką Boską, który Łakomyski kupił w starej antykwarni i powiesił nad łóżkiem swem obok wykrojonych z pism baletnic i aktorek. Łakomyski zwykle uroczyście, ale tylko na zapytanie gościa opowiadał... Ten ryngryf? o tak! stary! to jeszcze po moim prapraszczurze ś. p. Szymonie Sielawa Łakomyskim kasztelanie... (raz było zakroczymskim, raz wprost... połanieckim). No, a ten dywanik nad łóżkiem Łakomyskiego? Ten był jakby kolosalną symbolizacją jego „potężnej indywidualności": na środku krucyfix od Ojca Marchand T. J., dany przy maturze, pamiątka jezuickiej edukacji, przy nim z prawej Loie Fuiller, z lewej księżna Chimay, naga jak Mojżesz w koszyku, przy Chimay Budha, Dostojewski, Wenus Medycyjska, Nietzsche, medaljon Zygmunta Krasińskiego, wachlarz z gejszami operetkowemi, Tołstoj, ryngraf z Matką Boską ś. p. kasztelana, dalej wprost tanie obrazki z nagościami, rewolwer zardzewiały, butelka pękata z wina Chianti... Więc przy scenie, jaka w kawiarni między nimi wybuchała, Młyński drwił zwykle z antykwarskiego ryngrafu, Łakomyski trzasnął coś złośliwego o starym hofracie, zbydlęciałych sferach biurokratycznych i awantura była gotowa. Młyński, który ojca starego biurokratyczności austrjackiej w stylu nie znosił, zapalał się w obronie papy i zwykle rżnął butelką, talerzem, tacą, herbatą w głowę „indywidualności". Wybuchał „szkaradny szkandał" jak mówił kawiarz Schultz. Dwa razy miał być nawet pojedynek.

Raz Łakomyski dostał coś w rodzaju epileptycznego napadu, jak jedni twierdzili „prawdziwego", jak inni: absolutnie grał, bowiem podczas napadu wyleciały mu „przypadkiem" z kieszeni dwie fotografje cudownie pięknej kupcowej miejskiej z fałszowanemi napisami: „Memu Guciowi" i „Jedynemu Mojemu Bebé Guciowi Jego do końca Ala"... Przypadkiem... Znamy się na tem...

I Młyński roześmiał się serdecznie, prawie na głos w tę ciszę nocną, w której teraz słychać było bulgot i plusk wody, uderzającej o kamienie. Wózek wjeżdżał na most drewniany i toczył się z małym stukotem czwórki fornalskiej. Opaliński oczywiście spał jak na edredońskich puchach, Młyński nachylał się do Maćka.

...Daleko jeszcze, Maćku? szeptał, częstując go papierosem.

...Dziękuję. A bendzie, prosę łaski pana, nie cały kwadranc. To Gorzałkowice, a po Gorzałkowicach to my...

Młyński głęboko odetchnął. Jakiś ciepły wiaterek wionął im w twarz od pól. Z prawej jechali wzdłuż rzeki czy rzeczki, zgiełk i szum czyniącej. Patrzył w wodę, a z pośród fal i bulgotań zaczęły mu się układać jakieś urywki melodji, urywane akordy i zwolna łączyć się w jakąś melodję półznaną. Taką melodję najpierw niejasną, potem coraz więcej wiązaną, wreszcie znaną, zwykle ulubioną, czy ostatnio ulubioną gra zwykle nerwowo wyższym gatunkom ludzi stukot pociągu, gdy się jedzie w samotnym opuszczonym wagonie... grają fale rzeki, gdy się w nie wsłucha, gra szum lasu poobiednią porą.

Młyńskiemu fale cicho bulgoczące grały „Impromptu" młodego Turbii, tę ukochaną przez wszystkie



kwiatki kawiarniane melodię melancholijną o jednym motywie monotonnie rozprowadzonym, a tak przejmującym, że trudno się było wypierać wzruszenia, jakie wywoływała. Młyński młodemu samobójcy dodał słowa równie bolesne, niestety już rozśpiewywane przez dyletanckie panny na dobroczynnych koncertach: Połóż dłonie... na me skronie, patrz jak płonie z bólu, z łez...

Rzeczka grała teraz jakby melodię „Impromptu". Biedny Turbia taki mały, wątły, delikatny, z główką Mozarta biegał w Krakowie po lekcjach, uczył gam głupowate bachory mieszczańskie, między jedną a drugą lekcją wpadał do Schultza na koniak czy wiśniową, a każdy zarobiony złoty zanosił „Miśce", okrutnie tęgiej blondynce, czytającej namiętnie Forsmajera i wypijającej jednym haustem butelkę piwa. Kochająca Miśka poszła do szpitala na dłuższą „willegiaturę", mały Turbia wypisał „Impromptu", zagrał raz wpółpijanym, „młodym". Na drugi dzień poszedł na żelazny most malarycznej Wisełki, „wziął" i utopił się... i został, jak mówił płatniczy Filip, za samą pomarańczówkę winien 16 złr., „a to nie ładnie na takiego pana muzyka utopić się na śmierć, a nie zapłacić przódy". Stolik literacki od Schultza fundował Turbii na ostatek jeszcze pogrzeb. Bez księdza, za 25 złr., bez dziadów, latarń ukrepionych szła za karawanikiem garstka wyśmiewanych przez motłoch małomiejski bladych, znękanych nadludzi, z podniesionemi w ten ohydny dzień listopadowy kołnierzami zarzutek... nadto kilku muzyków, kilku uczniów. Nad grobem przemówił Łakomyski, zaczął od słów: „Nasz to obyczaj cierń w życia przeciągu kłaść im, laur aż na posągu"... w środku mowy załkał rzewnemi łzami, na chwilę przerwał, poczem mówił dalej.

Wszyscy byli pewni, że załkał szczerze. A Młyńskiemu zwierzył się tylko przed pogrzebem, że o ile będzie na pogrzebie pewien mecenas sztuki w mieście, handlarz trumien Wesołek, to w środku mowy on sobie ryknie rzęsnym płaczem, bo chce handlarza trumien naciągnąć na weksel.

Cyganerja... och, cyganerja! mruknął Młyński wesoło. Miłe to życie... tak, ale jednak... wogóle... musi raz reakcja zacząć się na to życie. W tem tempie tej komedji samozniszczenia grać nie można. Do pracy normalnej przystosować się już nie mogę, koncepistą c. k. fiskusu nie zostanę... ale jakąś przeklętą pracę trzeba będzie sobie wynaleźć, trzeba będzie więcej tych ramot smarować, rżnąć powieści na fejleton na masło byle tylko zerwać z tem dotychczasowem, nocnem życiem, z tą kawiarnią, z tymi włóczęgami i awanturami, z tymi od przypadku poznawanymi jegomościami z knajp. Teraz jest najstosowniejsza chwila do tego. Na wsi nabierze allurów wiejskich, zaprzyjaźni się z naturą, prawdą, czystością, swobodą, nabierze wstrętu do tej atmosfery małomiejskiej dymnej i przesiąkniętej gazem i aromatem wódek, kawy, do tego grania w marjasza z semi-kokotami, do orgji pijackich z gejszami operetkowemi na koszt ich „starych". Zerwie powoli ze wszystkimi, zmieniając zażyłość na sztywną znajomość. Raz na tydzień zajdzie do kawiarni na gazetki, teatr ograniczy do minimum, wogóle zwolna przedzierzgnie się z bohemiena prowincjonalnego miasta na sztywnego gentlemana, co osiadł z konieczności od niego niezależnych w prowincjonalnym Krakowie. „Kawiarnianą pflancą" nie będzie, nie będzie nigdy! Przypomniał sobie tego nieśmiertelnego koncypienta adwokackiego, kolosalnie utalentowanego, wykształconego, mądrego

pana, zawsze z parasolem, czy deszcz, czy pogoda, w ogromnie wielkich okularach, zgarbionego, o błotnej cerze. Ten osobnik siadywał u Schultza przy swym stoliku od 5-ej popołudniu mniej więcej do 12-ej, czytywał 86 pism, robił notatki w ceratowym notesie; jadł jaja na twardo, popijając... czarną kawą. Od czasu do czasu pytał się tylko Franka czy Felka, swoich faworytów pikolów: „czy parapli mój na miejscu?" albo podnosił okulary z nad pism, wpatrywał się w amplę gazową i podsłuchiwał rozmowy z pobliskich stolików, podsłuchiwał „fal życia". To egzystencja! Hehehe. To okaz flory kawiarnianej! Albo ci dwaj szachiści! co dzień przychodzili po 10-ej i prawie nic nie mówiąc do siebie siadali w rogu, dawano im herbaty i grali w szachy do 12-ej, jak płatniczy twierdził od lat szesnastu, odkąd „nastał do tego sakramenckiego interesu, gdzie gazeciarze chodzą". Albo ten sportsman w cyklistowskiem ubraniu, który brał do ręki pierwsze lepsze pornograficzne pisemko, naprzód wpisywał dowcipy do zielonego notesika, potem zasłaniał się i spał, nim wreszcie o 2-ej decydował się rozbudzić i wracać do domu. Albo ten stary dziwak, który tu przychodził z całemi tomami Dumasa, jadł ciastko z kremem i wodę „żhudlaną" i czytał powieści aż do zamknięcia lokalu, do „fajeramtu". „Zamykamy budę, proszę dobrodzieja". — „Daj mi jeszcze ciastko z khemem i zamknijcie salon o czwahtej", mówił siwiuteńki gentleman, zdejmując z najzimniejszą flegmą trzewiki — „albo nie dawaj już khemowego, a zagrzej buciki na piecu". I Lorenz brał lakiery starego wytwornisia, który bywał na dworskich balach Napoleona III-go, wodził tańce w Hofburgu, klepał *Dumasa pére* po plecach, a teraz czytał jego; „Naszyjnik królowej" u —

Schultza. To orchidea kawiarnia dopiero, myślał Młyński... Ale ja? Nie! Nie będę nią nigdy!

...Proszę łaski pana, możeby jaśnie pana troncnąć bo już Bogusowice. Ino co dworu nie widać...

Młyński drgnął cały, jakby przebudzony z ciężkiego snu. Tak był na jawie pogrążony w tych obrazach z ostatniej przeszłości, tak je żegnał czule, jakby się z nimi nie mógł rozstawać. Rzucił w rów papierosa, trącił dość mocno Opalińskiego.

...Panie Jerzy, już jesteśmy w Boguszowicach!

...Co? aha! już, tak, tak, wielki czas do djabła. No musi pan być potężnie zmęczony, zato będzie pan spał... Maciek, brama otwarta? Z niedali dolatywało mrukliwe poszczekiwanie psa i brzęk łańcucha, jakby wodzonego po ziemi.

...Brama widzi mi się tak. Ino konie się już zdragajom jaśnie panie, bo beskurdzyja Lupus sam lata...

Wjeżdżali w aleję dworską; w dali widać było jakieś bardzo jasne plamy świetlane. Zresztą cisza, dziwna nabożna cisza, a tylko konie raz po raz z niepokojem parskały i brzęk łańcucha stawał się bliższym.

...A to szelma Wojciech! dostanie on po pysku jutro od pana Wolskiego. A tak prosiłem, żeby psa trzymać w budzie... to szelma... uważa pan, pies półwilk, z matki wilczycy, pół dziki, głodzony, bo w nocy stróżuje, postrach na całą okolicę, rozbestwiony, bo padlinę końską w nocy źre i trzeba z nim okropnie ostrożnie... sacrebleu!

Opaliński podniósł się w górę na wózku i patrzył dokoła. Ciemność ciemności, brzęk łańcucha gdzieś jakby zmilkł.

...Maciek, jedź powoli. Uważa pan, panie Poldziu, pan obcy, a ta szelma ma węch przeklęty. Maciek

stań! A to szelma, wie pan, obawiam się, Maciek, rycz głośno na Wojciecha! Wojciech!

Konie stanęły, zdradzały ogromny niepokój. Maciek wyprężył się. Młyńskiemu cokolwiek wstrzymało oddech... W ciszy znów słychać było już znacznie bliższy metalowy brzęk podskakującego łańcucha. Wojciech... Woooj-ciech!

Nagle Maciek drgnął, trzymając silnie cugle w garści, przednia para koni zaczęła się rzucać, wózek szarpnął się, stanął. Opaliński przyciągnął do siebie Młyńskiego. Maciek stał, trzęsąc zębami, modlił się: Ojce nas, Ojce nas, który jesteś w niebie...

Młyński spojrzał na prawo i serce przestało mu bić. Łańcuch zabrzęczał, z za fartucha wózka wystawał przepyszny kudłaty łeb z dwojga fosforycznemi ślepiami. Łańcuch drgnął, pies kładł łeb na fartuchu. Opaliński odzyskiwał przytomność, zasuwał sobą Młyńskiego.

...Lupus, moja psina, Lupusik, co tam u ciebie, no psino!... Pies zawarczał, ale bez cienia sympatji, złowrogo.

...O Jezu! syczał Maciek... O Jezu, to sie zuci ino patrzyć... O Jezu!

Młyński siedział chyba przybladły ze strachu, rękę prawą trzymał na fartuchu i nie śmiał nią ruszyć nawet, troszkę drżał.

...Pogłaskam go, mruknął schrypniętym głosem.

...Ani się pan waż! Maciek siadaj!

Pies patrzył bez przerwy w Młyńskiego, wreszcie wyciągnął łeb na fartuch do jego ręki, powąchał ją, dotknął nosem i pyskiem. Łańcuch brzęknął i Lupus jak baranek zeskoczył ze stopni wózka i ze spokojną flegmą odwrócił się ku wsi. Konie zarwały jak wście-

kle, Maciek szczęknął zębami, Opaliński głęboko oddychał i ściskał ze wzruszeniem ręce Młyńskiego. Prawie w galopie okrążyli wielki klomb z trawnikiem i prawie w galopie podjechali pod jasno oświetloną werandę dworu. W cieniu bujnego winnego krzewu jakaś osoba ogorzała, z sumiastym wąsem biła na odlew w pysk „kmiotka" z trąbką w ręku. Wysiadali, lokaj pomagał.

...To będzie pan Wolski, a to Wojciech, szeptał sobie Młyński, no i wreszcie pani domu...

Na werandzie, w jasnem świetle dwóch wielkich lamp, stała w lila szlafroczku, sparta jedną ręką na białym „jak śnieg" chareie owa pani Stefa Opalińska, hebanowłosa piękność, o której mawiano, że:

męża kupiła w worku,

jest secesjonistką

a znudzoną gniazdem rodzinnem aż do ostateczności.

Młyński z kapeluszem wstępował na werandę, odpinając guziki gumowego płaszcza, z oczyma z zachwytem utkwionemi w... charta.

* * *

Zakochał się oczywiście po raz pierwszy w życiu. Bez opamiętania. Zdawało mu się, że jest tygrysem wypuszczonym z żelaznej klatki wprost w las zwrotnikowy; zdawało mu się, że w ekstazie miłosnej, w chwili upojenia bezgranicznego powinien sobie wraz strzelić w łeb, bo wszystko, co potem przyjdzie, musi już być z konieczności szare, brudne, obrzydłe. Czuł się w pełni szczęścia, w posiadaniu wszelkich rozkoszy ziemskich, wiedział, że dlań otwarło się Królestwo szczę-

ścia na ziemi, czuł się w najwyższem napięciu sił duchowych i zmysłowych. Żadnej kobiety nie kochał z takiem przeczuleniem, żadnej tak wszelkiemi fibrami, nerwami, krwią, mózgiem, oczyma, uszyma, całem jestestwem, jak tę świeżo odkrytą kochankę: Wieś. Opalińscy byli cokolwiek oswojeni z egzaltacją Młyńskiego, ale już ktoś obcy, Wolscy, leśniczy, obaj lokaje widzieli w nim jakiś element „niesamowity“, coś obłąkańczego, pana bez jednej klepki. Dano mu wielki, widny pokój, z którego widok był na duży dziedziniec dworski, czworobok murowany stajni, wozowni, krowiarni, chlewów, piwnic. Wprost naprzeciw swego okna widział obszerne stajnie, słyszał niecierpliwe kopania koni, rżenia na widok obroku, czuł ten miły ostry zapach stajenny, któryby tak raził filisterskie damy. Po podwórzu uganiały 3 źrebce, fikając sarniemi nóżkami. Lupus przywiązany do swej budy spał po nocnych ucztach na „ścierwiskach“. Maciek przed wozownią mył wodą koła wytoczonej staroświeckiej landary. Wielką studnię na środku podwórza, krytą daszkiem z długim żłobem do pojenia bydła, naprawiali studniarze. Siódma rano dochodzi, bywało „stammgast od Schultza“ wracał już z lasu, uginając się pod ciężarem gałęzi..., wlókł za sobą długie wstążki dzikiego chmielu, niósł pęki czerwonych wielkich maków i tem wszystkiem dekorował swój pokój, zamieniając go na jakiś grobowiec schnącej zieleni. Potem biegł w ogród do starego Antoniego, który na czele dwóch „dziwek“ plewił koło „troskawek“, lub „karafjołów“, i gawędził z nim. Szedł dalej w ogród, w aleje agrestowe, rwał agrest, zjadał na czczo wyrwane z ziemi rzodkiewki, zrywał kwiaty, układał w dziwaczne jakieś bukiety, aż wreszcie zmęczony szedł na śniadanie.

Przy stole siedziała już zwykle Fräulein Clärchen z małym „ordynatem" Stasiem i pryncessą Lolcią, z dziećmi Opalińskich. Za chwilę przychodził pan domu, nie wyspany, nie myty, znudzony, w szlafroku i szlafmycy na głowie; potem otwierały się boczne drzwi, lokaj wnosił dymiący samowar, wpadała Norma charcica faworytka a za nią... A za nią... pani Stefa.

Opaliński ziewał: Dzień dobry Stefa, Dzień dobry Jerzy. Pani Stefa biała, czysta, jasna siadała, Młyński opowiadał z żywością: a żydzi w lesie już naznaczyli i ten kąt od Grodzieńca, a jakże okropnie drzewa niszczą, a opowiadał lasowy, że znów chłopy kradli w nocy chróst, a już będzie kilkanaście dojrzałych truskawek, a fornala Walka coś w nogę ugryzło i musi leżeć...

Opaliński ziewał, pani Stefa z niesłychanem rosnącem zaciekawieniem rozpytywała się o wszystko, nalewała Młyńskiemu herbaty, przysuwała szynkę i rzodkiewki. A w oczach jej czytała już Fräulein Clärchen sympatję dla gościa, gorętszą nieco od normalnych sympatji ludzkich. Opaliński ziewał; on przez cały dzień prawie nic innego nie robił, Gospodarstwo wielkie prowadził pan Wolski, domowe żona, dzieci chowała czterdziestokilkoletnia niewinność Clärchen, jemu pozostawała tylko Sztuka... Opaliński malował.

Niegdyś podobno nawet miał talent, potem się zagrzebał w problemach światła, chciał koniecznie wynajdywać jakieś nowe metody, eksperymentował, potem zawracał sobie kilka lat głowę Paryżem, ogłupiał, zaczął blagować farbami, malował przy sztucznem świetle, wreszcie po śmierci ojca wrócił do kraju, objął majątki, ożenił się bogato i w końcu wielkiego ogrodu, skąd widok roztaczał się wspaniały, wystawił muro-

wane atelier z szklaną ścianą, gotyckiemi drzwiami i czerwoną chorągiewką. Tu ziewał, przez dnie słoneczne stojąc przed sztalugami i zjadając mnóstwo agrestu, porzeczek, malin, których miał zawsze pełne kieszenie. Przytem malował bardzo sumiennie, jak się pocieszał, a bardzo niedołężnie. Odwalał tematy swojskie. Pod ścianami stały oparte o siebie niezliczone płótna z rozpoczętemi dożynkami, weselami, zwózkami, — w rogu stało „Boże Ciało na wsi", „Dziewczę z sierpem", „Południe", „Przed chatą", wszystko słabe dyletanctwa, szkice poprószone, powalane, stargane, bez wartości. O wielką ścianę oparte rozwalało się znowu płótnisko, na jakie trzy metry długości, ze słynnym „Chopinem", podmalowanym szkicem, tragikomedją twórczością Opalińskiego. Była to wizja z młodych czasów, praca zaczęta przed wielu, wielu laty, nie doprowadzona do żadnego stadjum, gdyż Opaliński w Paryżu rzekomo przekonał się, że Chopin był Francuzem z krwi, z kości i z ducha. A kiedy wrócił do kraju już „bez wewnętrznej wiary w syntezę Chopina", malować nie mógł. Obraz przedstawiał niby „Chopina przy klawicymbale" improwizującego mazurka, przeraźliwie suchotniczego młodzieńca z rozwichrzoną fryzurą z szeroko rozstawionemi rękami a nad nim i koło niego jego wizja w natchnieniu artystycznem, więc „pan Wolski" rządca w kontuszu, sąsiad pan Boroński w kontuszu, dwie modelki w żupanikach, Maciek stangret w krakowskiem ubraniu, Szymek, Jadwiga „do wszystkiego", Magda, siwy chłop, łysy chłop, baby, wszystko w mistycznym bawełnianym obłoku nad fortepjanem, nadto z boku ułan polski autoportret Opalińskiego... „Chopin" stał tyłem do pracowni malarskiej, a pokazywany był tylko bardzo zaufanym.

Młyński niestety już od drugiego dnia od przyjazdu został zaufanym, bąknął przed bohomazem kilka bladych frazesów o piękności mazurków Chopinowskich, o konieczności skończenia dzieła zaczętego. Odtąd miał jakąś tępą, bezlitosną pogardę dla ziemianina-malarza, który tak się opychał śliwkami, tak serdecznie ziewał, tyle pieniędzy wyrzucał na płótna i farby i tak okłamywał bez skrupułu siebie, żonę, świat. Mimowoli porównywał męża pani Stefy z Łakomyskim; przecież i ta szelma miała podobno jakiś talent kiedyś, a zgubił po drodze w butelce. Łakomyski miał pełne biurko zeszytów z zaczętemi studjami o Wenus, o Dostojewskim, „o współczesnej apatji", z dramatami o tytułach ponętnych: „Bagno", „Chorowite dusze". „Nieuleczalnie chory". Ale biedny Łakomyski nie natrafił na znudzoną panieństwem bogaczkę, musiał pracować na siebie i mimo swe wady nie był do kroćset djabłów tak obrzydliwym, tyjącym pasożytem, „mężem na utrzymaniu"! Wolał się zapijać koniakiem niż opychać śliwkami jak ten! Łakomyski pozował przytem na łotrzynę, a był tylko skrachowaną egzystencją. Opaliński lubiał wieczorami gawędzić o sztuce dla społeczeństwa, o pracy dla dobra ogólnego, Faryzej! I powoli nabierał Młyński, porównując obu, znowu sympatji dla Gustawa, a pogardliwego lekceważenia dla męża pani Stefy. Rezultatem tego był list entuzjastyczny do Łakomyskiego o wsi polskiej... Stanowczo zerwę z całą cyganerją od Schultza, rozumował Młyński, ale Gustaw to przecież stary druh, jeszcze z czasów, kiedy się młodym prawniczkiem biegało po jour-fixach parafjalnych od doktorowej do adwokatowej, od radczyni do profesorowej prawa rzymskiego, stąd na posiedzenia komitetów balowych, nie zdejmowało smokinga i lakierów,

bawiło ośmnastolatki opowiadaniem o tinglach, kontrolowało, czy damy „ze świata"na dobroczynnych wentach nie eskamotują banknotów z kasetek. Młyński wypisał się w długim liście do Łakomyskiego zaczętym od „Najdroższy mój Gustawie..." i t. d. Już to w superlatywach był rzeczywiście rozrzutnikiem, a w ciągu jednej godziny nienawidził i kochał, pogardzał i wielbił, pluł i złocił jeden objekt ludzki. Pogarda jego przenosiła teraz swój punkt ciężkości z Łakomyskiego na tego „twórcę Chopina". Był zawsze bardzo grzeczny dla pana Jerzego, gospodarza, agrarjusza, arystokraty, ale wobec pani Stefy zaczynał sobie pozwalać na lekkie o nim złośliwości.

I tu, rzecz dlań dziwna, zastawał grunt bardzo podatny dla swoich dowcipów, wesoły posłuch, ba, nawet sama pani Stefa dodawała do jego soli attyckiej jeszcze pieprzu. Koło jedenastej rano wyjeżdżali zwykle na spacer konno. Młyński brał eleganckie angielskie sztylpy, białą czapę na swą czarną jak u kruka głowę i siadał na konia jak młody Sidoli czy Rentz. W całem życiu jeździł dawniej dzieckiem na kucu prowadzonym przez niańkę, potem tłukł się po jakichś górskich wycieczkach z damami, zapomniał z której strony się wsiada, przypomniał sobie w moment, skoczył na konia i taktownym kłusem objechał klomb dokoła. Odtąd jeździli co dzień przed południem, z charcicą w skokach pędzącą przed końmi, zostawiając na werandzie fujarę Jerzego z miną zaspaną, znudzoną, skwaszoną. Biedny Opaliński musiał krzyczeć, wrzeszczeć, łazić po podwórzu za modelką Jagą, wreszcie gdzieś ją odnajdywał, beształ i lazł z nią (rwąc agrest po drodze) do pracowni, żeby po raz setny odstawiać „dziewczę z sierpem", „bez sierpa", „z grabiami", za-

kasaną, z książką do nabożeństwa, bez książki; ot, pielęgnował swe kłamstwo życiowe, jak krocie.

A tymczasem pani Stefa pokazywała Młyńskiemu czary okolicy, cudowności, olszynowe laski, małe wioseczki, zagajniki, stawki, rzeczkę zakrywaną laskowemi orzechami, figury cudowne, sady z uginającemi się gałęziami, stare spiorunowane dęby, ruinę zamku Grodziskiego, okopy szwedzkie. Co dzień coś nowego, uroczego, niezapomnianego. Stawała się dlań kapłanką przyrody, żywiołowym łącznikiem między ziemią a „człowiekiem z kawiarni", tłumaczką cudów, przewodniczką, powierniczką w jego miłosnym stosunku do natury. Opaliński ze względu na okolicę nie był zupełnie zadowolony z tych eskapad w duecie, ale sam jeździć nie mógł z powodu jakiejś zepsutej kiszki, czy wady sercowej. Ze względu więc na gościa musiał z cierpliwością znosić te sceny wsiadania na konia, poufałe ruchy obojga, kokieterję Stefy, nawet dość zuchwałe półuśmiechy lokaika, który pomagał wsiadać madame.

...No, baw się dobrze Jerzy, żegnała pani Stefa.

...Oj, te kiszeczki, kiszeczki, ubolewał Młyński.

...Maluj! Jak wrócimy pokażesz!

...No, jedźcie już jedźcie! moi drodzy! Uważaj Stefa, żeby cię nie wysadziło z siodła. Poldziu, ulituj się i tylko nie forsuj klaczy, bo zawsze przychodzi spocona! no, w drogę!... Jakby wołał, żeby mu zniknli prędzej z oczu.

I oboje „secesjonistka" i „dekadent" wyjeżdżali flegmatycznie i miarowo przez szeroko otwartą bramę, przejeżdżali koło Lupusa, witając go serdecznie, koło dwupiętrowego murowanego spichlerza z ganeczkiem, wjeżdżali w aleję z gęsto nasadzonych wiśni, a kiedy

czuli, że już wyszli z pod kontroli fujary Jerzego, puszczali się w tęgi cwał i dopiero przez wieś znowu jechali z feudalną godnością.

Przed chałupinami na zydlach siedziały baby, to skrobiąc ziemniaki, to karmiąc młode samczyki. Na widok jaśnie pani podbiegały, całowały, dzieciska zmykały do sieni, do ogrodu. Gospodarze kłaniali się z pokorą, ale i z tą dziwną królewską godnością na całym świecie tylko u polskich chamitów istniejącą, co to każe po ukłonie karki prostować jak strunę i jasnem śmiałem obliczem patrzeć w „jaśnie oświetlonych." Ten przejazd przez wieś zawsze cokolwiek odbierał tupetu Młyńskiemu. Nie zupełnie wiedział, jak się zachować, nie czuł w sobie nic z „jasności państwa", a tylko pierś mu rozsadzała jakaś chęć bratania się z nimi, ściskania ich rąk, całowania tych ogromnie jasnych główek dziecinnych, siedzenia w tych podpieranych chałupkach na tych ławkach, jedzenia z tych garnków, co się suszyły na żerdziach od płotu poodwracane. I to dziwne! W nim chłopomaństwo! ni stąd, ni zowąd to rozczulenie na widok parcianej koszuli, ogorzałej piersi, tej równo ściętej chłopskiej grzywki, w nim! w mieszczuchowskim „markizie" Poldziu o batystowych chusteczkach do nosa. Młyński pamiętał, jak w szkolnych czasach, na ławkach gimnazjalnych nienawidził nerwowo tych Kciuków, Barciów, Bachledów, Kobiałków, tych chamków, zakutych w nauce, schlebiających belfrom, liżących łapy katechetów, dygocących w strachu przed c. k. dyrektorem, przedwczesnych karjerowiczów, wszystko spodlałe natury niewolnicze. Potem na uniwersytecie te chłopskie syny to była zawsze trwała i niezawodna podwalina wstecznictwa. Żarli się o lekcje jak psy o ko-

ści, zdawali świetnie egzamina, doktoraty i w świat wychodzili jako młode klechy bezduszne, łakome na piwo i kiełbasę z sosem, na dobrą plebanję z tęgą Maryśką. Taki kolega z szkolnej ławy Dr. Wojciech Szufa czy Kufa nie kłaniał się Młyńskiemu na ulicy; był jakimś koncypistą czy dependentem, a młodego Młyńskiego uważał za „socjalista". Taki obrzydliwy człowiek z kwadratową głową i czerwoną krawatką, belfrzyna Pytel czy Hycel, coś w tym guście, śmiał mu raz na koncercie podać dwa palce przy uścisku dłoni. Młyński wtedy spojrzał tylko na niego odwróciwszy się lekko przez ramię i rzekł półgłosem, przymrużając oczy: Mój Cypel, czy jak ci tam, naucz ty się podawać całą łapę, bon? i, odwróciwszy się na pięcie, przeszedł koło rzędu pań i panów, zdumionych tą sceną. Odtąd zniecierpiał chłopski element jeszcze bardziej, wydrwiwał modnych gadułów chłopomańskich, cierpiących na palpitację serca na widok malowanej skrzynki chłopskiej i innych zapaleńców piszących poważnie, iż: „kiedy zbraknie Europie rodów królewskich, przyjdą narody prosić chłopów polskich na królów". Hehe! Syn hofrata nienawidził tej blagi, kmiotka Piasta uważał za twór Zoloski, a Rzepichę za maciorę... A teraz? Kiedy po obiedzie widział, że Opalińscy śpią, Fräulein z dziećmi w ogrodzie, a lokaje poszli gdzieś coś kraść, zamykał się do pachciarza, zmieniał pieniądze na drobne i biegł chyłkiem na wieś, na kraj wsi, gdzie koło stawu, raczej bajury czarnej, pełnej kaczek i gęsi głupich jak damy na „fixach", bawiły się w błocie, piasku, w mule dzieci wiejskie pół nagie, opalone, brudne. Z całą ostrożnością i cichością siadał gdzieś z boku na ziemi pod krzakiem tarniny i wolno rzucał w staw kawałki chleba, bułek. Gęsiska i kaczki nad-

pływały, dzieci to spostrzegały, szeptały coś między sobą, płoszyły się, strachały, szły, wracały, wreszcie przychodziły hurmem.

...No, chodź tu do mnie mały ananasie, wołał łagodnie Młyński, chodźże Wojtuś, Kasia! chodźże pikolo mio caro, chodźże ty mała Mignon! No, kanalijki, nie bójcież się Caffepflancy!

Łagodnie z lewej kieszeni rzucał im u pachciarza kupione cukierki, pierniczki, a śmielsze bobięta dostawały grosze i maleńkie srebrne monetki i olbrzymie miedziane kółka. A po niedługim czasie doszło tą metodą do tego, że malcy i malczynie spinały mu się na plecy, bawiły zegarkiem i łańcuszkiem, wyciągały papierosy z porte-cigarre, że gromadka łapała gęsi za ogony, że bawili się w zbójów i żandarmów, że w piasku budowali domy, strugali fujarki, piekli ziemniaki, a po wsi już rozchodziła się szeroko gadka o tym młodym panu od jaśnie państwa, co to z rakami figluje nad stawem, ile to dzieciskom rozdaje drobniaków, cukierków, słodkości, jak się nimi bawi, jaki to waryjat, jakie się malce robią uzuchwalone. Zauważono jednak, że panicz w flanelowem ubraniu wykrada się tylko wtedy, kiedy u dworu wszyscy śpią, a lokaje „kradnom". Więc też, choć go już baby znały od schadzek nad stawem, choć z nim coraz poufalej gwarzyły przy dzieciach, to jednak przy przejeździe z jaśnie panią przez wieś udawały, że im jest obcy, biegły doń całować go z babską pokorą w rękę i przypatrywały mu się jak obcemu.

Pewnego razu na przejażdzce konnej obiecała pani Stefa pokazać Młyńskiemu coś nowego... Pokażę panu naszego Matuzalema, gospodarza co ma równe 100 lat i pochował cztery żony w życiu. Samych prawnuków już ma coś z 10 sztuk.

Z głównej drogi wioskowej zboczyli na boczną, która wiodła do młyna, przejechali obok niezmiernie naiwnej, ale dziwnie uroczej kapliczki z czterema topolami i zbliżali się do jakiejś większej, obszerniejszej, bogatszej zagrody. Było południe z doskwierającem gorącem, jechali więc wolno, bo konie zdały się pomęczone. Przed zagrodą zebrała się jakby większa gromadka ludzisków, na drodze grzebały dzieci w piasku.

...O, widocznie stary coś opowiada, czy radzi, szepnęła pani Stefa. Wie pan, w ostatnich latach udaje trochę proroka, wieszczbiarza, Wernyhorę. Cytując pismo święte, podnosi ręce do góry, prawi ludziom kazania i mówi niesłychanie śmieszne rzeczy np. o przyszłej Wielkiej Wojnie! Zaraz go pan zobaczy.

Podjeżdżali. Dzieci na widok Młyńskiego wpadły w radość, krzycząc: corny pon, corny pon, uciekały, i wracały popychając się.

Gromadka zebrana koło starca rozstąpiła się jakby chciała odsłonić go ku podziwowi, a syn hofrata w jednym momencie ogłupiał i oniemiał. Może było i z czego, bo na ławce siedział człowiek, o którymby jedno można tylko na świecie całym powiedzieć, że stworzony na obraz i podobieństwo Boże. Olbrzym, jakby nadczłowiek o pełnej siwej jak srebro czuprynie z szerokiemi krzaczastemi brwiami i brodą, ach brodą! poematem, brodą! falą srebniuteńką, sięgającą po sam szeroki pas skórzany. Temu chyba gronostaje zarzucić na plecy lwie, dać mu jakieś największemi djamentami nabijane sandały, złote berło do prawicy, a tę podłą kulę ziemską do lewicy i niech rządzi...

Młyński wpatrywał się w starca jak otumaniony,

jak oczarowany, serce mu biło gwałtownie, tracił oddech, coś go jak omroczyło, a tylko w uszach słyszał to odrwiwane przez siebie tylokrotnie, a teraz dzwoniące mu rozgłośnie, triumfalnie:...

„a kiedy zabraknie Europie rodów królewskich, to przyjdą narody prosić chłopów polskich na królów".

I ze skromnością i z nabożeństwem zsiadł z konia, wyprostował się, poprawił marynarki, zdjął kapelusz i ze schyloną głową wolno poważnie szedł ku starcowi.

Gromadka rozstąpiła się szeroko i patrzała zdumiona, ale uroczysta, jakby przejęta jakąś nadzwyczajnością momentu. Pani Stefa odczuwała sercem, że Młyński idzie jak we śnie, pchany jakąś niewidzialną, wielką, wielką mocą momentu. I w oczach „secesjonistka" uczuła coś jakby... łzy.

Młyński, syn baronówny niemieckiej i „polskiego hofrata", klęczał już przed poważnym starcem i tulił łeb czarny do jego kolan i całował święte pomarszczone, czerwone od krwi nabiegłej, spracowane przez setkę lat życia ręce a tylko strach go brał, że mu z nadmiaru żałosnego szczęścia serce pęknie. Chłop wzniósł trochę wyżej głowę starego orła, podniósł rękę i błogosławił młodego dekadenta, bynajmniej nie zdziwiony niezwykłością sceny. Lekko tylko wzruszony szeptał modlitwę. Wreszcie pochylił się i z całą serdecznością pocałował Młyńskiego w czoło, ręką pogładził mu włosy i wolno powstał, jak mocarz imperator na znak, że ceremonja skończona. Skłoniwszy się kornie zadumanej pani Stefie, szedł do izby. Baby rzuciły się do Młyńskiego i jęły go całować po rękach, po rękawach, ramionach. Cała gromada jakby wdzięczna mu za ten hołd dla chłopskiej starości odprowadzała go do konia.

Wsiadał i żegnał ich kapeluszem. Ruszyli w galopie, kiedy sygnaturka kościelna dzwoniła właśnie na południe, a z zachodu wionął jakiś przemiły chłodny wiaterek.

Kiedy wrócili do domu, Młyński rzucił się do swego pokoju, przeprosił, że na obiad nie zejdzie, prosił „o garnek czarnej" kawy, dostał, zamknął się u siebie, wypalił mnóstwo papierosów, trząsł się ze zdenerwowania jak mimoza i od jednego zamachu wypisał baśń fantastyczną p. t. „Chłop Imperator". Wieczorem spalił ją i przebrawszy się w garnitur żakietowy, krawat „a la prince Monaco" i uperfumowawszy rezedą przeszedł do salonu Opalińskich, gdzie oprócz gospodarstwa rozsiedli się „sąsiedztwo" państwo Dzierżanowscy z 2 córkami obrzydliwemi i synem Alfredem, typowym alfonsem arystokrackim z monoklem w krowiem oku.



Młyński powoli przyszedł do normalnej równowagi swych sentymentów. Ale sentymenty bądź co bądź pozostały. Odtąd często zachodził do chałupy Matuzalema starca Średniawskiego, słuchał jego objawień i wizji, zdumiewał się nad naiwną i groteskową, ale zawsze obrazową fantazją chłopa, podniecał go do dalszych rojeń i opowiadań. W chałupie Średniawskich był stałym, radośnie widzianym gościem. Nie ukrywał się z temi stosunkami „przed dworem", bo wiedział, że wszechwładna pani Stefa, właściwy dziedzic, popiera i pochwala jego nową manję. Często ze starym prorokiem szli w las haszczami, kryli się gdzieś na wąskich stoczach porosłych głogiem, leszczyną, tarniną i Bóg wie czem jeszcze, siadali i kładli się w wysokiej

bujnej trawie i gwarzyli. Młyński czasami się kąpał i z wody opowiadał staremu o dalekim świecie, polityce, nowoczesnych ludziach, spółczesnych ideach „malarji miast większych". Średniawski, jak mu się to znudziło, poczynał pomstować na obecne czasy, wielbić stare, groził końcem temu wszystkiemn złemu i opowiadał o ulubionym swoim końcu świata...

A ino, jak tylko one tromby mosiężne zagrają i wszystkie dziewięć glidów anielskich rzondkiem się po niebie poustawia, zacnie grzmieć po chmurach. I ani się ludziska nie obejrzą, jak tu apostoły wniosom tron, potem zacnom iść wielebni proboscowie z kadzielnicami, jak tu u nas chłopoki, a na końcu całej tej procesji będzie se pod baldakinem sed Pan Jezus, za nim Syn Bozy, a potem w złociuskiej klatecce gołąbecek mały Duch Święty, niesiony przez duchowne osoby męczenników i Najświętsza Panna i patrony Ojcowie święci, ilo ich tylko było od początku świata. I znowu tromby zagrają i znowu pieruny bić bedom i...

Młyński pierwszy, drugi raz słuchał bardzo ciekawie Sądu Ostatecznego, przy trzecim już trochę ziewał, a przy czwartym zaczął delikatnie przerywać staremu.

...a niektóremu chłopu, cy panu, wkiedy będę grzechy przewazać, to Najświętsza Panienka tam gdzie dobre ucynki dorzuci cosik ze swego odzienia, to opaskę, to chustkę, to złoty pantofelek... marzył stary, pykając z fajki.

...Ech, gdzieby tam Matka Boska zechciała tak oszukiwać, podchwytywał Młyński, kąpiąc się.

...Dla dobra, łaski panie, dla poratowania tota i dozuci, jezeli taki grzesnik litanję w życiu ino odmawiał,

...A może, konkludował Młyński, chlapiąc się

i bryzgając wodą w słońcu, kładąc się na deskach pochyłych jazu, po których woda z szerokiego stawu spływała w małą rzeczułkę.

Stary siedział nad brzegiem, pilnował ubrania i moczył nogi w wodzie, grożąc grzesznikom piekielnemi karami, a z ciekawością oglądał garderobę Młyńskiego.

...a jacy tacy będą bez to, co cnotliwi iść ku prawicy a koniokrady, dziwkorze, pijoki, kumedjanty, żydy na lewicę. A wkiedy nowa osoba podendzie, znowu ogromnym głosem huknie Bóg Ociec z tronu: A ty kołtuniasty, rzeknie do kołtuniastego, ileś razy babę sprał? A kołtuniasty, jak zawdy głupi, a chytry odrzeknie: A Najwyzszy Trybunale Boze Miłościwy tocieć Wszechwiedzący, tota i miarkujes, zem umar a do śmiercim baby nimioł... A siła tyz te styflety łaski panie kostują? kończył chłop extatyczną wizję Sądu Ostatecznego.

Młyński wymieniał cenę styfletów, ale z Sądu Ostatecznego i mistycznych objawień starego drwił już na funty. Z czasem zaczęły go nawet nudzić. Pani Stefie ironicznie zaznaczył, że stary analfabet już się w ekstazach powtarza. Coraz rzadziej zaglądał do Średniawskich, zresztą już choćby dlatego że pani Stefa od jakiegoś czasu zaprzestała siesty popołudniowej na huśtającym fotelu i sama ofiarowała się towarzyszyć Młyńskiemu w spacerach wertepowych, zasłonięta śliczną czerwoną parasolką przed sierpniowem słońcem. Tak więc całe ranki, a odtąd i całe popołudnia spędzali razem; Opaliński oczywiście spał, objedzony nad miarę, jak zawsze, dzieci bawiły się w ogrodzie. Wieczorem często wyjeżdżano gdzieś w sąsiedztwo, ale już w oficjalnym powozie nie w milusiej

linijce. Między innymi wypadało Opalińskim rewizytować i Dzierżanowskich, a że stara madame Salusia zapraszała i Młyńskiego do Imbramowic, więc pewnej niedzieli musiał nałożyć na barki redyngot, angielskie portugały i w pełnej paradzie towarzyszył Opalińskim, klnąc w duchu, że znów przyjdzie mu patrzeć i ocierać się „o tego Hamadrjasa w monoklu, cud swojskiej tresury", młodego Dzierżanowskiego. Działał mu na nerwy ten dryblas z głową kokosową, cerą pomidora, wargami murzyna, wąsami kota. Irytował go zupełnie neutralnie zresztą tem obflirtowywaniem pani Stefy, tem bezczelnie zwierzęcem śledzeniem jej ruchów, tem wpatrywaniem się w jej pierś, plecy, szyję, tem spokojnem lubowaniem się jej urodą. Postanowił jeszcze w powozie traktować epuzera warszawskich kokotek kanalicznie. Już to wogóle niepotrzebnie zapoznał się z całą okolicą i znajomościami Opalińskich. Mógł przecież od pierwszego wyjazdu zaraz się wymówić, a byłby miał spokój wiejski w całem tych słów znaczeniu i sielankę bez towarzyskich stosunków. A teraz musiał paradować, ubierać się, balansować ciągle w ten sposób, aby samemu imponować hreczkosiejom i ciągle markować to, że nazwisko Młyńskich nie należy jeszcze do nazwisk „declassés", że papa jest mandarynem, mama zawsze baronówną o gotajskich koligacjach, a on młodym lowelasem „oddającym się" literaturze.

I Młyński wysilał się na imponowanie.

U Dzierżykraj-Dzierżanowskich było pewnej niedzieli jak zwykle więcej osób, państwo Bobrójscy, państwo Lubożeńscy, hrabina Tarło, dwie stare panny Prztyckie czy coś takiego, które razem z córkami domu stanowiły już galerję monstrualnej brzydoty, jacyś dwaj

bracia, drągale rumiane, pucułowate, płowe z olbrzymiemi gorsami wykrochmalonych koszul: panowie Ujazdowcy, jakiś „pułkownik" z niewiadomej armji, stary reumatyk z hebanową laską. Młyński starał się nie przesadzać w nowomodnej efronterji, ale więcej „gentlemanić" i powagą markować swą poprawność correctness. Czuł, że hrabina Tarło sepleniąca po angielsku z temi wysokiemi kościotrupami pannami Prztyckiemi obserwuje go z pod oka, bo przecież słyszała w mieście, że ten literat Młyński to libertyn, komunard, że chciał wysadzić bombą w powietrze pałac namiestnika... a tu widzi *first class boya* emablującego *smart* madame Bobrójską i Lodzię Bobrójską piegowatą anielicą o słomianych włoskach.

A Młyński oblagowywał Bobrójskie, przeciągając strunę prawdopodobieństwa aż do pęknięcia: jak to Kopenhaga go prędko znudziła, jak to prawdziwe: *vedi Napoli e poi morire*, jak to prześlicznie śpiewa księżna Eliza Battenberska, którą miał sposobność słyszeć pod Dreznem w zamku książąt Wied, jak on ma sypialnię swą wybitą białą materją, białe dywany, białe meble, tylko dwie amarantowe kapy na stół i łóżko i wspaniale rosnące eukaliptusy; jak to chwała Bogu minęły już te czasy „chudych literatów; jak to my polscy po francuskich stoimy najlepiej, jak to przeciętny soneciarz ma do 10.000 rubli rocznego dochodu, jak to w Kairze bywa zimno czasami, wilgoć, deszcz, nawet śnieg, a zeszłego roku był śnieg, teraz wszędzie zmiany klimatyczne.

Wreszcie przerwał, mimowoli lekko ziewnął, czuł, że matka i córka Bobrójskie olśnione aż do stanu kompletnego ogłupienia. Wreszcie sam znudził się bezczelną swą blagą, no i spostrzegł młodego Dzierżanow-

skiego, jak nachylony nad panią Stefą szeptał jej coś, oczywiście niesłychanie aroganckiego do uszka. Pasja nim wstrząsnęła. Jak śmie, myślał, taki cicisbeo kokoci tak ją traktować, jak pierwszą lepszą Kazkę Kowalską, lub zakonniczki z ulicy Freta Chełmickiego? Przeszedł tedy salon aż do kozetki pani Stefy, która na jego widok podniosła się i podeszła ku niemu.

...Na miłość Boską, uwolnij mnie pan, szepnęła, od tego człowieka...

Młody Dzierżanowski już stał przy nich i patrzył zdobywczo na Opalińską. Podeszli do fortepianu, a że Młyński obiecał jeszcze w powozie pani Stefie zagrać u Dzierżanowskich, gdyż w Boguszowicach nie było wcale fortepjanu, siadł więc, zdmuchnął obie świece w lichtarzach, położył ręce na klawiszach i powiódł okiem po zebranych.

Światło żyrandola o kilku silnych lampach jasne padało na głowę i linjom twarzy nadawało jakiś ostry zarys. Salon był duży, miał pewną wytworność dawniejszych dziesiątków lat, szerokie meble kryte zielonym pluszem, serwantki, wielkie stoły, wygodne karła i fotele, szklane serwantki, staromodne konsole, zczerniałe obrazy w złotych szerokich lub bardzo wąskich ramach. Salon ten miał wysoką antyczną dystynkcję.

Młyński ni z tego, ni z owego nagle uczuł się tutaj bardzo swobodny, zadowolony, szczęśliwy, powziął gorącą sympatję do wszystkich, mimowoli westchnął i dotknął klawiszy. Z otwartych drzwi szklanych i okien salonu szła silna woń kwiatów, białych tytoni, rezedy, goździków i róż i jakiś wśród ciszy szept spadającej rosy i tęsknota, bezmierna tęsknota polskiej wsi. Pani Stefa w zamyśleniu siadła tuż obok fortepjanu, młody

warszawski Alfons-Alfred dał za wygraną i Młyński zaczął grać.

Grał Serenadę Moszkowskiego, tę skromną melodję tak ogromnie szablonową, melancholiczną, senną, księżycową, grał nerwami, grał jakby jakąś pierwszej wartości kompozycję. Zwolna opuszczał tekst, warjował melodję i na tle serenady improwizował jakieś kołysanki, walce, menuety, zmieniał tempa, zwolna brał dusze zebranych (a słabo z muzyką obznajomionych) w niewolę, sam upojony czarem sierpniowego wieczoru, odurzającemi wprost zapachami kwiatów i wreszcie już... już... hypnotyzującemi spojrzeniami zapatrzonej weń pani Stefy...

Poczem były dziękowania, zapalono napowrót świece w lichtarzach, w ich blasku odśpiewała brzydsza Dzierżykrajka nieśmiertelną piosenkę madame Rotschild: *Si vous n'avez rien à me dire*, poczem kolacja z dobrem winem, sielska dyskusja o koniczynie, kaniance, zwózce pszenicy, pogodzie. Poczem ciężkie wstawanie od kolacji, szurgot nóg, cygara, kawa, likier, w gabinecie, poczem nawrót do salonu.

Młyński z Opalińską gdzieś znikli. Fujara Jerzy zasiadł do winta, panny Prztyckie obie opanowały fortepjan, aby na cztery suche ręce tłuc poutpouri z „Roberta Djabła", reszta rozsiadła się po fotelach, by trawić, nudząc się wzajemnie. Więc oboje poszli w imbranowiecki ogród, słynny w okolicy ze swej piękności. Szli w milczeniu, on ćmił cygaretkę, wdychał z rozkoszą balsamiczne powietrze i składał wiązkę zerwanych białych kwiatów tytoniu, wydających po spadłej rosie narkotyczny zapach. Dostali się nad okrągluchny stawek zarosły kaczeńcami i liljami wodnemi z wysepką w środku, na której rosła smutna samotna brzoza, pła-

cząca długiemi aż w wodzie topiącemi się warkoczami gałęzi. Księżyc w sierpie mrugał światłem z poza osrebrzonych chmur. Ciepło było, rozkosznie i upajająco. Z odległej dali dolatywały złagodzone dźwięki fortepjanu torturowanego przez oba arystokratyczne kościotrupy panieńskie, zresztą cisza. Usiedli na ławeczce w milczeniu dziwnie krępującem i nietaktownem z obu stron. Wreszcie Młyński w milczeniu złożył jej na kolanach pęk białych tytuniowych kwiatów, ona w milczeniu przyłożyła je do ust, zwrócił się do niej profilem, rękę mimowoli układł na poręczy za jej plecyma, Opalińska mimowoli pochyliła się i... „stało się, co się stać musiało" jak mówią fataliści. Może i nie miłość, ale w każdym razie przypadek, „szczęśliwe okoliczności", „ananke" rzuciły ich we wzajemne uściski. Wśród tych wszystkich ludzi normalnych i szarych musieli się czuć obcymi, osamotnionymi jak na wyspie, więc nie dziw... Zresztą oboje kochali wolność, przyrodę, słońce... Z tysiąca powodów przekładali wielki grzech nad marną cnotę... byli impulsywni... Trzy całusy długie... Splot... Grzech...

Kiedy cokolwiek zakłopotani, choć pewni siebie i bezwinnie, pogańsko weseli wracali po pół godzinie do sali, panny Prztyckie tłukły już bezkarnie trzecie Poutpouri obecnie z „Fra Diavola", reszta osób z kawalerją na oświetlonej werandzie bawiła się w „pierścionek" jak za dobrych czasów Napoleona III, a panie w salonie wiodły dyskretnie przytłumioną rozmowę o trudnościach porodowych, ciężkich operacjach, „cięciu carskiem" i t. p. tematach. Wejście młodej pary wzbudziło, jak się spodziewać było można, pewną sensację, antypatyczną Młyńskiemu, gdyż na wszystkich tych kochanych swojskich twarzach już czytać było mo-

żna złośliwość i zazdrość. Zazdrościli jemu jej, jej jego, obojgu młodości, żywości i tego pogardliwego już lekceważenia otoczenia, jakie grzesznicy... mają dla cnotliwych. Weszli, siedli przy sobie wśród starszych pań, a Opalińska już ze spokojem światowej damy zaczęła spokojnie opowiadać o tem, że na drugi rok muszą i oni znacznie rozszerzyć ogród, aż pod staw, to jest staw dołączą do ogrodu i na środku też usypie się i podmuruje wysepkę, na niej zasadzi brzozę, ale pod brzozą da ławeczkę, aby pan Młyński miał gdzie marzyć, jak przyjedzie...

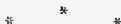
I marzącemi już rozkochanemi oczyma, ale z zupełnym spokojem rasowej lady zwróciła się do równie spokojnego, choć rozmarzonego markiza z... jej łaski.

Z powrotem, gdy jechali skąpani w srebrzystej poświacie księżycowej, trzymając się za ręce z tyłu powozu, Opaliński zmachany wintem i zmorzony winem spał, a Młyński ćmiąc cygaretkę borykał się już na trzeźwo z dylematem, w tej sytuacji zwykłym: dobrze, ale czy ten stosunek ma dojść aż do ostatnich konsekwencji, czy to będzie tylko męczący i wyczerpujący flirt erotyczny, czy to namiętność czy zabawka, czy może cofnąć się, czy taki pasożyt jak ten „fujara Jerzy" zdobyłby się w razie czego na rycerskie strzelaniny, czy taka pani Stefa nie zanadto go „przeczyści" (ach, co za paskudne to kawalerskie wyrażenie!). Ślubował przecież oszczędzać się, pić mleko, nabrać sił.

I młody idealista współczesnego stempla rachował i ważył, kombinował, liczył, z boku przypatrywał się rozkosznej młodej kobiecie, której nerwową rączkę czuł w dłoni. Wreszcie odrzucił papierosa i widocznie chyba zdecydowany nachylił się i szepnął namiętnie:

Kocham cię, kocham bez pamięci. ...Chcę cię mieć... chcę mieć nagą jak... prawda jest nagą... jak dusza jest nagą... „Naga dusza“ była wtedy właśnie w modzie.

Ale brutto pobytu na wsi polskiej, myślał równocześnie, djabli wzięli.



Nazajutrz był deszcz od sinego ranka, z otworów rynien ciekła woda z usypiającą monotonją, drzewa ociekały smętnie, piasek chodników ogrodowych żółcił się jak świeżo wymyty, biedne kwiaty poschylały główki, niebo zasłoniło się dokuczliwie na dłuższy czas.

Opalińskiemu dokuczały oczywiście kiszki bardzo dotkliwie, gdyż nie wyszedł nawet ze sypialni, tylko robił okłady i stękał. Pani Stefa wyglądała nieco niewyspanie. Młyńskiego opadała melancholja.

Zaraz po śniadaniu cofnął się do swego pokoju, czyścił długą godzinę paznokcie siedząc przy oknie i śledząc walkę chmur ze słońcem i raz wraz odsłaniający się czysty szafir nieba. Potem wypalił cały funt papierosów, siadł przy starem biurku, które tu zniesiono z gabinetu jaśnie pana, wypisał pierwszy wiersz sonetu, wzdychał, ziewał, wypuszczał kółka dymne jak magik, wreszcie z precyzyjną biegłością i wprawą, które mu na razie zastępowały natchnienie, wypisał melancholijny sonet o łkającym deszczu, rozpłakanych drzewach, kwiatach, „krwawych łzach smętnej duszy“ i o słońcu, które wnet kwiatom łzy osuszy i drzewa rozzłoci, ale dla jego duszy słońca nigdy... nie będzie. Takie sonety fabrykowano wonczas wszędzie ku ogólnemu zadowoleniu, a Młyński, kiedy tylko czuł się znudzonym, miał ból głowy lub nie mógł za-

snąć, siadał i rzucał na papier taki drobiazg nastrojowy, drwiąc zresztą w duchu z takiej poezji i pogardzając tem śmieciem, rzucanem na bibułę dziennikarską. Po tym nowym siódmym deszczowym sonecie legł na kanapie z rękami pod głową założonemi, z papierosem w ustach i zapuścił się w medytacje. Czemu ten szelma Łakomyski nic nie odpisuje na tak serdeczną epistołę? Odmalował mu przecież w liście cały swój tryb życia, chłopów, starego Średniawskiego, śmieszność Opalińskiego, jej *beauté de diable*, inteligencję wysoką, wspólne arcymiłe wycieczki, subtelne nastroje, jednem słowem zwierzał mu się ze swych artystycznych emocji, a ten nic, milczy, nie pisze. Knuje coś szelmutek, myślał Młyński, knuje gdzieś jakieś intryżki teatralne i niema czasu wdawać się w liryczne korespondencje. Ot, teraz sierpień, w dzień to włóczy się z aktorkami po Planciech, gdzie pełno gawiedzi i stara się wzbudzać w przechodzących mimo samcach zazdrość, od szóstej myszkuje gdzieś po parku miejskim, o siódmej siada w operetce na swoim recenzyjnym fotelu i choćby 30 raz hałastra operetkowa wrzeszczała „Biedną dziewczynę", on entuzjasta czystej „sztuki dla sztuki" dosiedzi do końca, będzie ziewał, spał, siedział tyłem do sceny, ale końca dotrzyma na swej „placówce" i wyjdzie z ostatniem „zleceniem" kurtyny. Biedny Łakomyski! I Młyński lituje się w myślach swych nad weltschmerzem Łakomyskiego, który wypędza to indywiduum arcyspółczesne z domu i każe mu się włóczyć po najobrzydliwszych spelunkach, po norach karciarzy i pijaków, do tej budy teatru letniego dzień w dzień, dzień w dzień i nudzić się i zanudzać innych. Byle nie w domu! byle nie w domu! Biedny Łakomyski!

Ktoś zapukał do drzwi. Młyński ruszył się z kanapy; na progu stała pani Stefa. Młyński zdziwiony podbiegł teraz ku drzwiom. Nie była jeszcze nigdy w jego pokoju.

...Przepraszam panią za obłoki dymu, ale schodzi pani w nich do mnie jak natchnienie, mówił półgłosem, całując jej rączkę „namiętnie".

...Tymczasem nie jak natchnienie. Przyszła poczta, przynoszę panu listy i gazety. Jeden list mój własny, ale obchodzący nas oboje. I siadła zarumieniona przy biurku bokiem, aby nie patrzeć w rozłożone papiery, a Młyńskiemu podała ćwiartkę papieru listowego. Czytaj, Poldziu!

Młyński nerwowo przebiegł treść listu, z początku zbladł, potem dostał rumieńców, wreszcie czytając podpis roześmiał się serdecznie.

...Tego podpisu pani nie zna? Ja także i nikt, gdyż nie istnieje na globie ziemskim: Hilary Kropiwnicki. Ale istnieje natomiast mój przyjaciel Łakomyski, który się w mieście obecnie nudzi między 2-gą a 5-tą po południu i czas jak może biedactwo zabija.

...Więc to przykry anonim?...

...Pisał Łakomyski, śmiał się wesoło Młyński, tylko że przenigdy anonim! Łakomyski twierdzi, że anonim to podłość, gdyż każdy list powinien być podpisany, choćby pierwszem lepszem, byle czytelnem nazwiskiem. Dlatego podpisuje na swoich liścikach, które mają zawsze na celu zawiązać przerażającą intrygę a zawsze chybiają, raz markiza Pallavicini, raz Alfonsa Rotschilda, raz Ibsena, to znów pana Macieja Marcinkiewicza...

Pani Stefa śmiała się serdecznie. List ostrzegał ją dość nieudolnie przed Młyńskim, jako że ma w mie-

ście stosunek z pewną wdową, jako że pewnej szwaczce nie zapłacił alimentów, aż go procesowała, a że jest nałogowym uwodzicielem kucharek, a nadto cokolwiek... chorowitym... z pewnych dość dyskretnych powodów. Ostatnim argumentem było, jak lubi pożyczać pieniądze od... mężów... uwiedzionych żon...

Śmieli się oboje, choć Młyński z pewnem wymuszeniem. Raz już postanowił oduczyć Łakomyskiego tych anonimów, któremi skomplikowany przyjaciel starał się zawsze krzyżować jego zamiary. Tym razem Łakomyski, kiedy dostał list entuzjastyczny o wsi i pani Stefie, wykombinował, że Młyński dobija się do pięknej Opalińskiej. Furja samczej zazdrości widocznie bardzo go już oślepiła i ogłupiła, kiedy tak niedołężnie obmyślił swą nową intryżkę. Młyński śmiał się, ale złość nim szarpnęła.

...Proszę w takim razie o kopertę, przerwała śmiechy pani Stefa.

...A co, cudo, zamierzasz uczynić? pytał Młyński.

...Zobaczysz, nałogowy uwodzicielu...

Młyński podawał pięknej kobiecie kopertę listową, jednocześnie pochylił się i ustami dotknął jej włosów tuż za uszkiem, co wiedział, że damulkom czyni zawsze miłą emocję. A że pani Stefa główkę lekko jakby w omdleniu przychyliła w tył, więc ujął ją wpół, przegiął i w namiętnem wzburzeniu całował „jak pijany" w czoło, w oczy, w usta, szyjkę, piersi, szeptając już konwencjonalne w tych warunkach: kocham... jedyna... znów będziesz moją... tylko moją... oszaleję... muszę cię mieć całą i t. d. Wreszcie zmęczył się, ale dla stylowości klęknął na oba kolana i głowę oparł na jej kolanach. Opalińska poprawiała włosów, pierś jej oczywiście „falowała" ze wzruszenia; w duszy cie-

szyła się, że to dopiero początek, dobry początek... Na myśl obojgu jakby błyskawicznie przyszedł ten „pasożyt", ten „fujara Jerzy", któremu obecnie Fräulein Clärchen kładzie gliniane pokrywki grzane w ręcznikach na bolący brzuszek, a równocześnie na głowie zaczynają rość różki. I pani Opalińska mimowoli roześmiała się.

Młyński wstał, gdyż go kolana już zabolały. Namyślał się, czyby nie wypadało wypowiedzieć okolicznościowo heroicznego monologu od słów: „Opętałaś mnie! Choć wiem, że lecę w przepaść, zamykam oczy, bo wiem, że niemasz dla mnie ratunku..." Ale dał spokój na teraz, tylko przeszedł pokój bohaterskim krokiem, jakby głęboko tragicznie zamyślony i stanął przed oknem. Pani Stefa tymczasem włożyła anonim w kopertę, zakleiła i pisząc adres zawołała głośno: Wielmożny pan Gustaw Łakomyski... a ulica?

...Zamkowa — jeden, śmiał się wesoło Młyński, wyobrażając sobie, jaką minę zrobi Łakomyski, kiedy dostanie ten wiejski pasztet. Głupi Łakomyski, trzykroć głupi, ani się przez moment nie spodziewał, jak swym anonimem prędko pchnął ich stosunek na normalne tory. Kiedy pani Stefa wychodziła z pokoju Młyńskiego, poprawiała fryzurę po raz drugi, ale oprócz fryzury już poprawić musiała i sukni, dopinać stanika i szepnąć zresztą konwencjonalne w tej sytucji:... Ej ty grzeszniku! ty...

Wreszcie szeleszcząc jedwabną halką wyszła.

Młyński zapalił papierosa i, odbywszy zwykłe praktyki, zaczął rzeczywiście nerwowo chodzić po pokoju, stawać przy oknie, znowu chodzić, znowu stawać na środku pokoju, medytował. Chwilę myślał, czyby nie wypadało wypisać teraz nowego sonetu niejako dzięk-

czynny, w każdym razie namiętny, krwisty, lubieżny, coś grecko-erotycznego np. „Hero i Leander", ewentualnie „Odyssej i Kallipso", ale przyszedł do przekonania, że to wobec tego, co już zaszło, niekonieczne. Nie trzeba już brać Stefeczki „na sonet", mruknął do siebie zadowolony i medytował dalej. Ostatecznie w pani Stefie się nie kocha, gdyż kochać mu się wogóle już trudno bez ciągłego sceptycyzmu rozpiętego nad kochanym objektem jak parasol. Ale grzechem o pomstę do nieba wołającym byłoby nie brać, co dają. Zaczynał sobie przypominać różne szczegóły swojego na wsi przy niej pobytu i dopiero teraz odczuł, jak oddawna na niego „leciała". Dotychczas jakby tego nie uważał, a jeżeli chwilowo zwrócił uwagę na jakie czulsze słowo lub gest pani Stefy, przypisywał to artystycznemu pokrewieństwu dusz, wspólnym rysom charakterów, wreszcie wogóle pewnej stałej słodkości i ciepłym oczom żony Opalińskiego. Przecież nawet kiedy do tego pasożyta mówiła czasem „ech, wiesz Jerzy, zaczynasz być nudny", to tyle słodyczy w to kładła, jakby mówiła: zaczynasz być rozkoszny... Młyński miał ją za przesłodką, a nie badał, czy ta słodycz nie jest przybraną tylko na jego benefis. A tak było.

Pani Stefa była despotyczną względem służby, impertynentką wobec męża, ale przy świadkach w jednej chwili nabierała słodyczy i ujmującej łagodności. I to było właśnie pewnym pieprzykiem jej charakteru, przypomniał sobie Młyński, kiedy raz np. słyszał jej ostry podniesiony głos, którym, domieszając obelżywe wyrazy, beształa kucharza w jadalni, a po króciutkiej chwili wyszła na ogród słodko, wesoło, czule uśmiechnięta. Temperamencik jest, mruczał półgłośno pod-

niecony Młyński, o jest, oczka czernieją prędko, chrapki ruszają się rasowo, potem się oczka dla dyskrecji jakby dawniej mówiono ze „sromu niewieściego" zamykają, paniusia udaje bezsilną w cudownie łudzący sposób i zdaje się mówić, krzyczeć o tej bezsilności, o tem omdleniu, z którego każdy człowiek, jeżeli ma „kroplę honoru" we krwi, powinien zaraz, zaraz korzystać. Młyński wesoło zaśmiał się, zatarł ręce i zaczął gwizdać coś pod nosem. O łatwo poszło, aż za łatwo, ale tak wygodniej; myślał, że przyjdzie jaki dwutygodniowy stan oblężenia, denerwowanie się wzajemne, okresy refleksji moralnej, cofania się, gniewy, przeprosiny, łzy, sceny, awantury, jak zwykle bywa i bywało zawdy. A tu nic z tego. Twierdza pierwszego dnia wywiesza białą flagę ukoronkowanej bielizny, poddaje się, zamyka oczka dyplomatycznie, potem śmiech, znowu przyłgnięcie ustami do siebie: upojenie, szał, śmiech, bachiczny śmiech i poczciwe staropolskie: Ej, ty grzeszniku... *Voila tout*...

Teraz dzwonią na obiad, słońce rozproszyło i przepędziło wszystkie chmury, pokazało się przeczyste, jasne niebo pogody, apetyt będzie kolosalny!...

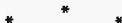
Młyński starannie oczyścił sobie paznokcie, ręce oblał rezedową wodą, klapy surduta „idealem", jedynym idealem, w który narazie wierzył, a w butonierkę zatknął drobny, delikatny kwiatuszek: mieczyk, *gladiolus*, kwiat pokolenia. Wybrał mieczyk dla pani Stefy specjalnie. Raz mówiła do niego, kiedy szli po zielonej niekoszonej łączce, a Młyński rwał tu jakby krociami rosnące mieczyki:

...Zbieraj pan, zbieraj, to nasze kwiaty herbowe, to ulubiony kwiat motywów secesyjnych, to pański kwiat szczególnie. Anemja, bladość barw, krótkotrwa-

łość, samotność, wydelikacenie, a piękność linji, formy, smukłość, subtelność... Prędko więdną...

Odtąd zbierał, nosił je w butonierce, zaprzyjaźnił się z mieczykami, a do obiadu brał zawsze świeży wpół roztulony kwiat. Tym razem pana domu nie było przy stole z powodu żołądka i przejedzenia kolacją u Dzierżanowskich. Polecił lokajowi wytłumaczyć swą nieobecność, a pani przeprosić Młyńskiego. Oczywiście Młyński przebaczył, jadł z kolosalnym apetytem, sypał dowcipami, drażnił się z dwunastoletnią pryncessą Lolą, nadskakiwał i zasypywał komplementami Fräulein Clärchen, wreszcie gdy Fräulein z dziećmi wstała od stołu i pożegnała się, oboje ze Stefą wypili po trzy kieliszki arcycudownie zielonego likieru do czarnej kawy. Stefa kazała zaprządz parkę karych do linijki, okryła główkę zgrabnym kapelusikiem. Młyński ujął lejce w urękawicznione dłonie i rączym kłusem wyjechali za bramę żelazną w aleję wiśni, w słońce, w świat.

Odtąd upływały Młyńskiemu tak rozkoszne dnie w Boguszowicach, jak niegdyś królewiczowi w Aranjuez, tylko już nie szły owym sielankowym kształtem tarzania się w przyrodzie, a popularniejszym w świecie miejskich ludzi trybem oszukiwania głupiego męża, okradania go z t. zw. czci i wyszydzania ośmieszonego rogacza bez litości.



Z dawnych sielankowych zwyczajów zachował Młyński już i niewiele. Nie znosił do swego pokoju całych krzaków jałowca, wielkich gałęzi dębiny i wiechci z kwiatów; z powodu chłodniejszych poranków nie wybiegał szarym rankiem w pola, ale wysypiał się solidnie i higienicznie; nie odwiedzał już cha-

łupy Średniawskich, nie bawił się już z bobiętami wiejskiemi, nie łaził od stajni do wozowni i od krowiarni do chlewów, nie zagapiał się na zaryte w czarnem błocie okazy ohydnych wieprzów tak podobnych z fizjognomji do wiedeńskich ekscelencji i dyplomatów. Spacerów piechotą, wędrówek po lasach zaniechał, więcej siadywał w ogrodzie, grzał się w słońcu przy inspektach, gwarzył ze starym ogrodnikiem. Małe chłopaki plewiły w sadzonkach, obok zeschłego gnoju piekły się w słońcu dość brudne szkła inspektów, a stary Walery, podobno jeszcze łasy na dziewuchy, pouczał go bardzo poważnie:

„Te oto długie zielone, to ogórki Noas, bardzo stary gatunek, pochodny z nazwy od proroka Noego, co to, proszę łaski pana, chadzał wciąż przed Panem i pijał piwo dzbanem, a tamte oto, co ich taka kupa Koenigsdorwskie z nazwy od bitwy, co ją austrjackie wojsko wygrało nad Francją, tedy ku pamiątce owej bitwy, a tu te melony, co im tylko zady żółte widać, to łaski panie rozmaite, jest ścierwo i malaga, ale łatwo od ogona gnije, jest i dla jaśnie pana dziedzica specjalnie chowany karmelitański Kantalup. Kawony tom ta trzymał psiekrwie, alem wydalił, bo nie chytały ziemi, a były węgierskie! rarytne!... Stary Walery miał kilka przymiotników, któremi obdarzał świat roślinny stosownie do humoru i fantazji; tak więc wszystko było raz cesarskie, to napolitańskie, to wczesne, to erfurckie, to piramidalne, to amerykańskie. Kiedy więcej zalał głowę już od rana, to szermował i łaciną bez zająknienia.

...Wicek, szelmo, krzyczał, tobie, niedojdo, obcinać non plus ultrę, a lepiejbyś se pazury u palców obcinał, huncwocie!

...O, widzi łaski pan, całą altanem po cesarsku obkwiecił i to zwykłem tałatajstwem, bo to, paniedziku, tylko Wytyrus modratus wyczka pachniąca, to tam to Sempius pnonceus, Sępota pnąca, ot Nasturdzyja vulgaris, powój napolitański i już cała parada. A jaśnie pan to mi trzy ruble za to aż wsunął, żem taką piękną altankę wyrychtował...

I Młyński wdzięczny był Waleremu za tę altanę tak cienistą i pachnącą jak wielki bukiet. Tu spędzali z panią Stefą całe poobiedzia w najrozkoszniejszych nastrojach, w bezpamiętnem upojeniu, w tęsknych zamyśleniach, w rozkochanem wpatrywaniu się w siebie, tu grzeszyli przeciw „pięciu" przykazaniom, tu szli zuchwale i śmiało za silnym głosem natury, tu ogarniał ich szał i... zmęczenie.

To bowiem już mają w sobie te zakazane owoce miłości, że po najlżejszem przejedzeniu się niemi ogarnia grzesznika przeraźliwa czczość, jak dawniej mówiono wyrzuty sumienia i skrucha. I szczęśliwy Poldzio, chwilowy dzierżawca tak pięknej i rasowej brunety jak Opalińska, pieścił ją i gładził rączki, zamykał jej ciemne oczy pocałunkami i rozpuszczonemi włosami owijał swą szyję, wprawiał ją w kataleptyczne spazmy roznamiętnienia, półłkania, płacze, bawił się jak oszalała kotką, ale od czasu do czasu ziewnął też przeciągle, w ręce brał fioletowy to biały aster i z obojętną bezmyślnością darł jasne listeczki na ziemię.

...Wiesz, mówił raz do rozciągniętej na puszystej murawie, zaróżowionej od gorąca, rozigranej od pieszczot pani Stefy, wiesz, że ten syn psa i wilczycy Lupus zaczyna tracić dla mnie sympatię; to coś bardzo przykrego dla mnie, ale to ciekawe...

...A to co nowego? Chcesz, żeby i Lupus kochał się w tobie?

Młyński z szczerą irytacją i żalem jął opowiadać, jakto do niedawna Lupus już tak się z nim oswoił, jak ze stróżem Wojciechem, jakto mógł siadać na kamieniu przy budzie tuż, a wilkołak kładł mu wielki łep na kolanach, jakto mu znosił kości, cukier, chleb, jakto pies myrdał pufiastym ogonem na jego widok, mruczał, ciągnął łańcuch naprzeciw. A teraz? Teraz kości gryzie, chleb zjada, ale bestja nie da się zbliżyć do budy, warczy, rozdziawia czerwoną paszczę i chce go połknąć całego z manuskryptem noweli w kieszeni.

...Ale ja go oduczę tych fochów i złości, ja szelmie pokażę, groził Młyński. Albo mnie polubi znowu i będzie kiwał ogonem, albo mu przed odjazdem strzelę w łeb...

I pełnoletni markiz z tych tańszych markizów jak rozgrymaszony dzieciak bił po główkach czarną laseczką aksamitne bratki o mądrych oczkach, szerokich buziach i mdłym zapaszku. I gryzł wargi ze złości i zdawało mu się, że już na serjo jeden tylko problem życiowy drogę mu zabieżył, problem psa. Młyński w rzeczywistości nie dał za wygraną. Codzień podchodził do budy, znosił całe worki kości, odpadków, kazał pachciarzowi skupywać ochłapy w mieście. Dziki pies machał ogonem na znak radości, że tyle mięsa dostaje, nocami nie rozdrapywał już padliny, nie biegał jak wściekły, leniwiał, ale swemu dobroczyńcy do kamienia pod budą zbliżyć się nie dał. Gdy Młyński był już blisko, pewny siebie z ochłapem w ręku, pies z przed budy warczał złowrogo i chrypliwie, wyszczerzał kły i nie ruszał się. Każdy następny krok był już groźny, gdyż pies zrywał się na równe

nogi i już, już miał się rzucić, kiedy Młyński z wściekłością w duszy, a ochłapem w ręku szybko cofał się. Próbował zjednywać psa cukrem, nie pomagało; słodkiemi słowami, pochlebstwami, nie pomagało; wreszcie wyprowadzony z cierpliwości przyszedł raz ze szpicrutą. Machnął nią ze świstem przed budą, pies rzucił się jak wściekły, omal nie zerwał łańcucha. Młyński zgrabnie z boku świsnął psa w kark, odskoczył. Lupusowi zła piana z krwią szła z gęby.

Odtąd człowiek psu a pies człowiekowi zaprzysięgli zemstę. Pies wył i szarpał łańcuch niewoli, pienił się, rwał, kopał ziemię, człowiek mścił się. Raz zgrabnie osypał psu nos i mordę tabaką, raz oblał terpentyną ochłap i rzucił psu, który wił się później w boleściach. Raz bił kamieniami z za parkanu ogrodu wprost na psa i jego budę i radował się, gdy rozwścieczony pies z kulejącą nogą właził do budy. *Ecce homo sapiens!* Tfy!

A kiedy później medytował nad tem i analizował siebie, skąd pochodzi ta nienawiść do psa, to drażnienie się z nim, dokuczanie, barbarzyńskie rzucanie kamieniami, czy to może jeszcze dziecinna złośliwość, czy też ten motyw psychologiczny, że człowiek „genjalny" ma zawsze bardzo wiele z człowieka pierwotnego, z barbarzyńcy, wkońcu przychylił się do tej drugiej alternatywy i chciaż ze łzawym sentymentalizmem skonstantował, że ma wiele z dziecka, ale psa bije kamieniami, bo... „genjalny". I był nadal ze siebie zadowolony.

A wreszcie i psu dał spokój, i zagłębił się w studjowaniu... Opalińskiej. Rzecz dziwnal silna i zapamiętała namiętność tej kobiety zaczęła go pętać, otumaniać, ogłuszać. Niby nie kochał się w niej tak, jak

w tych innych, co przedtem były, niby brał tylko, co szło do rączek, niby „używał" jej, tylko sympatyzując z jej zuchwałym i niecodziennym charakterem, niby cenił w niej tylko mleczność cery (u brunety), rasowe chrapki, przepych ciała w wykwintnej bieliźnie i niebezpiecznie szeleszczących modnych tualetach, niby tylko narkotyzował się uwodzeniem, złodziejstwem, oszustwem, niebezpieczeństwem odkrycia, grożącym skandalem, niby ziewał często, kiedy siedział przy niej zmęczony, a ona opierała mu na piersiach swą klasyczną głowę „uginającą się pod ciężarem pysznych, lśniących jak jedwab włosów", a kiedy jej zbrakło na moment, kiedy szła wydawać dyspozycje gospodarskie, cofała się do swych apartamentów, kiedy żegnała się z nim na dobranoc i szła tam, do tego, do niego, no do tego bałwana, niedołęgi, pasożyta, małpoluda, do tej rodowej sypialni Opalińskich, małżeńskiej sypialni, wtedy, „kwiatkowi kawiarnianemu" krew uderzała do głowy, głos mu się łamał i chrypiał z zazdrosnej samczej wściekłości i szedł do siebie ciężko. Bywało wyskakiwał oknem, podstawiwszy sobie stołek, na rabaty i szedł w ogród jak najdalej, gdzie najciemniej, siadał, wypalał całe porte-cigarre i dusił się ze złości, z bólu. Bywało rzucał się na kanapę, medytował, rozpaczał i zasypiał nad ranem w zatrutej dymem gęstej atmosferze. Bywało zasypiał w wściekłości jak kłoda rzucona w materace i budził się aż rano z szatańskim bólem głowy. Już nawet tracił apetyt.

I teraz kiedy już nastawały chłodne wieczory, kiedy powietrze stawało się coraz czystsze, niebo przy zachodach coraz purpurowsze, a z nad świeżych ściernisk i znowu zoranych pól wznosiły się białe opary i mgły, teraz dopiero Młyński przychodził do przeko-

nania, że on jest w dole, że on jest wodzonym na pasku, posuwanym na szachownicy, że jest pobitą zwyciężoną stroną, że on jest „używanym", jednem słowem, że to on kocha się w Opalińskiej i to „na ostro". I jak tu przyjdzie po tak archanielskich miesiącach, przy tak cudownych warunkach (jak przypadłość żołądkowa „tego żony swej żony") jak olimpijska pogoda i urocza natura, jak tu przyjdzie od tej kobiety odjeżdżać, pożegnać ją na długo, długo, nie zatapiać się więcej ustami w tych pachnących włosach, nie figlować jak z kotką, nie nosić na rękach, nie kłaść na puszysty, wonny ciepły mech, nie wtulać się w to doskonałe ciało, spragnione niekończących się rozkoszy.

Młyński zaczynał bywać tragiczny. Zamyślał się, posępniał, chodził zły i niezadowolony, z lada głupstwa wysnuwał złośliwości, wzdychał, oczyma wodził jak zahypnotyzowane medjum za szeleszczącą jedwabiem Stefą. Fräulein Clärchen wiedziała wszystko i więcej niż wszystko i starała się tylko dzieci jak najwięcej izolować od miejsc, które ulubiła sobie cudzołożna para. Pryncessa i ordynat jak dawniej przepadały za nim, spinały mu się na plecy, obcałowywały go, ordynat przynosił mu zrywane polne kwiatki, a dwunastoletnia pryncessa, dziewczątko zapowiadające przyszłą piękność, miało pasję brać grzebień i szczotki i czesać go na rozmaity sposób, przytem targać za wąsy, przepraszać, całować, znów czesać. Tam, gdzie się ta trójka zeszła, był zawsze hałas, pisk, śmiech, krzyki, aż przychodziła Fräulen Clärchen zawsze z surową miną i brała dwa kociaki do nauki, ani spoglądnąwszy w stronę Młyńskiego. Miała go za skończonego łajdaka i pogardzała nim, a biedny Młyński w tym wypadku dał za wygraną, nie próbował już zdobywać

serca starej guwernancicy, wolał stan zbrojnego pokoju. W każdym razie dzieci nadal go kochały, pogoda nadal była przepiękna, a choć Lupus i guwernantka warczały, pal licho! Mama cudowna!

O Opalińskim prawie nie myślał. Codzień bywał oficjalnie przy łóżku słabującego i próżniaczącego właściciela Stefy. Mówili o rzeczach ogromnie obojętnych, spierali się monotonnie o kwestję „sztuki dla sztuki", często obaj ziewnęli jeden po drugim, wreszcie Młyński odchodził. Pan domu miał zaraz, jak tylko żołądek przestanie go uciskać, jechać do Warszawy do lekarzy znakomitości, aby raz wreszcie rozpocząć poważną kurację. Młyńskiego prosił, aby mu towarzyszył, gdyż w tym stanie zdrowia obawia się sam jechać. O odmowie nie byłoby i mowy.

Na Młyńskiego padła ta prośba jak pierwszy grom z nieba, zapowiadający klęski. Zastanawiał się, czy ta prośba to skutek pewnych podejrzeń Opalińskiego i czy Opaliński chce mu dać do zrozumienia, że bądź cobądź wypadałoby z Boguszowicami już się pożegnać, czy też tylko prośba bez motywów ubocznych. Wnet przekonał się, że tylko to drugie, że ta „żona żony" nie podejrzewa nawet cienia stosunku między nimi, że z tej strony może być spokojny, ale że dla ugruntowania tego spokoju Opalińskiego będzie musiał jechać z nim do Warszawy. Pani Stefa z początku irytowała się i zaprzeczała, twierdziła, że poczciwy Jerzy jest tak ograniczony, że mu żadnych „ugruntowań spokoju" nie trzeba. Ale on ma jechać dlatego, aby potem sam spokojnie mógł zostać u nich aż do zimy, a właściwie i na zimę. I pani Stefa klaskała w ręce, skakała z radości, spinała się i klękała mu na kolanach, włosami zakrywała twarz, spisywała na kar-

teczce cały miljon sprawunków, o których, jak mówiła „obaj mężowie" niedołężny i dołężny mieli pamiętać. Była żywiołową, była upersonifikowanym instynktem, czystym instynktem, poza wszelkiem dobrem i złem. Rzeczywiście w pieszczotach swych miała Opalińska coś z dzikiej kocicy i w pozach, gestach, przymilaniach się, przegięciach miała tę znużoną a groźną grację pantery, która w przepięknej linji skoku rzuca się na swą zdobycz. Młyński głupiał. Tracił siebie, tracił swą żywość, lotność, pogodę, wesołość, a na karku czuł jakiś ciężar, opadły nań bezlitośnie, chylący go ku ziemi, czuł zwyciężającą go namiętność Opalińskiej. Zaczynał wprost z rozpaczą rozmyślać nad tym wiszącym nad nim mieczem Damoklesa, koniecznym wyjazdem do Warszawy aż nagle ni stąd, ni zowąd ucieszył się nim. Zobaczy znowu Warszaweczkę, nie widział jej od dwóch lat, będą w teatrach, będą się tłukli na gumach, Lours, Stępek, Europa, wystawy, ruch, szyk, światło. Ot, żeby tak z panią Stefą „dymnąć" do Warszawki, toby była wyższa rozkosz, wspólny hotel, spacerki, kolacyjki, szamp, ale cóż kiedy panterka zdrowa jak ćwikła, nie cierpi na żołądek, nie potrzebuje lekarzy, tylko właśnie jej... mąż, właściciel. Swoją drogą, obliczał Młyński, nie byłoby monety na taką wycieczkę we dwójkę z mężatką. Tak w Warszawce pohulamy z mężem, a po Warszawce wrócimy do żony, do naszej, naszej żony.

Do Łakomyskiego wysłał kartkę tej treści: Winszuję Ci studjum o „apatji współczesnej". Czytałem je w *Revue des deux mondes*, już tłumaczone. Jest monumentalne! W ostatnim liście do pani Stefy Opalińskiej pismo źle fałszowałeś; dlategośmy zaraz odkryli.

Opowiadałem jej wiele o Tobie, malując Cię jako rzeczywiście interesujący typ rozkładu moralnego. Pragnie takiego poznać. Obecnie jadę do Warszawy. Kocham Cię jak Cię kochałem Twój Leopold M...“ Mniej więcej w tym tonie korespondowali zawsze ze sobą.

Wreszcie pan domu wstał z łoża boleści i nudzenia się, odwiedził swą pracownię, z bólem serca zamknął, odwiedził ogrodnika i kazał wszystkie morele układać w swoim pokoju na oknach, w słońcu, gdzie niema ós i pszczół. Następnie zaczął pakować się do drogi, zrzędził, grymasił, zanudzał służbę i żonę tem pakowaniem i cieszył się tylko z tego, że Młyński, „specjalista do wielkich miast“, jedzie z nim także.

Wreszcie nadszedł dzień wyjazdu. Konie parskały przed werandą, lokaj szykował walizę i kuferek, Fräulein Clärchen z dziećmi czekała przy koniach. Opaliński zamykał coś jeszcze i kończył się ubierać w swoim pokoju. Młyński był niewyraźny; smutek go brał na myśl, że jej nie będzie przy nim tyle dni, że straci z przed oczu tę ukochaną, ciągle wesołą twarzyczkę Stefitty, że nie będzie słyszał tych trylów kaskadowych śmiechu, tych miłosnych garlanych szeptów. Z drugiej strony czuł się trochę wyczerpanym, nadszarpanym, umęczonym, stępiałym, czuł się trochę niewolnikiem, może poliszynelem, może gracikiem do igraszki w jej ręku, pragnął zmiany, powietrza. Spotkali się w „jadalni“. Pani Stefa miała czerwone oczy, widocznie od płaczu, widocznie nie za tamtym tam panem. Młyńskiego ukłuło coś głęboko w serce. Zbladł, przysunął się do niej i stanął bezradny. Padła mu w objęcia całym ciężarem, rękoma odrzuciła poły jego podróżnego płaszcza, aby odczuć ciepło ko-

chane, wtuliła się w niego, i oddychała ciężko. Młyńskiemu szły łezki z oczu, całował ją jak szalony, całował fałdy stanika, broszkę, szyję, usta, czoło. W oczach miał ciemność, mroczyło go, byłby upadł.

W wielkim salonie słychać było kroki nadchodzącego pana domu; rozerwali się. Młyński wyszedł szybko na werandę, Opalińska wycierała łzy i żegnała się z mężem, niezmiernie zdumionym jej roztkliwieniem i serdecznością pożegnania, tak niezwykłą u niej.

...No, bądź zdrowa Stefa, mruczał, nie płacz! Przecież mnie operować nie będą, no, będę u doktorów jednego i drugiego, ale prawdę powiedziawszy, to więcej jadę trochę się przewietrzyć, bo się djablo wynudziłem; no, pa Stefa, przywiozę ci za to coś ślicznego...

Pani Stefie zrobiło się lżej na sercu... Nie, ten Jerzy idjota był za komiczny w swem baraniem zaufaniu. Nie, to rogacz jakich mało! myślał, że za nim płaczę, głupiec, niedołęga! nie, muszę to w liście napisać Polowi.

Panowie wsiadali do powozu, dzieci spinały się po stopniach, ordynat chciał płakać, pryncessa się śmiała, tylko Fräulein Clärchen stała surowa, protestancka, pełna moralnego oburzenia i złości, że ten Młyński, co tam w tej altanie *mit Madame romansiert*... teraz tak bratnio, tak przyjacielsko jedzie dla opiekowania się *mit der Person des gnädigen Herrn*. Opaliński żegnał się z dziećmi, pani Stefa opowiadała, igrając z ogniem, stojąc na stopniu przy Młyńskim.

...Tylko pamiętaj, Jerzy, coś mówił! Wie pan, panie Polu, obiecał mi mąż przywieść z Warszawy

coś ślicznego, bylem tylko nie płakała, że jedzie... bylem nie płakała...

Roześmiała się wesoło, a równocześnie ostrożnie i zuchwale kładła jakiś list do kieszeni płaszcza Młyńskiego.

...No, jedziemy!

Dzieci odskoczyły. Opalińska stanęła na werandzie, piękna, wysoka, dumna, przez łzy znowu uśmiechnięta wesoło. Maciek, trzasnąwszy z bata, ruszył na stację. Pojechali.

* * *

W Warszawie stanęli w Europejskim. Wzięli numer o dwóch łóżkach, rozgościli się i, odświeżeni, eleganccy, weseli zaczęli się puszczać. Opaliński był promieniejący. Młyński walczył z refleksjami, medytował, jeszcze łamał się. W nocy w wagonie wyszedł na kurytarzyk i przy migającem świetle wagonowych lampek rozdarł kopertę listu od Opalińskiej. Z koperty wypadło 10 (dziesięć) banknotów sturublowych, a list brzmiał: „...Kocham Cię, kocham, mój Polu. Wracajcie wnet, bo oszaleję. Masz złoto i baw się dobrze, Twoja, Twoja Stefa..."

Krew mu uderzyła do głowy, ręce się zatrzęsły, chrząknął głosem chrypliwym, list i banknoty włożył do kieszeni. Opaliński w wagonie spał i chrapał, Młyński w bezsenności przepędził całą noc, wychodził na kurytarzyk, palił, głowę rozpaloną wstydem cisnął do zimnych szyb okiennych, koło trzeciej rozpłakał się spazmatycznie i łkał do chustki cicho, żałośnie, w jakimś piekielnym, nieokreślonym a dławiącym bólu. Wreszcie wrócił do coupé, siadł i jakby drętwiał. Już i nie myślał tak konwulsyjnie, nie mocował się z su-

mieniem, z honorem, z godnością osobistą, z rozstrojonemi rozpaczliwie nerwami, tylko czuł się ogromnie nieszczęśliwym, biednym, samotnym. Tak, miał u ludzi sympatję i to u tych ludzi z najlepszej gliny, z sercem i prawdziwą, prawie widomą duszą, miał powodzenie i małe triumfy życiowe, miał kilka kochających kobiet w swym pamiętniku lirycznym, w wspomnieniach na dnie serca, miał zacną rodzinę, znośne warunki życiowe, a jednak? A jednak jak powrotna fala wracało doń coraz częściej to uczucie samotności, marności i niezdefiniowanej ale absolutnej niedoli. Ot i teraz! Czemże zasłużył do kroćset djabłów, on, takie nic, taki wyrzutek, proch, taki „mieczyk" marny, kawiarniany mieczyk, kwiatek z asfaltów, na taką miłość eksplozywną, wybuchową, niczem niepohamowaną tak pięknej kobiety? Czemże na taki rzewny, jakby matczyny dowód miłowania: masz tu jeszcze chłopcze ruble nie mów ojcu, baw się... Czuł gorącą wdzięczność dla niej, czuł miłość bezgraniczną i wdzięczność. Swoją drogą pieniądze postanowił zaraz po przyjeździe do Warszawy odesłać. Wkrótce jednak doszedł do przekonania, że takie odesłanie byłoby gruboskórnością i impertynencją. Więc postanowił rozdać po pięćset rubli między szpitaliki i kolonje letnie. Ostatecznie jednak rozdanie nawet sturublówek zakrawałoby cośkolwiek na romantyzm, na pozę i kokieterję sentymentalizmem, a tego strzegł się Młyński jak ognia. Już wolał szczery otwarty cynizm.

Złoto zresztą przyda się, oj, przyda wobec tego, że sam miał niecałą pięćdziesiątrubeljansówkę, tembardziej, że przecież musi, powinien absolutnie jednemu, wiecznie głodnemu lirykowi z Starorypałki, ot takie-

mu, jak ci tam od Schultza blademu kwiatkowi kawiarnianemu oddać jeszcze przed 3 laty pożyczone 30 rubli. W „Starorypałce" liryka Kapuścińskiego nie znalazł, dostał wprawdzie jego adres, gdzieś aż na Pradze, ale łazić na Pragę, aby wynaleźć swego wierzyciela, to wydało mu się słusznie przesadą, romantyzmem, katońską pozą, „przeczuleniem w centrach nerwów moralnych", liryzmem. Bądź co bądź, gdyby coś podobnego był zrobił, naraziłby się na śmieszność. Sam ten pan Kapuściński, liryk tygodnikowy po 4 kopy od wiersza, wydrwiwałby go w „Starorypałce" jako niesłychanego pasażera, ananasa z austrjackiej Galicji, dekadenta od Schultza i t. d. Należało się przedewszystkiem nie narażać na śmieszność.

Więc hulali jak mogli z Opalińskim. Drugiego wieczoru już pili bruderschaft w asyscie dwóch sióstr Madzi i Lolki Malinowskich w Sielance. Trzeciego wieczoru zakochał się poczciwy kiszkowiec Jerzy na śmierć i życie w *mademoiselle La Valette*, ekscentrycznej jeżdżczyni z cyrku Cinisellego. Czwartego atoli już dnia dał jej tysiąc rubli i poprosił, aby go puściła w trąbę na rzecz Młyńskiego. Piątego dnia wreszcie, w „Nowościach" uczuli obaj pewien niesmak w ustach gorzkawy, lekki ból głowy, jednem słowem: kociokwik duszny. Obaj równocześnie zatęsknili za panią Stefą, za ogniskiem domowem, za ciepłem małżeńskiem, za Boguszowicami.

...Słuchaj, Jerzy, mówił Młyński, gdy szli z Madzią i Lolką do Stępka na kolację, właściwie powinieneś już raz być u lekarzy i radzić się, hę? na toś przecie przyjechał,

...Jutro, uważasz jutro, mruczał Opaliński, jutro będę łaził po lekarzach, a pojutrze wracamy do żony.

...Pojutrze wracamy do żony, powtórzył zamyślony Młyński, pojutrze? tak? to chwała Bogu.

I gdy nadeszło pojutrze, wracali obaj przyjaciele znudzeni październikowem miastem do żony... Opaliński wiózł w walizie piękną biżuterję dla otarcia łez z pięknych oczu pani Stefy i dwie pochlebne wypociny recenzyjne w Kurjerkach o swoich „Żeńcach" wystawionych w Zachęcie. Całą drogę koleją odbyli śpiąco.

Wreszcie znaleźli się obaj w podróżnych płaszczach zmęczeni przed stacją kolejową w Karsznicy i oglądali się dokoła. W mieście był jarmark, na podjeździe dworca roiło się od furmanek, wozów, wózków, powozików.

...Maciek! Maciek! krzyczał Opaliński zdenerwowany i zły.

Powozu z Boguszowic nie było nigdzie widać. Maćka ani śladu. Opaliński zeszedł ze schodków i znów krzyczał: A jest tam kto z Boguszowic? Jakiś chłop zdjął czapę wysoką i podchodził, skrobiąc się po głowie.

...A to, proszę łaski jaśnie pana, ja tu z Imbramowic, ale... I utknął.

...No więc cóż chcecie? Nie widzieliście gdzie Maćka z końmi?

...A to i nie widział. Ino że... ano prosę łaski jaśnie pana... Bogusowice się popaliły do cna i bez to koni niema.

Opaliński stanął, zdrętwiał, cygaro wypadło mu z ust. Młyński jeszcze nie rozumiał.

...Co się stało w Boguszowicach, co?

...Ano ludzie świadkują, Bogusowice się spaliły jaśnie panie, wszyćko, tylo co dwór się ostał trochę podsmalony, a całe obejście, stodoły, śpichrz, wozow-

nie, krowy, kunie, lamus, inspekta, wszyćko się skuńczyło...

Opaliński ciężko oddychał, Młyński stał osłupiały, bezradny, chłop tylko skrobał się w głowę i kłaniał do ziemi.

...Ludziom nic złego? odważył się chrapliwie na pytanie Opaliński, nikomu nic się nie przytrafiło?

...Ano nic, tylo co Maćka stangryta sparło palącą belką, popaliło i ogrodnika, ale on ta stary, to ta umrze i mała szkoda. Ino z bydła wszyćko się spaliło do cna, a jesce dzisiaj się ta tli, że ludzie zalewają ziemię, — pan Wolski kumenderuje.

...Zabezpieczone? przerwał chłopu Młyński.

...O tak i to solidnie. Uważasz, strata materjalna mniejsza, tylko nim się to odbuduje, napowrót urządzi, w ład wprowadzi. A to fatalne psiakrew, i to po żniwach! Kara Boska! Kara Boska!

Wsiedli w imbramowicki wózek smutni i milczący i ruszyli w drogę. Chłop ciął konie jak nie swoje i opowiadał szczegóły. Zapaliło się w południe, kiedy nikogo na dziedzińcu niema, bo wszystko we wsi na obiedzie. Pan Wolski był na folwarku, jaśnie pani z dziećmi w lesie. Słońce piekło, ale wiatr dął na las. Zaczęło się od dachu nad stajniami co słomą kryty, na strychu były wory z sieczką, widocznie od tego. W mig poszło na inne dachy, belki spadały na konie przywiązane do żłobów, poszły stajnie, wozownia i kiedy już spory pożar się wściekał, dopiero we wsi zobaczyli, zaczęli dzwonić na gwałt, wszystko się od jedzenia zbiegało, zdzierali osękami dachy, wytoczyli sikawicę, zrobili z bab łańcuch do studni, aby wody nie brakło. Wozownia była zaryglowana, rygle odwalili, ale już zapóźno. A wszyćkiem rządziła i „kumende-

rowała" Fräulein, co sama jedna z dworu była. We dworze każde drzwi zamknęła na klucz, żeby przez ten czas złodzieje nie plądrowali i sama z osęką szarpała dachy, krzyczała po niemiecku, czesku, polsku, kierowała wężem sikawki, aż się cały naród wiejski dziwował. Potem przygalopował z folwarku pan Wolski, przyjechała z Karsznicy straż ogniowa, przybieżeli ludzie z Gosławic, z Przybyszówki pan dziedzic z synami i fornalami, wreszcie pani strasznie blada i przerażona z dziećmi z lasu, gdzie były na spacerze, ale choć ludziska ratowali i baby lamentowały i modliły się i obraz Matki Boskiej i wizerunek św. Florjana wyniesiono na dziedziniec, wiatr dął jak wściekły i walił na śpichrz, smalilo i zwęgliło stare wysokie topole. Choć parobki pokładły mokre ściery na dach, nic nie pomagało. Iskry i kawały palącej słomy wpadały przez zakratowane okna i w moment dwupiętrowy, murowany dom buchnął płomieniami. Potem już wszystko poszło, stodoły, kuźnia, wysoka góra ze słomy na mierzwo, maszyny, buda z kieratem, w inspektach pękały szyby i szkło zaczęło się topić, a owoce piec się na żywym ogniu. Do wieczora wszystko było gotowe, wszędzie okropne gorąco i zaduch, dym, spalenizna, ziemia czarna pod spaloną trawą, Fräulejnie popaliło lewą rękę. Wszystko to miało miejsce w trzeci dzień, jak jaśnie panowie odjechali...

...W południe się zaczęło? pytał Opaliński.

...A ino.

...Pamiętasz, właśnie w południe poznaliśmy w Saskim ogrodzie Lodzię i Madzię... A to skład okoliczności! Dziwne!...

Młyński zamyślony, przygnębiony nic nie odpowiadał, tylko od czasu do czasu stawał na wózku

i patrzył tylko, czy już Boguszowic nie widać. Do uszu jakieś licho demoniczne szeptało mu tylko: toś ty winien, tak, tyś winien temu pożarowi, temu poranieniu, popaleniu tych dobrych ludzi, tym stratom, ty, twoja miłość cudzołożna, twój grzech, twoja zgnilizna, którą zaraziłeś czystą atmosferę domu! Ty, kwiatek kawiarniany, ty żonę uwodzisz, mężowi drużbujesz w orgjach z kokotami, woziłeś go po Sielankach, tinglach, a tu spadła kara Boska! Wyście szampanowali, a tu był lament, płacz, rozpacz. Tyś układał menu kolacyjek temu, któregoś oszukał i okłamywał bezczelnie. A tu sobie taka Fräulein ręce paliła, żeby ratować ich mienie!...

Szarpał go wstyd za tyle szelmowstwa moralnego, paliło go w gardle, że siedzi koło tego ostatecznie porządnego, dobrego, gościnnego serdecznego bądź co bądź człowieka honoru, gentlemana. Krew mu uderzyła do głowy na myśl, że teraz, po tem wszystkiem, wobec tego, wobec tej widomej kary Bożej, klęski żywiołu, on złodziej z okradanym jest w takiej serdeczności, mówią sobie „ty". Jaką minę zrobi na to Stefa, kiedy usłyszy: Poldziu, Jerzy, mój Polu, mój Jerzy! Jaką minę Fräulein, pan Wolski, okolica? Młyński zagryzał wargi z wściekłości. Do tych szelmostw moralnych dopisał sobie jeszcze ruble darowane od kochanki, a puszczone na krawatki, perfumy, szampiter, fundy, śniadanka i Madzi do pończoszki. Nie, stanowczo jest poprostu łotrzykiem, delikatnie: słabym charakterem, poetycznie: kwiatkiem kawiarnianym! — ale w gruncie rzeczy!... ot lepiej nie myśleć...

I w tym nastroju wysiadał z Opalińskim z wózka. Spaleniznę i swąd czuć jeszcze było silnie. Z poza

sztachetów ogrodowych widać też było wielką ścianę śpichrzu z wypalonemi dziurami okien, czarną, zesmoloną. Na werandzie czekał lokaj i charcica; jaśnie pani u Fräulein, bo Fräulein leży i są dwaj doktorzy z miasta. Pan Wolski na folwarku. Zrzucili płaszcze i obaj wyszli, nie mówiąc do siebie, do ogrodu i na miejsce klęski. Na podwórzu Opaliński stanął jak wryty, Młyński aż jęknął z żalu, smutku, rozpaczy i głuchego poczucia *własnej* winy. Typowy okaz nowoczesnej niepoczytalności etycznej cierpiał boleśnie na przeczulenie moralne. Przypadkowy pożar czy zbrodnicze podpalenie może przez źle zapłaconego robotnika on po nieprzespanych nocach warszawskich brał teraz na swą głowę bohatersko. Małe przeciętne swe łajdactwo podnosił do godności tragicznego łotrostwa. Romantyzował na tle smutnego pogorzeliska, miał się za Lambra, Korsarza, Childoe-Harolda, za Falka, Gordona, za łotra pełnej krwi, gdy tymczasem był tylko, tylko mieszańcem, n u a n c ą pokolenia, kaprysem ducha czasów, nicością obnoszoną przez parę nóg zwichniętych w pęcinach.

Oparł się o jeszcze ciepły, śmierdzący, brudny mur lamusu. Okiem wodził po tych obrzydliwych, przyczernionych ścianach pogorzeli, po spękanych czarnych konarach drzew, po tem grzęskiem błocie ze spalonej słomy i gnijącej wody, po tych gruzach zwalonych, z których gdzie niegdzie jeszcze unosiły się ciemne dymki i obłoczki, patrzył, widział, tracił z oczu, znów patrzył. Nagle drgnął. Od dworu szła pani Stefa, trzymając pryncessę i ordynata za rączki, blada, ciemno ubrana, zmieniona, inna. Szła wprost do Opalińskiego, stukającego laską w popalone mury, przywitała się z nim formalnie i zimno, poczem z Młyńskim równie sztywnie i, nie patrząc nań, mówiła do męża oschle:

...Był dziś rano pan z Towarzystwa! przyjedzie jeszcze komisja, strat materjalnych niema żadnych... Pozostają straty idealne, ale tych ty chyba nie odczuwasz? Patrzyła na męża złośliwie i drwiąco.

...Do pana, panie Poldziu, przyszedł dziś telegram. Leży u pana w pokoju na stoliku. Niech pan go zaraz otworzy, bo może być coś ważnego.

Widocznie Opalińska chciała zostać sama z mężem. Młyński ruszył się, leniwo polazł do dworu, otworzył swój pokój i przy zapadającym zmierzchu czytał telegram: „Łakomyski palnął sobie w łeb, grzebiemy w środę, przyjeżdżaj. Neuperg-Starczyński.“ Zaśmiał się głośno, zmiął telegram, wiedział, że Starczyński dogorywa w którymś niemieckim kurorcie na suchoty, a Łakomyski lubi dla sensacji wysyłać takie telegramy do rodziny, znajomych, przyjaciół, aby choć na moment wzbudzić w nich przekonanie, że on zdobył się na „czynne tchórzostwo“ samobójstwa. Młyński zaśmiał się ironicznie i otwierał list z monogramem Opalińskiej. Kartka była pisana ołówkiem: „Biedny chłopaku mój! Clärchen grozi gangrena, teraz było konsyljum, mocno popalona, muszą amputować rękę. Clärchen dostała jakiejś manji obłąkańczej, twierdzi, że ty jesteś przyczyną pożaru, że jej się śniło, żeś ty podpalił, ma gorączkę 40 pięć kresek. Podpatrywała nas, zaprzysięgła mi, że jeżeli ty zaraz po przyjeździe z Warszawy nie wyjedziesz z Boguszowic, ona wszystko powie Jerzemu. Nie chce być współwinną, nie może na to patrzeć. Robi sceny, bredzi w malignie. Czyń, co myślisz. Twoja, Twoja Stefa“...

Schował list do kieszeni, chrząknął kilka razy, poczem zniósł sam z przedpokoju swój kuferek, otwo-

rzył, zapakował jeszcze kilka rzeczy zostawionych przed ekspadą warszawską, wdział płaszcz i bokami pod murem ogrodowym poszedł prędko w wieś, aby zamówić konie. Zamówił na dziewiątą godzinę, wstąpił się pożegnać ze starym Średniawskim, obszedł dokoła brudny gęsi stawek, nad którym nie tak dawno jeszcze, a już tak bardzo dawno, bawił się i igrał z dziećmi „słowiańskiemi". Wreszcie wrócił do dworu.

Opaliński właśnie opowiadał już wesoło o Warszawie, Sielance, gejszach, nowych cukierniach, znajomych, hreczkosiejach, kiedy Młyński wszedł i, udając ogromne zaaferowanie, oznajmił, że dziś jeszcze musi jechać, że mu wybaczą, że dostał telegram od matki, musi jechać do starego hofrata, który coś niedomaga, że zobaczą się w mieście, że hofrat ma kamienie żółciowe i t. p.

Opaliński absolutnie sprzeciwił się. Zaraz zaczął mu przekładać:

— Ależ, mój Polu, skąd, poco? stary zdrów, straszą cię, chcą cię już mieć przy sobie, mój Poleczku, ani myśli, zostaniesz tu u nas do zimy. Tak, tyś już nasz, należysz do familji, nie puścimy cię... Poczem wziął go wpół i zaczął całować, Opalińska wstała blada z kanapy, popatrzyła na obu ściskających się „mężów" z jakiemś bezbrzeżnem lekceważeniem, prawie pogardą i sztywnym, złym głosem mówiła:

...No mój Jerzy, wybacz, ale nie możesz być natrętnym. Jeżeli ojciec pana Młyńskiego niebezpiecznie zachorował i aż telegrafują o tem po niego, to widocznie powinien jechać, to trudno...

...Tak jest, Jerzy, to niemożliwe! Masz tu zresztą telegram. Samobójstwo mego przyjaciela! o!

...Pan Młyński zresztą przyjedzie do nas może na Święta Bożego Narodzenia, no nie?

...Tak, tak i owszem, dziękuję, ale teraz to rzeczywiście...

Sprzeczali się jeszcze, certowali. Opaliński był szczerze zasmucony i zły. Więcej się tym odjazdem strapił, niż całym pożarem, niż spaleniem wszystkich brzoskwiń, wszystkich gruszek-pryncessas. Miał potężnie głupią i smutną minę.

Zjedli kolację prawie w milczeniu, dzieci jeszcze tylko paplały i śmiały się, przy Fräulein pono czuwała zakonnica.

O 9-ej usłyszeli skrzyp otwieranej szeroko żelaznej bramy ogrodu i chłopski wózek po piasku podjechał pod werandę. Noc była jasna, księżycowa.

Młyński całował się z dziećmi, ściskał z Opalińskim. Teraz Pani Stefa miała łzy w oczach już nieukrywane.

...Wojciechu! Lupus na łańcuchu? krzyczał przed werandą Opaliński.

...To będziemy przejeżdżać koło Lupusa? pytał Młyński ciekawie.

...A jużci, kiwał chłop.

...Na łańcuchu, jaśnie panie, jesce na łańcuchu, krzyczało gdzieś z mroków.

Młyński jeszcze rwał z gazonów przed dworkiem lewkonję, rezedę, astry, układał sobie bukiecik na drogę... na pamiątkę. A gdzie światło z okien dworu nie padało, podnosił macając z ziemi zwykłe, zbłąkane kamienie i chował pokryjomu do kieszeni. Pani Opalińska podawała mu zerwane ostatnie róże. Stefy mąż pilnował, czy kuferek dobrze ułożony w sianie.

...Na stacji będziecie o wpół do dwunastej. Pociąg odchodzi po dwunastej, masz czas jeszcze...

Ale Młyński już się spieszył, coś go paliło we wnętrzu, coś miał w myślach, w planie, chciał tylko skończyć scenę pożegnania.

...A po kawiarniach, Poldek, nie wysiaduj, nie trać czasu, pisz, nie rób się tą kawiarnianą „pflanzą", bo teraz to tosamo te kawiarnie, co dawniej Birbante-Rocca... I poczciwy Opaliński zaśmiał się ze swego dowcipu.

Wreszcie pocałował Młyński panią w obie rączki uroczyście, dziękował za serdeczność i gościnność. Z Jerzym wyściskali się i wycałowali z dubeltówki, po szlachecku, z łezkami w oczach. Skoczył na wózek, machnął kapeluszem i ruszyli.

A kiedy byli poza bramą żelazną, przejechali obok pogorzeliska i dojeżdżali do budy Lupusa. Teraz Poldzio Młyński, „mieczyk kawiarniany" kazał głupiemu chłopu stanąć. Podniósł się na wózku, w lewej miał bukiet jesiennych kwiatów, prawą rękę trzymał w kieszeni płaszcza.

...Lupus! Lupus. A wyjdźno z budy. Lupus! Chcę się pożegnać z tobą, psino, wołał fałszywie serdecznym głosem...

Pies jak wściekły rzucił się z budy i, wyjąc, pieniąc się, szarpnął łańcuch, jak mógł najdalej! Już, już byłby zerwał...

Wtedy Młyński wyciągnął jeden kamień z kieszeni, zmierzył nim na psa i rzucił, potem drugi, trzeci, piąty. Wreszcie szóstym musiał go gdzieś niebezpiecznie trafić, gdyż psi obrońca domowego ogniska

i stróż wierny przed złodziejami zawył tylko jękliwie i jak długi upadł na popaloną ziemię. Młyńskiemu jakiś głaz spadł z serca. Był pewny, że zabił t. z. sumienie.

„Cham“ charknął i splunął na ziemię, zaciął bata i ruszył.

PIĘĆ LISTÓW FILISTRA

I

Pokraków, dnia 25 czerwca r. bieżącego.

Najukochańsza Anuś!

Ano, dzięki Bogu, przyjechałem tu zdrowo i w całości, o czem Ci na sam przód donoszę, abyś nie była o mnie niespokojną. Drogę miałem nie bardzo wesołą, głównie z tego powodu, że było niezmiernie gorąco w wagonie, dużo żydów brudnych i szwargocących i dwóch żandarmów z mordercą zbrodniarzem w środku, który, choć zakuty, ciągle im się wyrywał z rąk i obrzydliwe rzeczy im mówił, przezwiska i klątwy, że niech Bóg uchowa.

Do stolicy zajechałem tak, jak obliczyliśmy z księdzem kanonikiem i z Tobą, kochana Anusiu, o godzinie 2 minut 25, i zaraz pojechałem fiakrem do hotelu, który mi poradził Mazurski. Hotel bardzo ładny, ma dywany na schodach i kwiaty po bokach i dzwonki elektryczne i wszystkie wygódki, jakich tylko dusza zapragnie. Za moich czasów jeszcze go nie było. W hotelu wypocząłem sobie z podróży, wymyłem się, ogoliłem jak wypada i zaraz po godzinie wyszedłem

na miasto. Nie poznałbym już mojego miasta, tak się zmieniło bardzo, i tramwaje elektryczne ma i wodociągi, i pomniki, i chodniki z asfaltu, a sklepy, powiadam Ci, wspaniałe; damy chodzą tak wystrojone, jak u nas na fiksy popołudniu. Dwóch generałów piechotą widziałem zaraz wychodząc z hotelu, jednego może feldmarszałka, tyle orderów miał.

Pochodziłem po mieście ze dwie godziny, z początku poszedłem oczywista do Fibichowej, gdzie stałem studentem na stancji, domu ani śladu, na jego miejscu stoi willa podobno żydowska, jak mi mówił posłaniec Nr. 35. Może tam i nie żydowska, ale zawsze poczciwa Fibichowa tam nie mieszka. Wprost stamtąd poszedłem do gimnazjum, które stoi tak samo jak dawniej, tylko nowiuteńkie okna i stróż tercjan ten sam, co za mnie, stary Jan, tylko ma pomocników i nad bramą napis wśród zieleni: Witajcie! Jan, kiedym mu powiedział nazwisko moje i godność, w te pędy mnie poznał i powiedział, że sobie przypomina, jakto małym smarkaczem w mundurku jeszcze wybiłem szybę w kancelarji dyrektora, co prawdą nie może być, ani rusz, bo wtedy mundurków jeszcze nie było, a ja od 7-mej klasy do tego gimnazjum chodziłem i żadnej szyby, jak przysiądz mógłbym, nigdy w życiu nie wybiłem. Powiedziałem staremu o tem, ale się upierał przy swojem i mówił mi, że przecież kolegowałem z tym Schwarzem, co go to przed 4 laty powiesili. Oczywista, pomylił się grubo co do mej osoby, bo ja właśnie kolegowałem z Weissem, który jest radcą apelacyjnego trybunału i osobą wpływową w całym świecie. Ale to głupstwo. U studni wisi ta sama chochla, która wisiała przed 25 laty, tylko bardzo zardzewiała. Ze łzami w oczach, moja Anuś, napiłem

się wody, poczem poszedłem tam, gdzie się to za studenckich czasów zaczyna ćmić papierosy i tu, ze łzami w oczach zapaliłem papierosa twoją ręką robionego, poczem wnet wyszedłem, aby na godzinę szóstą być u doktora, gdzie się wszyscy zbierać mieliśmy.

W mieście ruch wielki z powodu naszego koleżeńskiego zjazdu, ale na żadnym domu chorągwi nie widziałem, tylko na jednym, gdzie napisane, że przyjechała wszechświatowa panorama. Ponieważ jeszcze był czas, więc wstąpiłem do cukierni, aby się napić kawy i popatrzyć do gazet, alem niedobrze trafił, bo do jakiejś pryncypalnej, gdzie siedziało mnóstwo lafirynd i elegancików z marymonckiej mąki. Ani jednego stolika nie znalazłem wolnego, więc przysiadłem się, uprzejmie kłaniając się do jakichś dwóch gagatków, którzy pili kawę ze słomianych rurek i kazałem sobie dać czarną, na złość im z koniakiem, bo się ze mnie podśmiewali. Poczem poprosiłem o coś z literatury: „Ueber Land und Meer“ albo „Kłosy“, ale głupi pikolo (bo tak teraz na takich małych bąków krzyczą) nie znał nawet takich pism. Gagatki przy mnie parsknęły głośnym śmiechem, więc sobie zapaliłem cygaro za 15 c. i rozglądnąłem się po sali, nie zważając na takie ordynarne sąsiedztwo. Kobiet ci mnóstwo bez mężów, bez ojców głównie z gachami, niektóre z dziećmi ubranemi dziwacznie jak na reducie maskowanej, przyczem dziewczynki może dwunastoletnie, w pończochach do połowy nogi, a reszta goła, co jest chyba bardzo niemoralne i kiedym słyszał, co te gagatki przy mnie mówiły do siebie, tom myślał, że mnie krew od wstydu samego zaleje, choć wiesz, nie jestem od tego, ale przecież, co zanadto to i prosię nie chce, jak to mówią. No, nie?

Już teraz widzę po mieście, jak się zmieniło i wzrosło, ale i zepsucie w niem także. W teatrze jednym grają np. „Arję z Messaliny", a ta ostatnia to była najgorsza kobieta w łacińskich czasach. W drugim: „Piekną Helenę", operetkę, która zdradziła męża swego i to nie raz z Parysem. W innych jeszcze to już wcale nie grają sztuki, a tylko rozmaite szansonetki, o których ci opowiadałem, śpiewają kuplety, a takich najwięcej. Wogóle już po trzech godzinach widzę, jak się przez tak krótki czas zresztą dużo tu zmieniło.

Ponieważ dopiero po piątej, a do szóstej daleko, więc kazałem sobie dać pióro i atrament, pikola posłałem po papier listowy, zabrałem się do pisania i skończyłem.

Kartki ze sprawunkami nie zgubiłem, nuty dla pani dyrektorowej jutro zakupię, także i farbę do podłogi, której tu wszędzie dostać można.

Stasiek huncwot niech nie dokazuje i majtek nie drze, Mani, jeżeli jeszcze..., to dawać olej bez przerwy, zresztą całuję Was serdecznie i Ciebie, moja Anusiu.

Wasz *Ojciec.*

P. S. A pana Piszcza pilnujcie, bo chytry, jutro rano napiszę, znajomym wszystkim ukłony, a psy nie zapominajcie puszczać na noc z łańcucha.

II.

Pokraków dnia 26 czerwca tegoż roku.

Najukochańsza Anuś!

Piszę Ci zaraz po śniadaniu, które zjadłem w hotelu z masłem, ale bardzo kiepskiem. A więc wieczór

wczorajszy odbył się bardzo wspaniale i wesoło opiszę Ci go, jak mnie tylko stać. Do doktora Smoczka przyszedłem przed szóstą, wchodzę, w przedpokoju zarzutki wiszą, wiec myślałem, że się spóźniłem, ale mnie fagas objaśnił, że to pacjenci głównie. Kazałem mu więc powiedzieć doktorowi, że jestem Kostka z samego Mielca od Zjazdu. Za chwilę wybiegł doktór i rzuciliśmy się sobie na szyję jak bracia. Tyżeś to Mostek, o mój Mostku i t. d. zaczął krzyczeć, biorąc mnie nie wiem dlaczego, dla przesłychu głównie za kolegę Mostka, któregośmy nazwali w klasie „Dziurą w moście". Poprawiłem go, trochę się zawstydził i weszliśmy do salonu, gdzie już trzech kolegów było: mianowicie pan Starosta Miśkiewicz, który wtedy był największym urwisem i za pensjonarkami się uganiał i poza szkołę chodził, choć zdrów jak ćwik, dalej profesor Omlet, filolog zabity i bardzo uczony i jak zawsze „kujon" to znaczy bardzo pilny, ale nie awansuje wcale, a zwaliśmy go „Leguminą", i kapelan arcybiskupi, ksiądz dr. teologji świętej Kołopolski, z dwoma orderami, zwany w szkole „lokomotywą kołopolską" ponieważ bardzo dużo ćmił cygaretek i sapał przy kułakowaniu.

Ze łzami w oczach uściskaliśmy się wszyscy, poczem palnęliśmy sobie coś nie coś z wódek i zaczęliśmy przeglądać fotografję grupy wspólnej z r. 1874. Ano zgłosiło się na Zjazd z 45 tylko 15. Biedny Jasiek Omlet przez belferskie roztargnienie pchnął fotografją koniak i dużo się wylało na perski drogi dywan. Wogóle u doktora znać dobrobyt ogromny, obrazy, dywany, lustra, a to wszystko z pracy tylko, bo z domu chłopski syn, ale specjalista od tych chorób, co to wiesz wstyd gadać nawet, ale wiadomo, że

najlepiej się lekarzom opłacają, choć z nich w tym wspaniałym salonie ani śladuby się kto domyślił.

I zaczęliśmy bardzo serdecznie mówić i wesoło zwłaszcza o tem, że 16 z nas już nie żyło wcale, kilku przepadło jak kamień w wodę, a jeden jest Ekscelencją, który był kolegi kapelana przyjacielem. Doktór skończył z tymi swoimi pacjentami nieszczęśliwcami i wrócił do nas bardzo wesoły, kazał podać śliwowice, koniak i zakąski i wraz zaczęli się schodzić i inni. Więc rejent Michalczuk, ksiądz Gozdawicz, wypędzony jeszcze z szóstej gimnazjalnej, ponicważ rzucił książką w łeb katechecie, obecnie pleban, nadradca Weiss w złotym cwikerze (anibym go poznał), aptekarz Mglej, który bardzo piękne poematy i dramaty pisywał za młodu, a obecnie wynalazł ponoś coś, co łagodzi ból w krzyżach i podagrę i nazwał to: Apollon, i mój szczery, poczciwy sąsiad z ławy szkolnej Stędzicki, bardzo utalentowany obywatel wiejski, który gra na fortepjanie i zaraz mnie poznał. Grzmotnęliśmy się w karki, niby żartem przypominając sobie szkołę, ale ja go za silnie trochę palnąłem, bo aż jękło. Śmiechu było co nie miara, bo i aptekarz Mglej z doktorem zaczęli się kułakować i kolejka wódki poszła jedna i druga. Nareszcie przyszli i ostatni, to jest z Błażejowic chłop zwyczajny Ćwiertnia, polska dusza na wskroś, gimnazjum skończył i wrócił na wieś. Zawsze był trochę narwany, ale wyobraź sobie moje ogłupienie, kiedy słyszę, jak wszyscy do niego: Kolego pośle! pośle Ćwiertnio! Posłem niedawno wybrany i do Sejmu i do Rajchsratu i z ministrami za pan brat, podobno dyplomata nawet.

Powiedzże to pani Młynarowskiej, która tak chamów nie cierpi, niby że z domu djabli wiedzą co, jak

tu z chamem się ściskają i starosty, i hrabiowie, i ludzie zwykli, a na stanowiskach. Niechże nosa nie zadziera i w kapeluszu na wizycie nie siedzi, a sznurówkę jej kupię, nie zapomnę. Potem jeszcze inni przyszli, i doktór z szafy bardzo dobre cygara wyciągnął, na końcu zaś nasi dwaj sławni artyści: malarz Namacalski, który wsiowe rzeczy maluje i długo w Paryżu mieszkał, a malcem belfrów karykatury takie robił, że w dołkach bolało od śmiechu. I Roświta-Gromadzki, któregośmy wszyscy przyjęli, powstawszy—ile że był prymusem w klasach, zdał „sub auspiciis imperatoris" i jest redaktorem. Potem poszła znowu kolejka wódek i serdeczna koleżeńska gawędka aż do siódmej.

Wtedy zeszliśmy po schodach do pięciu fiakrów dwukonnych, które na nas czekały, aby z nami pojechać do teatru, gdzie za wpływem Roświty Gromadzkiego grali „Halszkę z Ostroroga", na której byliśmy 25 lat temu po zdaniu matury. Ale w teatrze oprócz nas i może 10 osób, choć teatr nowy i wspaniały, nie było większej parady, tylko lokaje we frakach czerwonych z powodu naszego Zjazdu i wszystkie aktory grające w sztuce. Biliśmy bardzo dużo brawa i krzyczeli po nazwiskach aktorów nowych, bo starzy już umarli, a został tylko ten, co gra amanta, i została przy scenie pierwsza naiwna, za co posłaliśmy jej ogromny bukiet. Poczem poszliśmy wszyscy na wspólną kolację bardzo wspaniałą i drogą do lokalu z elektrycznemi lampami. „Menu" Ci posyłam, bom wyprosił kartkę od restauratora na wieczną pamiątkę, żeby dzieci miały co widzieć, jak dorosną. Rozmaite były potrawy, niektóre cudaczne i niesmaczne, choć fran-

cuskie naprawdę, a wino świetne, bo takiego trzeba do toastów.

Najpierw miał rzeczywiście bardzo wspaniałą mowę ksiądz kapelan Kołopolski, witając nas w imię Boga, poczem w imię miasta redaktor Gromadzki oraz w imię gazet, poczem rejent Michalczuk w imię prawników, ksiądz Gozdawicz w imię teologów, a profesor Omlet w imię pedagogów, a potem tą samą kolejką zaczęto wnosić toasty, a więc inicjatora Zjazdu konsyljarza Smoczka, oraz nadradcy Weissa, oraz starosty Miśkiewicza; poczem chłopa Ćwiertni, że jest posłem i politykiem chamskim, to pięć razy zdrowie jego pili, a ten Gromadzki, imaginuj sobie, nawet wierszem o zgodzie stanów w ogóle i w szczególności, a malarz Namacalski kolega nasz z Paryża powiedział o nim, że ma kolosalny łeb i że jest kolorowy aż do wścieklizny. Pasja mnie porwała, więc i ja trzymałem mowę za zdrowie aptekarzy tu nam panie obecnych, i wesoło było i brawa bili, więc kazałem jeszcze postawić pięć butelek szampańskiego, ale się nie gniewaj, bo to jest rewanż i wypada osobliwemu człowiekowi, choćby był dzierżawcą folwarku pod Mielcem. Nie chcę, żeby potem mówili, że Kostka jest szmucjan i wyjadacz, albo gorzej.

Dziś o 11-tej mamy nabożeństwo, potem przechadzkę kupą po mieście i obiad u obecnego dyrektora gimnazjum z paniami, z żonami, a kto ma, to z rodziną, we fraku lub szluzroku. Wieczór dla prywatnego użytku. Dr. Smoczek, Michalczuk, Mglej i Stędzicki namawiają mnie koniecznie na wieczór do pewnego Warjete, ale jeszcze nie wiem, czy z nimi pójdę, bo się boję po nocy zaziębić, a Jaegera przez zapomnienie

nie wziąłem, choć swoją drogą w moim szluzroku przy tych festynach naszych pocę się jak szczur.

Jak wrócę, trzeba dać szluzrok do krawca, bo bardzo wyszedł z mody i z fasonu i chyba przenicować go. No, nie dziwota, zawsze 20 lat ma z okładem. Zresztą jeżeli i starosta Miśkiewicz pójdzie, to pójdę, bo to zawsze miarodajna osoba, a on się nakłania do pójścia. Tymczasem całuję Cię, najdroższa moja Anusiu, i tęsknię za Tołą i myślę dużo o Was, w szczególności o szelmie Staśku, czy mi w biurku nie szperał i nie otwierał tej szufladki, gdzie to te... są, boby się huncfot na nic zepsuł. Młynarowskich możesz pozdrowić, choć niekoniecznie, ale tylko im powiedz, że się świetnie bawię po teatrach, koncertach, hotelach i na rozmaitych fetach i ani myślę wracać do domu. Choć to kłamstwo, bo myślę. A pisz moja Anuś, a jak co jeszcze kupić, to dopisz na osobnej karteczce!

Wasz Ojciec.

Postscriptum Piszczowi powiedz, żeby pilnował wszystkiego, a na nowym folwarku był ze cztery razy dziennie, to mu szelmie zegarek przywiozę z kopertą i jego literami.

III.

Pokraków dnia 27 czerwca tegoż roku.

Najukochańsza, najdroższa moja żono i Anusiu!

Piszę, chociaż mam wielki ból głowy i trochę nawet mdłości. Właśnie przed chwilą wyszli odemnie z numeru tj. z pokoju hotelowego pan starosta Miśkie-

wicz, z którym jestem w zażyłej przyjaźni i doktór Smoczek. Choć nic złego, ale wczoraj w nocy dość długo bawiliśmy się w bardzo wesołem Wariete, które się nazywa Oberon czy coś takiego, a żyd Friemann jest dyrektorem teatru, sam się nam przedstawił i dyrygował służbą, tem bardziej, że koło 2-giej w nocy przyjechał bardzo ważny i w mieście i tutaj kolega Gromadzki, który musiał późno w nocy pracować w redakcji swojej, ale i tak już był bardzo cięty i w tym stanie przyjechał do kompanji. Do Variete owego wybierało się nas tylko pięciu, ale zebrało się czternastu, tylko biedni księża nie mogli, nie dlatego, aby lokal teatralny był niemoralny, ale że jeden jest kapelanem a-cybiskupa i czyta mu do łóżka, a drugi jest cierpiący na nerki i astmę ma. I belferzyna Omlet był w szluzroku i cham poseł przebrał się po cywilnemu i przyszedł, ba nawet szczęście miał do jednej osoby, o ile, że łepiej po niemiecku rozmawiał, a ona mu wąsy skubała i śmiała się ze wszystkiego, co poseł Ćwiertnia mówił. Omlet bardzo trącnięty deklamował po rzymsku wierszyki Lukrecjusza i Virginala i podobno w swojem tłumaczeniu, bo jest zdolny i podobno ma przyszłość wielką — niektóre bardzo wesołe. Jeden nawet umię na pamięć i za przyjazdem Ci opowiem, tylko mnie teraz ogromnie głowa boli.

Doktor Smoczek dobrze zawiany ogromnie był wesoły, rad różnych udzielał i dyrygował zabawą i za kulisy latał i wszystkie osoby po przedstawieniu do naszej separatki znaczy się zamkniętej jadalni, która jest i salonem odrazu, bo i kanapki i kwiaty są i pianino i obrazki z mitologji współczesnej nam. Tak więc chociaż na dole jest kawiarnia, gdzie czekały już podobno takie gachy, lalusie i szlifibruki młode z miasta,

wszystko to z zakulis do nas przyjść musiało, choć mój szluzrok naprawdę już źle leży i marszczy się na plecach, a nie zapina w pasie ani rusz. A co? Nie gniewaj się, moja Najsłodsza Najukochańsza Anulko, że z takiemi cyrkówkami ja obcowałem w towarzystwie, ale widzisz tu się tak musi, i to nie jest wcale nic zdrożnego i brzydkiego, bo i starosta, mój przyjaciel obcował i sławny redaktor i wszyscy: Mglej, Omlet, Stędzicki, a dr. Smoczek dał mi słowo, że i kapelan byłby przyszedł, tylko arcybiskup nie może zasnąć bez niego, bo on musi mu czytać Żywoty Świętych Męczenników do poduszki. -

Zapomniałem Ci napisać, że Kolega Ekscelencja Hrabia telegrafował na ręce dr. Smoczka, że sercem i duszą jest przy nas ciągle, ale że zajęcia politycznej przyrody go trzymają na złość wtedy, kiedyby sam z nami chciał się trącić kielichem.

Odtelegrafowaliśmy, dziękując Mu serdecznie za koleżeńską serdeczną pamięć i prosząc Go o przyczynek do składki na grobowy pomnik kolegi Pszczyńskiego, który zabił w pojedynku rotmistrza czy coś podobnego, a nie może przyjechać, bo się lada chwilka spodziewa syna, zresztą całej awantury nie pamiętam, bo mnie głowa jeszcze boli, na co wedle konsulty dr. Smoczka zjadam 3-cią cytrynę, co nie wiem jak się skończy, bo żołądek po wczorajszem nie tęgi.

Dziś mamy tu zwiedzanie wystawy obrazów i Nowego Muzeum, w którem są piękne rzeczy z Madagaskaru i z Pokucia, ale nie wiem, czy się to uda, tak wszyscy jakoś nie są w sosie. A co prawda, to i wczoraj na nabożeństwo uroczyste niektórzy się spóźnili tak, że tylko 7 było, a reszta aż potem. Obiad dzisiaj o trzeciej urządza starosta w swoim hotelu, podobno

figla chce zrobić i na złość księżom poprosił co lepsze z wczorajszych panien i będą nam śpiewały. Szczególniej jest ładną piosneczka, którą się śpiewa chórem: „Menschen, Menschen sind wir alle". Nuty z tego może się wystaram i przywiozę dyrektorowej, ale jeszcze nie wiem. Wogóle tu znacznie weselej niż w Mielcu i co prawda nawet porównania nie ma z tą dziurą. Taka naprzykład elegantka, jak głupia Młynarowska ani się umyła do takiej na ten przykład Pepity Murillos, ekscentrycznej i nawet międzynarodowej subretki, która mi ciągle mówiła i zaprzysięgała się, że jestem podobny do jej skarbu, t. j. narzeczonego, tylko że tamten ukradł jej branzoletkę złotą i wyjechał. Tymczasem całuję Cię, moja Anuśku, moja najdroższa po tysiąc razy i głowa mnie już mniej boli, tylko mi się śpieszy, bo znowu żołądek... A dzieci i Piszcza pilnuj. Do rychłego widzenia

Twój Michał i mąż.

IV.

Pokraków dnia 28 czerwca 1999 r.

Moja najmilsza żono, ukochana moja Anusiu!

Piszę tylko na kartce, gdyż bardzo mało mam czasu z powodu tych festynów koleżeńskich. Ano wielka nowinę ci powiem, iż Ekscelencja przyjeżdża 1 lipca, a my tymczasem czekamy i nie rozjeżdżamy się, ale do gazet podał Gromadzki, że na nasz Zjazd już się nowych kolegów zgłosiło dziewięciu a i Pszczyński, na którego nagrobek składaliśmy się, przyjechał, nie mogąc się doczekać niczego. Szluzrok dałem do

przenicowania, ale nowy natenczas kupiłem z Pszczyńskim, który jest fircyk choć łysy, jak psi ogon i zna się na tem. Ekscelencję przyjmiemy na kolei, a moje nazwisko stało w gazecie, ile że ze Zjazdu jestem obywatel ziemski z Mielca. Gazetę Ci posłałem i daj ją Młynarowskim, niech czytają i wiedzą, a ona niech pęknie ze złości, lafirynda prowincjonalna.

Ja z powodu owych nut dla dyrektorowej muszę się ciągle wdawać z temi pannami i basować im, bo inaczej nut nie dadzą. Bardzo to miłe dziewczęta, ale ja tam z niemi nie bardzo, bo wiem, czem to pachnie, tylko Omlet to głowę stracił i zielone krawatki i takież skarpetki sobie kupił, bo mu Pszczyński, łysy jak kafla z pieca poradził. Z Pepitą Murillos to wcale i nie mówię, bo charakter zmienny, a naciągający ciągle, za to przyjemne są bardzo trzy siostrzyczki Lorrisoniówne, szczególnie ta od starosty Miśkiewicza, choć i Felka kuzynka rodzona i Muza Mgleja bardzo wesoła i rozsądna, tylko że pieniądze idą jak woda, tak że wczoraj drugą stówkę musiałem mieniać.

Kamaszki tum sobie kupił bardzo ładne i cały się wyekwipuję trochę od a do zet, głównie dla Ekscelencji. Już Ci więcej nie donoszę, boby Cię to nie obchodziło i zresztą ustnie wieczorami będę miał co, jak Młynarowscy przyjdą, a bębny się spać położy.

Mańka zdrowa? A Stach? Trzeba mu odebrać ten wielki scyzoryk, bo się bardzo boję, aby kogo nie spaskudził do krwi, co mi się nawet wczoraj w południe śniło. Będę tu jeszcze z jaki tydzień najdłużej, bo potem jedzie nas kilku do Stędzickiego na wieś, bo to stary kawaler i strasznie zasmakował we wszystkich trzech siostrzyczkach. Tymczasem Cię całuję

i pozdrawiam i dzieci. Piszcza pilnuj i jakby co tylko, to nawet i sama wyrżnij w pysk raz i drugi, a popamięta.

Twój szczerze Cię, ukochana Anuś, kochający mąż

Michał.

V.

Szanownej małżonce ukochanego naszego kolegi i przyjaciela Michała zasyła towarzystwo jubileuszowe zebrane na dniu 31-go Czerwca r. p. bieżącego serdeczne ukłony i pozdrowienia. Michalczuk, Miśkiewicz, Murillos, dr. Smoczek, Teodor Tomasz Mglej, Hipolit Omlet, Stędzicki, L. Lorrison, Ćwiertnia, Gozdawicz, Kołopolski, Gromadzki, Felka, Pszczyński, A. Lorrison, Muza Lorrison i Twój mąż kochający

Michał.



S Y R E N A
PODHALAŃSKA

Zdarza się czasem, jeżeli nawet nie bardzo często, że ktoś lub coś, on lub ona ma wszelkie warunki do szczęścia, wszelkie dane, całą pełnię najdodatniejszych przesłanek, ba nawet superlatywów, a życie tak się im jakoś splecie, okoliczności ułożą się w sposób tak drastycznie antypatyczny, że osoba lub objekt padają pod ciężarem niedoli, pod obuchem złośliwego losu.

Czasem jeszcze Przypadek kopnie sytuację w plecy tak mocno, że ta leci na złamanie karku, a trudno wtedy znaleźć choćby jedną przyczynę, gdzie leży fatum, jeżeli dokoła ostatecznie i niebo się uśmiechało i gwiazdy życzliwie mrugały i wszystkie przeszkody same na bok się usuwały.

Pomijając tu np. wypadki, że ktoś czemś na coś zasłuży, a więc że np. rodzina Womitowiczów zasłużyła w rezultacie na śmierć, skoro zjadła dwa półmiski grzybów, popijając to wodą Ursus z Oblęgorka. Pomijając dalej znaną aferę marszałka Bazaina i jego proces, skoro rzeczywiście nocy krytycznej przed Sedanem grał w taroka do trzeciej rano. Wszędzie tu przypadek doczesności podstawił haniebnie nogę. Ale we wszystkich tych i kilku tysiącach podobnych wy-

padków przysłowiowy ślusarz został powieszony, ponieważ w czemśkolwiek zawinił, inaczej: takiego Bazaina i ogromnie zacną rodzinę Womitowiczów, bądź co bądź tu namiętność dzika do kart, tam wreszcie łakomstwo, obżarstwo, zboczenie do picia wody i fanatyczny kult Sienkiewicza — pchnęły do nieszczęścia i zguby. Zasłużyli — więc cierpieli.

Ale czemże zasłużyła sobie na taką bezprzykładną niedolę Ona? biedna, a jakże piękna Syrena?

Powiadano, że nie miała w swem pięknie nic klasycznego. Trudno, żeby w tych warunkach mogła być klasyczną, kiedy w całej okolicy tylko pewien znany stary kawaler pan Remus, który z powodu reumatyzmu jadł obiad leżąco jak Rzymiany, suczkę swą przezwał Dydoną i był konsulem włoskim w Warszawie, tylko on jeden miał coś klasycznego.

Klasyczną więc i Syrena nie była, ale za to ileż w sobie romantycznej melankolji gnieździła!! Niska, ale bardzo foremna, cokolwiek przysadkowata, ale bardzo zgrabna, miała niesłychanie wiele gracji, a w wyrazie swym pewien ujmujący smutek. Mówiono o niej obrzydliwie niesłusznie, że właśnie tym smutkiem i tem niby zaniedbaniem starała się kokietować przechodniów i nie omieszkała żadnej sposobności, żeby narzucając się swą niedolą, ujmować sobie choć tem szary tłum przechodniów, najbardziej obojętnych zmieniać w kochających, w przywiązanych. Syrena, jak to wszyscy zgodnie przyznawali, była tak sympatyczną dla swej skromności, jak i uroczą tem rozmyślnem wycofaniem się ze zgiełku i wiru światowego. Za dumną była, aby dalej zażarcie walczyć o konkietę, powodzenie, popularność, za pańską i za wytworną. Ale z drugiej strony była przecież tak młodą, że za wygraną

dać nie mogła i poddać się bez żadnej walki absolutnie nie chciała. Syrena czekała. Liczyła się z faworami i sympatją przechodniów i bliźnich, ale postanowiła niczem a niczem nie narzucać się tłumowi ulicznemu. Owszem, odgrodziła się od przypadkowych gości płotem i to silnym płotem przesądów i zabobonów, tak, że tłum, przechodząc mimo, często i nie widział, nie przeczuwał jej obecności, a tylko nieliczni i spokojniejsi ludzie bywało, stawali nagle na ulicy przed jej smutną postacią, uderzeni melancholją całości i tajemniczością jej niezbadanej a spokojnej fizjognomji.

Niema już i kobiet na świecie z tak bajecznym wyrazem heroicznej abnegacji, jaki miała swego czasu Syrena. Ale bo też i niemasz już kobiet na świecie, któreby z taką rozkoszą, z takiem niewysłowionem oddaniem się i wdzięcznością przygarnąć chciały do siebie dziesiątki, ba nawet setki przypadkowych choćby gości jak Syrena.

A tymczasem właściciel jej oficjalny, pan Szczepańczykowski, niestety bankrutował na niej beznadziejnie. Piękna była, bo piękna, cicha, łagodna i zawsze z jakąś determinacją na uboczu stojąca, czekająca, cierpliwa. A tu tymczasem roje ludzisków przepływały mimo hałaśno i gwarno, wszystko szło gdzieś na utrapienie i choroby i bóle i nieszczęścia. Do niej, do tej słusznej dumy pana Szczepańczykowskiego, nie wstępował nikt ani na moment, ani przypadkiem, ani nawet zbłąkany, ani nie znający lokalnych stosunków, nikt. Nieszczęsna a zawsze dumna i wyniosła, świetnie i wygodnie zbudowana, w miarę ciepła, a w miarę chłodna, najrozkoszniejszy zmysłom odpoczynek dająca, stała zawsze przy rojnej i najbardziej uczęszczanej ulicy, od samego świtu starannie wymyta, wyczy-

szczona, odświeżona, cała otwarta i dobrze przewietrzona. Stała tak niezmęczona, nieznudzona aż do prawie późnej nocy, zawsze jeszcze dobrej myśli. A pan Szczepańczykowski, w którym gorycz i ból cierpki, a żal do świata i ludzi wzbierały i potężniały, choć porówno z niemi i upór, urągający złym losom i zażarta energja.

...Bismarck się dał, moja kochana! mówił do starzejącej się Syreny pan Scepańczykowski z silną nad miarę ekspresją, a my się oboje nie damy! Przetrzymamy ohydne czasy, zwyciężymy! dobra sprawa zwycięży! Bądź co bądź ludzie na dobrym towarze muszą się poznać i ty jeszcze wszystkim podobać się będziesz i ścisk tu kiedyś będzie na werandzie i każdy czekał będzie, aż na niego przyjdzie kolej, moja biedna, opuszczona Syrenko, Syreniusiu, Reniusiu, Usiu, Reniu! Niu! Siu!

...Nie będę ja ciebie reklamował, nie, moja kochana, nie będę ja żadnych muzyków tobie sprowadzał, żeby mi dudnili Carmenę i Tarawiatę i tem zwabiał głupich smyków i golców. Będziesz jeszcze narzekała na ścisk gości, moja Syreniusiu, i odmyć cię rano nie będzie można i będziesz miała szczęście do ludzi niebywałe i będziemy złoto inkasowali, co aż i nastarczyć nie będzie można!

I tak śnił na jawie poczciwy Szczepańczykowski, optymista w gabinetowym formacie, kupując zresztą z roku na rok coraz węższe kamizelki i lecząc się Karlsbadem na ogromne kamienie żółciowe, które w wielkiej ilości niepoczciwy los hojnie sypał mu do wnętrza.

A tymczasem Syrena istotnie i bezprzesadnie, a przedwszystkiem bez żadnej rozsądnej racji bankru-

towała, ciesząc się nawet i zresztą słusznie, najlepszą opinją w społeczeństwie — czytaj: w publiczności. Na dobrą zaś opinję swą bezpretensjonalną biernością i dyskretnem ukrywaniem swych czarów i uroków chyba absolutnie zasługiwała".

Syrena najlepsze miała ciastka z kremem i poziomkami i lody ananasowe.

Syrena najmniej sypała cykorji do czarnej kawy, a herbatę dawała braci Popowów z Archangielska.

Syrena do śmietanki nie sypała przenigdy ani krochmalu, ani mąki ryżowej.

Syrena brała koniak wprost od najlepszych firm, a wino z Saturalja Ujhelly; na składzie miała dwadzieścia butelek pięćdziesięcioletniej śliwowicy i osiem centnarów warszawskich pralinek i likiery absolutnie holenderskie. Ale świat, ten wielki świat, będący sumą dwóch półświatków, jak wiadomo, przechodził nad nią do nieporządku dziennego. Owszem wiedziano o tem wszystkiem: o tych skarbach istotnych dobrego smaku nagromadzonych mądrą i doświadczoną ręką pana Szczepańczykowskiego. Byli nawet tacy, co powtarzali chyba i bezmyślnie do swego otoczenia, że p o d o b n o najlepszy kawior gruboziarnisty, sypki, czysty ma w Europie Środkowej tylko „Syrena", ale żeby kto pokusił się osobiście przekonać — o tem i mowy być nie mogło. Ręce łamać można było nad tą dziwną obojętnością, z jaką naprzykład jedna z najtłustszych brunetek na świecie, pani Apokalipsowiczowa z Pokucia mówiła do cierpiącego na polską neurastenję pana Przepłoszowskiego: Ta słyszałeś pan, panie Anzelm, że tu jest podobno jakaś cukiernia bardzo czysta i to podobno naprzeciw naszej willi, panie Anzelm, tak, bardzo czysta i podobno nadzwyczajni comme il faut

obsługa, panie Anzelm, i najlepsze w niej produkta panie Anzelm, tylko ciąży nad nią jakiś dopust Boży, palec Boży, panie Anzelm!..."

Wielu ludzi i to nawet wyjątkowo inteligentnych przypuszczało, że w „Syrenie" się ktoś kiedyś powiesił i wskutek tego zabobonna publiczność unikała jej jak zarazy. Wieść ta o powieszeniu się jakiegoś gościa na wielkiej oszklonej, ozielonionej, imponującej skromnością werandzie Syreny lotem błyskawicy zaczęła rozszerzać się po okolicy bliższej i dalszej. Opinja publiczna, ten kapitalny parawan, za którym można tak sympatycznie defraudować, inaczej wieść gminna, ta arka przymierza przypadkowego kłamstwa z rozmyślnem oszczerstwem, ukuła z tego w mig całą legendę.

A więc pewnego wieczora lipcowego, tak, lipcowego czy czerwcowego, wszedł do kawiarni Syreny szybkim krokiem blady młodzian w flanel odzian z rakietą tennisową w ręku, zażądał drżącym głosem papieru listowego i kiedy mu papier podano, skreślił na nim szybko te słowa:

„Najdroższa! W chfili, kiedy ten list otworzysz, mnie jusz nie bendzie miendzy żyjoncymi. Kochałem cię bez rzadnych morżliwych granic aż do przyjazdu twego męża. Od momentu, kiedy ten idjota manieruje się na Otellu... itd. itd.

Poczem młodzieniec ów wypił szybko dwa kieliszki Cognacu: Czuba-Durozier i, nie zapłaciwszy, powiesił się na krawatce, czysto atoli jedwabnej, na wielkim żyrandolu, wiszącym od lat spokojnie na środku sufitu werandy Syreniej.

Cała ta legenda oczywiście od a do zet, t. j. od flanelowego ubrania, aż do czysto jedwabnej krawatki,

była jednem wielkiem aroganckiem kłamstwem, mającem rzekomo usprawiedliwić przed potomnością i historją tę bezprzykładną obojętność publiki względem „Syreny", czyniącej zadość wszelkim wymaganiom tak męskim, jak żeńskim i nijakim t. j. dziecinnym, gdyż dzieci są wedle absurdu gramatycznego zawsze niby nijakie...

Wobec tej legendy atoli postanowił pan Szczepańczykowski zająć już stanowisko energicznej ofensywy i uważał za stosowne w tym wypadku postawić się już czynnie na szachownicy wydarzeń. Pewnego tedy dnia w czterech pisemkach krakowskich reprezentujących cztery światopoglądy, t. j. gnostyczny, neokantoski, materjalistyczny i desperacyjny, pojawił się równocześnie w porannych edycjach energiczny i nawet zuchwały protest pana Szczepańczykowskiego, zaprzeczający kategorycznie, jakoby jakikolwiek gość Syreny obwiesił się, wypiwszy jego czarną kawę itd. itd. Artykuł „typowego galicyjskiego *przemysłowca*" kończył się dość cierpką a nawet cokolwiek zgryźliwą uwagą:...

„Na zakończenie zapewnić muszę Szanowną Publikę, że aczkolwiek trzymam jeszcze nadal sześć osób personalu służbowego i dzień w dzień przygotowuję się tak pod względem kawy jak i herbaty, lodów, mleka, pasztecików na ośmset czterdzieści pięć gości t. j. maximum, dające się osiągnąć w przyjaznych warunkach, to jednak z całą odpowiedzialnością mego sumienia i honoru zeznać muszę, że w miesiącu czerwcu i lipcu dosłownie ani jednego gościa tego rodzaju tj. w flanelowem ubraniu nie było, natomiast przez całe sześćdziesiąt i jedna dób gościły u mnie tylko pewna staruszka niewidoma, która po omacku trzymając się płotu, zaszła do mego lokalu, następnie pan Hermann

Stumpfsinn, przemysłowiec garbarski z Warszawy, którego na ulicy trafiła apopleksja i którego wskutek tego wniesiono do najbliższego lokalu t. j. do mojej Syreny; następnie dwóch panów mistyków, którzy unikając tłumów, zachodzą sporadycznie do mego lokalu, atoli każdy ze swoją maszynką do kawy, a tylko gazet moich do swych celów osobistych używają. Co stwierdzić mogę wszystko przysięgą, kreśląc się z głębokim szacunkiem Piotr Paweł Szczepańczykowski."

Wydrukowanie tego raczej manifestu bolesnego, niż inseratu dziennikarskiego kosztowało naszego przemysłowca okrągło 370 koron w rubryce nadesłanych. Niestety atoli wywołało wprost przeciwny skutek.

Publiczność, ta kobieta płocha, zmienna, obłudna, zabobonna teraz utwierdziła się jeszcze w przekonaniu, że w „Syrenie" powiesił się jeden młody człowiek, potem, że w Syrenie wogóle wieszają się młodzi ludzie z zasady, poczem, że w Syrenie wiesza się każdy i młody i stary, że w Syrenie wogóle dzieją się straszne rzeczy: ktoś raz do kogoś strzelił, schodzą się komitety rewolucyjne... otruto raz pięć osób strychniną; że w nocy okropnie straszy, „coś" chodzi, „coś" stuka, „coś" łazi po dachu, „coś" spada na ziemię, że w Syrenie jest przeraźliwa wilgoć, kapie zgniłą wodą, a w powietrzu pełno bakterji influenzy, podagry, gruźlicy, pełno najzaraźliwszych laseczników, dochodzących wielkości wróbla.

I rzecz niewiarogodna a jednak prawdziwa: Syrena zaczęła być popularną w znaczeniu najujemniejszem, zaczęła być sławną, ale swą groźną niesławą, zaczęła irytować i zmuszała do zajmowania się nią, ale zaczęła być jak owa dolina śmierci na wyspie Jawie, którą wędrowcy omijają ze grozą i z przestrachem.

A pan Szczepańczykowski przechodził procesy psychiczne tak głębokie i różnorakie, tak potworne, a tak skomplikowane, że twarz jego stawała się mapą poglądową tych wszystkich uczuć, jakie przechodzi ludzkość w drodze do jasnego celu, do słonecznego jutra, ale ludzkość bądź co bądź męczeńska...

...A psiakrew!—klął jak księżniczki lub dorożkarze pan Szczepańczykowski, pierwszy ale nie ostatni męczennik galicyjskiej industrji — jak ja to jeszcze przetrzymam, to chyba nowelki o mnie pisać będą lub kto ze mnie dramat cholerny ułoży. Toż na Hioba cierpliwego waliło się nieszczęść bez miary, ale miał choć dzieci, a ja, pomijając już żem kawaler, ale do dzieci nigdy nie miałem talentu, poświęcając się jedynie i z całym zapałem swemu zawodowi! Hiob miał nadto gnój, na którym mógł się swobodnie wylegiwać bez obrazy moralności publicznej a kompletnie nagi, ale niechbym ja tu spróbował choć w samej kamizelce w południe obsługiwać gości tych, co ich niema, a strach coby było!...

Dlatego zawsze w pięknym czarnym surducie stawał u wejścia do Syreny, z serwetą niepokalanie białą w lewej dłoni i w pełnem poczuciu godności sumiennej i rzetelnej pracy czekał na przyjście owej tajemniczej nieznajomej kokietki, zwanej modą. Dwaj pikola, grający całemi dniami w warcaby, szachy, domino, ferbla, w guziki i w bilard, mieli obowiązek co godzina z ogromnie zaaferowanemi minami wybiegać z cukierni z wielkimi pakietami cukrów, pudłami blaszanemi lodów, całemi niezakrytemi tortami, biec wolno ulicą i wreszcie, zmęczywszy się, tyłem wchodzić do Syreny. Co tydzień nadto powtarzał się dość zresztą kosztowny efekt prawie że dramatyczny z rozbijaniem niby przy-

padkowem, niby wskutek pośpiechu, ścisku, nawału roboty tuż przed wejściem do Syreny całego garnituru filiżanek z kawą i dzbanuszków. Głodne psy z okolicy, a było ich bardzo nawet wiele, jakby wiedząc o powtarzaniu się tych efektów bankrutującej Syreny, w niedzielę wieczorem zawsze wielkim tłumem otaczały wejście do cukierni, gryząc się nawzajem z konkurencji jak ludzie, mający stałe zasady polityczno-społeczne. Poczem wybiegał mały Michaś z ogromną tacą, potykał się o podstawiony rozmyślnie i prawie teatralnie kamień i padał jak długi a raczej krótki i gruby na ziemię. Wraz rozlaną kawę z Ceylońskiego ziarna i pierwszej klasy śmietankę chyżo chłeptały psy łakome, dziwiąc się między sobą tylko bezmiarowi ludzkiej niezgrabności i głupoty.

Z czasem jednakże zwąchały proletarjusze psiego rodu, że późną nocą od tyłu Syreny schodzi się zawsze tłum kalek, włóczęgów, dziadówek, nałogowych pijaczek, ludzi trudniących się zawodowo kradzieżą i swojskich podhalańskich rzezimieszków. I kiedy Syrena z frontu z wielkim hałasem i ostentacyjnem gaszeniem lamp się zamyka, od tyłu wychodzi na przedsienie i podwórko sam pan gospodarz, otoczony personalem służbowym i jak ów biblijny dobry bogacz rozdaje między tłum łakomy cokolwiek gnijący, ale zawsze kapitalny kawior, całe tace ciastek francuskich, nadpsuwających się, bakalje, kandyzowane owoce, niewypite lemoniady, orszady, kila lodów waniljowych, powtarzając tylko monotonnie i gorzko: bierzcie i jedzcie, pijcie i dostawajcie niestrawności. Nie umieją się na dobrym towarze poznać tamci burszuje, którym podporządkowane są interesa nasze, poznajcież się wy! Niechże ja będę tym jednym jedynym w Polsce, który

roznosi kawior między lud, a równocześnie uprawia czystą sztukę dla sztuki, cukiernictwo dla cukiernictwa...

Ale psy wyły! Zbiegając się całemi stadami przy blaskach księżyca, wszczynały zażartą walkę z proletarjatem góralskim o produkta kunsztu pasztetniczego pana Szczepańczykowskiego. Wyciom, gryzieniom, zaszczekiwaniom się i całej walce śmiertelnej o byt, o coraz lepszy byt, o lepsze kęski i końca wreszcie nie było.

A Syrena już zaczynała politykę pewnych koncesji, pewnych ustępstw na rzecz idei reklamy, pewnego schlebiania jak najszerszym gustom tłumów. Pewnego tedy dnia cały personal służbowy zajął się przybijaniem na gołopuste ściany wielkich kartonów illustrujących „Quo vadis" i illustracji, wyciętych z damskich żurnalów, wreszcie wielkich kopji Siemiradzkiego: Fryne w Eleusis, oraz Jana III pod Wiedniem Matejki. Obrazy te, szeroko widoczne z ulicy, miały ściągać na werandę ten gatunek publiczności, który obok sztuki mięsa z chrzanem lub ogórkiem lubi też i proteguje sztukę, przybijaną na tapety i do ścian.

I znów stało się, co się stać musiało. Szerokie rzesze w głębokiem przeświadczeniu, że to jest nowa wystawa obrazów i publiczny rozsadnik wszelkich impresjonizmów, poczęły starannie omijać chodnik uliczny po stronie Syreny i dyskretnie, ale już zdala przechodziły na chodnik przeciwległy.

Miarodajnem w tej fazie bankructwa Syreny było chyba odezwanie się poczciwego hrabiego Lombardowskiego do starej hrabiny Lodomerskiej: Czy pani kochana uważałaś na tę nową secesję, jaką założyli *ci*

panowie socjaliści na miejsce tej cukierenki, w której odkryto podobno gniazdo bakcyli suchotniczych?

Tak więc i estetyczne podniesienie poziomu Syreny przydało się, mówiąc szlacheckim frazesem, psu na budę, a stało się tylko jednym z motywów szybko zbliżającej się katastrofy. W tych to czasach wpadł pan Szczepańczykowski na poronioną w bezsennych nocach ideę orchestronu. Nie był to czysty kult Wagnera, jak twierdzono w jakiś czas potem, nie, to nieprawda! Co najwyżej nazwaćby to można stosowanym do zbliżającej się ruiny kultem kakofonicznego zgiełku i ogłuszania bezbronnych Słowian. Wielka maszyna, wydająca oceany dźwięków, przybyła w dwóch wagonach, ustawiono ją w cztery dni, zajęła trzy czwarte całej werandy i dnia 3-go maja przed sezonem! na pamiątkę uchwalenia Konstytucji, jak z pompatyczną skromnością wyraził się pan Szczepańczykowski, koło południa buchnęło w cichy świat zagłuszającym wszystko marszem z Lohengrina.

I odtąd od białego ranka do szarzejącego mroku tłukł orchestron z przerażającym gwałtem całą twórczość Wagnera, Verdiego i Meyerbeera, szły i jęczały potworne marsze, walce, uwertury, pot-pourri, a Syrena cała drżała od huku dobywającego się z olbrzymiego amerykańskiego orchestronu, a psy od tyłu Syreny, przywędrowane to z głodu, to li tylko z łakomstwa, wyły w niebogłosy, jakby podejrzewające, że to jęki potępieńców, uwięzione w orchestronie, dobywają się na ziemię.

...Rżnij, Michałek, Afrykankę albo Aidę—górą! co masz pod ręką rozkazywał bez rekursu, zdecydowany na wszystko, właściciel Syreny. Chcą może Filharmonię w Zakopanem, niech mają. Niech im uszy puchną,

a może przyjdą na mrożoną kawę, może się zechcą przekonać, że mam cesarską Abricotinę i królewskie Kirasso, a sery u mnie gniją całemi centnarami! Nie przychodzą na kiełbasę autentyczną, rodzimą i piwo monachijskie, niechże choć wejdą wchłonąć w siebie porcje pieśniarza Nibelungów. Rżnij Carmenę, Felek, jak Bóg miły! nie pytaj!

I pikkola na wyścigi nakładały w orchestron coraz to nowe olbrzymie blaszane koła z dziurkami, a od tyłu coraz to więcej psów i łapserdaków oblegało wieczorami Syrenę.

Tylko goście coraz to dalej, ale coraz to żwawszym krokiem omijali biedną, zgoła niewinną kawiarenkę. A pan Szczepańczykowski coraz to gorsze i nieszczęśliwsze miewał pomysły, celem zwrócenia uwagi Publiki na przemysł rodzimy i towar wyborowy.

Aż stało się wreszcie, że kiedy raz właśnie wpadał na chyba zgoła już kompromisowy pomysł: zaprowadzenia obsługi żeńskiej w dekoltach i krótkich spódniczkach... pierwszy swój pomysł szczęśliwy, od którego trzeba było zacząć... właśnie na werendę wkraczało pierwsze wielkie grono gości. Był to pan egzekutor sądowy z panami policjantami i pachołkami, sąsiedzi i liczne grono ciekawych. Amerykański orchestron grał w on czas Wagnera ogłuszający: „Wjazd bogów do Walhalli"...

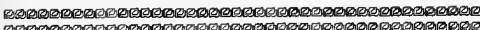
Syrena biedaczka zbankrutowała...

Dziś już nec locus ubi Troia fuit...

Tylko my najstarsi Zakopańcy pamiętamy jeszcze, gdzie przez lat dziesieć więdła urocza Podhalanka...



SZAMBELAN SAR



Przedewszystkiem nikt nie chciał wierzyć w możliwość tak wielkiego faktu w tak małym powiecie. Z czasem jednak, kiedy się dowiedziano, że z Wiednia przyjechał tapicer z czterema pomocnikami, że potrzeba na gwałt ze 100 mularzy, kiedy na własne oczy przekonano się, że magazyn przy dworcu kolejowym zapełniony po brzegi meblami przerozmaitego kształtu, owiniętemi w śmierdzącą trawę morską, kiedy poczciwe chamy zaczęły dziwy opowiadać o dwóch parowych pługach djabelskich, które wczoraj właśnie przywieziono na folwark i o meklemburskich bydlętach, wielgich nieprzymierzajonc jak obora, stojących z braku miejsca pod gołem niebem w ogrodzie, kiedy wreszcie ktoś na własne oczy zobaczył jadący z kolei błyszczący wiedeński powozik od Lohnera, zaprzężony w parę kurtyzowanych anglików, anglika na koźle, a nowego galicyjskiego magnata wewnątrz, — wtedy uwierzono.

Był wprawdzie w powiecie jeden Pieter, który jak osławiony niegdyś sceptycyzmem św. Tomasz chciał najpierw włożyć palec w bok miljonera, a potem dopiero uwierzyć, że pan Sarjusz Grzanowski dostał w spadku krągły tysiąc funtów dolarów, ale i Pieter

kiedy w kronice czarno na białem przeczytał artykuł p. n.: „Niebywała scheda", nawrócił się i nie byłoż w całej ziemi sanockiej niewiernych. Zresztą podobnie konfidencjonalny ruch jak szturknięcie palcem w bok w obecnych warunkach byłby niemożliwym, gdyż pan Sarjusz, powróciwszy ze stolicy po zerwaniu całego bukietu olbrzymiego kwiatów fiskalnych, postanowił odgrodzić się od okolicy. Co prawda i okolica pana Sarjusza dość marna była, przeważnie ekonomskie potomki i expachciarze, o dwie opętane mile dopiero kilka nazwisk. Dotychczas co prawda żyło się i z tym i z owym dość demokratycznie, ale teraz... I to teraz przedstawiało się panu Sarjuszowi, jak ogromna kotlina pełna złota, w którą on może zejść w każdej chwili i brać złoto garściami, w workach, na wozach, brać, brać w nieskończoność. Ale co z tem złotem robić, jeszcze zdecydowanie nie wiedział. Stał przed Sezamem z otwartemi usty, nie wiedząc jak się wziąć do Golkondy. Tymczasem jednakże z miasta przywiózł p. Sarjusz obok złota doświadczenie życiowe, nabyte przez dwutygodniowy pobyt, które sobie streścił w sentencji: Mając, panie, miljon guldenów uważać, aby się nie miało drugiego miljona przyjaciół, bo wtedy pierwszy miljon pójdzie". Nie była to sentencja ani zbyt zgrabna, ani głęboka, ani świeża, ale taka, na jaką go stać było. Obok tej sentencji, która miała być jego sterem na fali nowego życia, przywiózł kuzynka. Wytworny ten młodzieniec, wysoki, blady, z wąsami wystrzępionemi miał dziwnie wąskie inexprimable, a dziwnie szerokie poglądy na świat i ludzi (jak na swój młody wiek). Kuzynek ten „przypadkiem" spotkawszy w hotelu pierwszego zaraz dnia pana Sarjusza w mieście, otoczył go prawdziwie macierzyńską opieką, stał się mu nie-

zbędnym reżyserem w inscenizacji miljona, stanowiąc ten pożądany łącznik między skromnym właścicielem ziemskim, starym kawalerem w miarę zdrowym i dowcipnym, w miarkę inteligentnym, w miareczkę wykształconym Sarjuszem Stanisławem Grzanowskim a potężną kulturą zachodu. Wzorowy młodzian, wychowaniec OO. T. J., doświadczony i taktowny, szanujący tradycję bez lekceważenia zdrowego postępu, odkrywał mu misterja komfortu światowego i wskazywał drogę, którą wesoło, wygodnie, nie zaprzedając duszy czartowi i aniołom jego, przejść można przez padół płaczu do królestwa, jeżeli się oczywiście prowadzenie kasy odda w jego ręce. Przygnieciony miljonem pan Sarjusz patrzył w kuzynka jak w Pitję, a Pitja wróżyła: Sarjuszu, jeżeli chcesz mieć dobry kawior astrachański, sprowadzisz go z Odessy wprost od firmy Strogów et Römer... Sarjuszu, jeżeli... Sarjuszu, wyślij ludzi na kolej jutro przed 7-mą, bo przyjdą orłowskie rysaki z Kijowa... Sarjuszu, podpisz ten głupi weksel hrabiemu Y, a będą cię ludzie szanowali w społeczeństwie.

Kuzynek mentor wróżył, a w państwie pana Sarjusza rozpoczynał się ruch na amerykańską skalę. Zdawało się, że tu chyba odkryto nowe kopalnie złota, zdawało się, że powiat cały buduje swoją wieżę Babel powiatową z pozwoleniem Starostwa i po zapłaceniu podatku gruntowego i budowlanego. Tuziny gratis i franko cenników per express przychodziły dziennie. Tuziny telegramów dziennie szły w centra europejskiego handlu i przemysłu. Tylko bez fanaberji szowinistycznych, mój Sar... wróżyła Pitja... nie daj się brać, mój drogi, przypadkiem na t. zw. krajowe wyroby. Pan Sarjusz nie dał się. Pan Sarjusz powinien być Polakiem,

ale z Europy! Zmieniając dwór staromodny na renesansowy pałac z bajeczną szklaną kopułą, zacofaną polską gospodarkę na wzorową fermę angielską, musiał zmienić także swój troglodytyczny światopogląd na cywilizowany kąt widzenia — jak uczyła Pitja. A miljon naśladował Stwórcę i stwarzał... chaos. Miljoner tracił czasami świadomość własnego obywatelsko-szlacheckiego ja. Kiedy znużony, zmęczony, zbity opadał wieczorem na londyński fotel, tęskną myślą wracał potajemnie do dawnego spokoju. Dokoła piętrzyły się stosy cenników gratis i franco, prospekty leżały na planach, a na prospektach kosztorysy, kartony budowlane, listy i księgi. Z kąta wyłaniał się imponujący gmach ogniotrwałej wieży z blachy pomysłu Wertheima. U drzwi dwóch komiwojażerów koniaku francuskiego i węgierskiego patrzyło na siebie wściekłemi oczyma hien stojących nad trupem podróżnika na Saharze. Przez okno widać było mrowiska ludzkie, pracujące na łeb, na szyję. Koło plebanji stawiano lukullusowe murowane stajnie z ceglanym dachem, asfaltową posadzką i elektrycznem oświetleniem na wzór stajni wyścigowej króla klosetowego mr. Astora z Michigan. Od dworu do dworca kolejowego zakładano przepyszny bruk drewniany w kostkę, tuż pod dworem koło werandy szklanej, ulubionej przez ś. p. matkę p. Sarjusza, rozrywało chłopstwo z wandaliczną zaciekłością stary, omszały parkan, burzyło mur. Na jego miejsce przyjść miały żelazne sztachety ze złotemi głowami, z oryginalnym secesyjnym deseniem — arcydzieło roboty ślusarskiej firmy braci Kremsler z Lipska. Polami na przełaj z kolei jechały wozy pakowne, ładowne, a na nich cuda nad cudami: samych angielskich tapet podobno 59 pak, osobny wóz z winami

z roku 1874, osobny wóz z lustrami weneckimi do salonu, z Brukseli kucharz z pomocnikiem, ogrodniczek egzaminowany aż z Bukaresztu... Jednego dnia!

Tylko gdzie my to wszystko pomieścimy? pytał melancholijnie miljoner. Pitja była niema, a raczej zajęta próbkami cognacu. Pan Sarjusz wzdychał, zapalał hawańskie i szedł w ogród jak najdalej, tęskniąc do spokojnego wczoraj, a ciesząc się miljonowem dzisiaj. „Staffage europejskie", „nowości z zagranicy", „zdobycze wieków" przestawały go już interesować. Co dzień tyle tego przyjeżdżało! nim to wszystko przyjdzie do porządku! potem struł się człowiek tym pasztetem z Brukseli, potem ten hałas piekielny, to chłopstwo gapiące się z za parkanu od rana do nocy. Pan Sarjusz szedł w ogród jak najdalej. Ale ot co natrafiał. Zakładanie fontanny, jego marzenie z dawnych lat, przybierające realną formę, zakładanie bażantarni, zakładanie oranżerji, zakładanie sadzawek, zakładanie zwierzyńca.

W kościele dzwonią na Anioł Pański, niebo czerwienieje od zachodzącego słońca, chłopczysko jakieś gra na fujarze, ale tak smutno, że aż łzy w oczach świdrują, wiatr chłodny zaleciał, robotnicy kapelusze zdejmują i mruczą Zdrowaśki, a fontanna do góry strzela, dziś po raz pierwszy. Leci woda do góry i szepce, rozpryskuje się w nowym białym basenie i znowu leci i szepce: Miljon... miljon... miljon. Jutro przyjdzie trójka orłowskich rysaków z 3 ludźmi do obsługi, z drzewem genealogicznem każdego rysaka! jutro prawdziwe szory angielskie, przyjedzie dwóch panów architektów, przyjadą zaraz, cóż to jeszcze, aha, zwierzęta do zwierzyńca, 20 sarn, 10 jeleni, bażanty w kojcach, i cóż to jeszcze, aha, byłby człowiek zapomniał najważniejsze...

te dwie śliczne przyjaciółki kuzynka, Rumunki panny Tabes... Tabes... Tabescu... — Co ja byłbym sam zrobił z pieniędzmi bez niego! poczciwy chłopak!

Pan Sarjusz wraca do dworu zamyślony poważnie... Trzeba będzie zrobić też coś obywatelskiego... Tak koniecznie, po cichu, żeby on się o tem nie dowiedział, on to nazywa jakoś złośliwie i szydziłby z tego na funty. Tak, trzeba koniecznie. Na pogorzelców i powodzian po 5.000 złr. na wstydzących się żebrać po 5.000 złr., na kółka rolnicze 5.000 złr., na oświatę 5.000 złr., na odnowienie parafjalnego kościoła 5.000 złr., na Wawel 5.000 złr. Tak, dosyć, to wystarczy, boby znowu człowiek wyszedł na filantropji jak Zabłocki na mydle... mydle. Złośliwego echa niema, więc słychać tylko hałas, gwar, łomot piekielny, z jakim Europa wprowadza się w Lodomerję. Echa: bydlę! nie słychać. Ogłuszony łomotem sanocki miljoner, uspokoiwszy sumienie obywatelskie setnymi darowiznami, postanawia jeszcze podnieść wysokość siedmiu wypłaconych na wsi i w mieście alimentów i, zjadłszy pół kopy raków, idzie spać.

Śpi w swej sypialni na materacach na ziemi, bo stare łóżko wyrzucono, a nowe ma przyjść w tych dniach wprost z Londynu od firmy: Harry Harrison et Comp.

Śpi jeszcze doskonale, chrapie po staropolsku.

* * *

Panny: Róża „Płomień" i Irena „Filutka" z rumuńskiej dynastji książąt Tabescu objęły rządy absolutystyczne w państwie p. Sarjusza dnia 1. czerwca r. 1890... ku ogólnej radości obywatelstwa okolicznego.

Panowały rok sprawiedliwie i wesoło, kierując robotami architektonicznemi, gastronomicznemi, alkoholicznemi i erotycznemi. Dnia 24 grudnia t. r. nastąpił zamach stanu ze strony: „dieses famosen polnischen Krösus“, poparty wojenną akcją c. k. Sądu obwodowego.

Śmiało jednakże okres ich rządów możnaby nazwać złotym okresem, epoką oświecenia p. Sarjusza, perjodem przepływu i rozpływu miljona. Pamięć tych czasów dochowa chyba pieśń gminna.

Stary dwór Grzanowskich z całym rojem przybudówek, skrzydeł, werand, stracił fizjognomję nieotwartej wystawy krajowej dla handlu i przemysłu — zagranicznego, a stawał się *modern* kombinacją trzech stylów: nadwiślańsko-szlacheckiego... (stary dwór), galicyjskiego renesansu... (prawe skrzydło z terasą kamienną) i stylu hotelowo-peronowego... lewe skrzydło z efektownym podjazdem o szklanym dachu, czterema przerażającemi karjatydami i elektrycznemi słońcami. Roboty prowadził architekt wiedeński. W ogrodzie zaszły olbrzymie reformy. W zwierzyńcu, gdzie swobodnie puszczono jelenie i sarny, chłopstwo swobodnie je pokradło. Wogóle etyczny poziom we wsi zmienił się znacznie. Wszystkie obejścia blisko dworu sprzedawali gospodarze dziedzicowi na park, wszystkie grunta blisko ogrodu także na park i to za grube pieniądze. Parobcy i dziewki cały dzień boży spędzały koło dworu niby to pracujący, a Boże odpuść, figlując, gżąc się bez końca. Gospodarze znowu cały boży dzień marnowali w Kółku, gdzie dziedzic przysyłał najrozmaitsze frykasy z kredensu, nadpsute pasztety, bażanty, kawiory i zlewki koniaków. Siedzieli i gadali o złocie i o chamskiej doli, o bogaczach i dobrym napitku, o dziwach dworskich i o miljonie. A pan

Sarjusz w opinji chłopstwa rósł, a rósł, a rósł do tytanicznych rozmiarów jakiejś pra-wszechpotęgi, o której się ciągle mówi przy piwie, koniaku i wódkach.

A dwie królowe kierowały całem gospodarstwem. Kuzynek, wprowadziwszy „ekscentryczne subretki“ z medjatyzowanych książąt rumuńskich z Bukaresztu w pałac miljonera, zwrócił uwagę tegoż na Rozę, jej młodość, żar oczu, czerń włosów, orjentalny temperament i wyższe akademickie studja erotyczne. Pan Sarjusz onieśmielony, przerażony, instynktem kierował się w stronę Irmy Filutki, ale systematycznie odsuwany od jej towarzystwa, pod suggestywnem działaniem kuzyna, zrzekł się jej wreszcie i poddał znacznie starszej Rozie „Płomień“. Stary to ród tych Tabescu, papa udzielny Książe w Rumunji (był żonglerem u berlińskiego Renza) maman, z domu niesłychanie starożytnego... („*Danseuse japonaise*“ w drezdeńskiem *Etablisement Excelsior)*... Rozpoczynały się miodowe miesiące płynące Abricotiną i Veuve Cliquot. Pan Sarjusz, który niegdyś szumiał, ale tanio i cicho, i dobrze się zakonserwował do szóstego krzyżyka, poznawał teraz nowe światy rozkoszy, oceany lubieżności, upojenia i przesyty, sarabandy i farandole gorących chuci, poznawał kobietę Satana, Wampyra, Pająka, Sfinksa, Venus Bestię i t. p. Ale potworne robaczki sumienia wypełzały też coraz częściej na jego psyche obywatelską, blady strach osiadał mu na wargach. Tęsknota dnia wczorajszego ogarnęła go wreszcie kleszczami.

Pobladły Sarjuszek cieszył się z owych postępów w kurtyzanowaniu czy kulturyzowaniu, niech ci będzie panie, swej osoby, ale z drugiej strony smakując po szlachecku w nowych rozkoszach, nie tracił świado-

mości swego moralnego *décadence* na tle erotycznem, hygienicznego *décadence* na tle żołądka i finansowego *décadence* na tle kasy Wertheima i Spółki. Rósł krytycyzm co do ludzi i rzeczy, rósł też sceptycyzm co do szczerości serdecznych uczuć, jakiemi obsypywano jego osobę. Żyłka gospodarska wracała. Suchem okiem patrzał na kuzynka i jego „cywilizacyjne czyny", rankami wglądał w rachunki i odkrywał nowe nieznane światy oszustw i okradań, myłek, fałszów w księgach i rachunkach. Tymczasem kuzynek, który kochał miljony, cierpiał także za nie. Używając nadmiernie i niepotrzebnie kawioru astrachańskiego firmy Strogów et Comp., zepsuł sobie nim swój europejski żołądek i legł na łożu boleści, niemocen używania Irmy, rozkoszy ziemskich, rozkoszy... miljona. Irma Filutka zamiast pielęgnować chorego „*übertausendmal-einzig Geliebten*", dzień w dzień forsownie spędzała rysaki ku miasteczku, gdzie załogą stały regimenty żółtych huzarów imienia któregoś z carów. To było nieładnie z jej strony — myślał pan Sarjusz — kombinując ten fakt z faktem przyjazdu tak zwanego „brata" panien Tabescu. Braciszek miał wygląd trochę coprawda anormalny: nosił czerwone krawaty, kratkowane spodnie, olbrzymi złoty zegarek z baronowskiemi emblematami, przytem palił „Virginia" bez przerwy, gwizdał na zębach i zbyt przyjaźnił się ze służbą. Siostrunie nazywały go raz: Alfons, raz Louis, raz Kitzerl, raz Schatzerl, a raz w irytacji, podczas jakiejś sceny rodzinnej, nawet: Stritzi. Nie, ten brat absolutnie nie może pochodzić z głównej linji książąt Tabescu, myślał sobie pan Sarjusz, to jakieś podejrzane krewieństwo. I postanowił zwracać uwagę na zacne rodzeństwo. Kuzyn się leczył, Irma od kilku

dni siedziała w mieście, Roza sprowadzała biżuterje na miljonowe konto, brat jadł, palił i gwizdał, sąsiedzi dość często zjeżdżali się na kolacyjki z szampanem, chłopstwo w karczmach układało pieśń gminną i przygodną o miljonie, a miljon, wielki miljon rozpływał się wielkiemi i małemi strumyczkami w dal. Krągłe pieniążki chmarą toczyły się w świat z galicyjskiego zakątka, nie pomagały i nie ocierały łez nikomu, nic nie budowały i nie tworzyły niczego.

Reakcja musiała przyjść i przyszła. Pan Sarjusz przychodził do siebie. Przekonawszy się z ksiąg, że koło kilka kroć funtów dolarów gdzieś znikło, przepadło jak mara senna, że moc złota pochłonęło cywilizowanie się; że ostatni miljon zaczyna się z niejednostajnie przyśpieszoną szybkością rozchodzić w małych rączkach Irmy i Rozy, brata i kuzynka, tu powiedział: dosyć, musim raz skończyć (jak w Mickiewiczu). Matka nieboszczka krupy i kaszę odważała dla czeladzi, ojciec, świeć Panie n. j. d., o godzinie czwartej wstawał i z chłopami użerał się do dziewiątej wieczór, a on syn, wyrodny stary syn puszcza teraz taką fortunę, siedząc na wsi, panie, i z taką, panie, hołotą!! Zimny pot oblał czoło pana Sarjusza, zgroza go ogarnęła, zgrzytnął zębami i powziął finalną decyzję: rozpędzić całą koterję do stu djabłów, całą, panie! no, tak, może tylko Irmę i kucharza zostawić. Zresztą fora ze dwora, to jest z pałacu, wszyscy, a przedewszystkiem ta perła, eh nie, jakże, cóż on mi winien, ale tego brata, tę Rosę, lokai, ogrodniczków, 2 jockejów, pasztetnika, groomów, nadwornego golarza!! rozpędzic wszystko, wszystko natychmiast.

Jak pomyślał, tak i odwagi... nie miał zrobić. Nie wiedział, jak rozpocząć akcję dezynfekcyjną. Ale pod-

jął ją w niecały miesiąc potem c. k. sąd powiatowy otrzymawszy gończe listy z rysopisem sióstr Tabescu, ich cnego brata i z dużą litanją popełnionych w Budapeszcie i Widniu „nietaktów“ defraudacji, „ekscentryczności“ z „włamaniem“ i t. p.

Obie księżniczki oraz młodego prynca Alfonsa Louisa Stritza odstawiono drogą administracyjną na Węgry do królewskiego sądu powiatowego w Kisfaludy-Szorosz-Hunjadi-Lajosz.

Obywatelstwo okoliczne trzymało się literalnie za brzuchy długie, długie czasy.

* * *

— Wiesz, Sar, to było do przewidzenia ta cała awantura, te złodziejstwa *en masse* etc. — mówiła Pytja.

— Jakto? — pytał pan Sarjusz, myślami krążący koło błogosławionej pamięci Irmy Tabescu.

— Miljon... w tak dzikim i nędznym kraju... jak nasz — musi działać destruktywnie. Mając miljon... można być... szczęśliwym prawdziwie... tylko zagranicą, tylko... wyłącznie zagranicą...

Mówił i patrzył w Sarjusza i badał, czy ziarno padło na grunt podatny, czy się przyjmuje?...

...A grunt był podatny. Więc i wyjechali.

Pierwszą stacją była stolica Piastów i Popielów, gród podwawelski, w którym niekiedy na sezon zimowy zjeżdża się dwa kilo potomków kasztelanów i hetmanów, rodziny ukraińskie z fornalkami córek, ogiery obywatelskie na ożenek. Tu w krótkim czasie zostali obaj Grzanowscy popularnymi, sympatycznymi, kochanymi, nieocenionymi. Zajmowano się ich przeszłością i ich planami na przyszłość. Wszędzie widzieli dokoła

uśmiechnięte twarze. Rozbili z kuzynkiem namioty w dzielnicy, która miała charakter polskiego przedmieścia St. Germain w prastarej stolicy Piastów i tu postanowili zabawić do końca karnawału. Poczem pan Sarjusz miał wpaść na dzień na wieś, skontrolować gospodarkę dzierżawcy pana Jakóba Złotogórskiego-Goldberga, poczem dopiero mieli wyjechać zagranicę, by rewizytować Panią Kulturę, która w czas swego pobytu na wsi galicyjskiej z tak niefortunnej przedstawiła się strony. Tymczasem zaś wraz z attachem swego miljona zawiązywał pan Sarjusz liczne i znakomite stosunki, protegował arystokracje i karnawałował. Kuzyncio sterował przez wysokie progi, a. Sarjusz wjeżdżał na salony, na które zwykłemu hreczkosiejowi trudniej się dostać, niżli wielbłądowi przez igle uszko. Szczęśliwym trafem zdarzyło się, że tego sezonu koczowały w mieście na gościnnych karnawałowych występach dwie familje hrabiowskie, każda obdarzona zdrową fornalką, t. j. czwórcą córek i pewna księżna wdowa z dwoma córeczkami bardzo skrofulicznemi, ale bardzo sympatycznemi, wobec czego uważano za stosowne dać przywódcom złotej młodzieży *carte blanche* na prezentowanie i wprowadzanie w zaczarowane koło historycznych nazwisk także i takich panów, którzy są dobrą partją marjażową. Pan Sarjusz był na Grzanowie Grzanowskim herbu Wczele, wskutek czego stał się partją sezonową *prima qualité*, takim Sarjuszem, który przy końcu sezonu mógł sobie pierwszy swobodnie proponować Księciu Piotrowi tykanie, a któremu hrabia Paweł swobodnie mógł pożyczać czasami swą żonę.

...Niepotrzebnieś dał hrabiemu zaraz całe 6 tysięcy... mentorował nietaktownie zirytowany kuzyn.

Można się go było pozbyć jakiemi 4-ma... Cóż z tego, że matka jego księżniczka Pizy, no, no, naciąga tak jak inni. Powinieneś przestać raz być szlachetką z miljonem, a zostać miljonowym szlachcicem!"

Szlachetka słuchał, korzystał i dość prędko nabierał swobody, pewności, a nawet arogancji. To też kochano go i psuto. W Kasynie Końskiem zrobiono go dygnitarzem, w klubie wyścigowym wydziałowym, Towarzystwo św. Wincentego á Paulo walczyło o niego z Towarzystwem Misji Zanzibarskich, a dwie wysychające bez podlania hrabianki pożądały go jak zbawienia, a kokietowały jak się tylko *prima quality* partję kokosową kokietuje.

Karnawał przechodził, małe haracze karciane, klubowe pożyczki i karnawałowanie wyciągnęły przeszło półkroć, conto hrabiego i conto jego żony znów przeszło pół krocia. Rezultat finalny: kilkaset wizytowych kart arystokratycznych, paki orderów kotyljonowych, kilkadziesiąt utytułowanych przyjaciół, zaszczytna opinja przyjaciela domu hrabiostwa Piotrów, kilkanaście zaproszeń na polowanie w poście, godności klubowe, turfowe i... tytuł.

Tak jest, pan Sarjusz Grzanowski wykazał się tuzinami protoplastów i dzięki wpływom został... szambelanem J. Cesarskiej Mości. Po tym fakcie dał bal, 5000 złr. Towarzystwu św. Wincentego i ufundował dwa stypendja akademickie dla uczniów szlacheckiego pochodzenia rodem z ziemi Sanockiej na studja agronomiczne za granicą. Życie towarzyskie nie przeszkadzało mu zresztą wcale popierać sztuk pięknych... a wesołych, literatury... żurnalów mód i cenników win, nie przeszkadzało ocierać łzy biednym... cyrkóweczkom. Pańską fantazją ruszony, sprowadził na przedstawienie

„Kościuszki pod Racławicami“ 190 sztuk chłopów ze swoich dóbr i fetował ich przez dwa dni, o czem i gazety dużo pisały. Tak więc i sam używał i innym używać pozwolił, a miljon w rękach dojrzałego obywatela nie podwoił się wprawdzie, ale rozchodził się z przerażającą szybkością między ludzi, którym jego najmniejsze okruchy więcej szczęścia przynieść mogły, niż szambelanowi Sarjuszowi. Pan Sarjusz dobiegał do drugiego momentu, w którym po raz wtóry już ogarnęło duszę przerażenie i groza nad własną ciężką lekkomyślnością. Postanowił ratować resztki, wracać na wieś, zerwać kontrakt dzierżawny z tym złodziejem Goldbergiem, gospodarować, zacząć pracę dla społeczeństwa, dla dobra obywateli, biednego, panie, narodu; postanowił kandydować na posła, zostać marszałkiem powiatowym, ratować Galicję, Ojczyznę i resztki miljonów.

...Oj, to, to, mój szambelanie, pouczał hrabia Piotr, służba krajowi to nasz wielki, święty obowiązek. A komu więcej dane, od tego więcej będzie żądane. I to słuszne, bardzo słuszne!

* * *

W myśl tej sentencji w dwa dni później zażądał od Sarjusza na razie pięć tysięcy na słowo, poczem sobie obaj zapomniawszy o wspólnej żonie, o kuzynku, „pierwszym mistrzu na drodze życia“, o całym świecie galicyjskim i o „naszym wielkim świętym obowiązku“, w Środę popielcową expresem pomknęli via Wiedeń do Carlo... Monte... gdzie każdy Polak szanujący się t. j. należący do towarzystwa i posiadający resztkę miljona, powinien choć raz na rok być, aby czerpać

cywilizację w największym jej rozkwicie u źródła samego...

A teraz? A teraz w r. 1910 gdzie szambelan Sar?

A teraz siada Sar sztywnie i prosto z niezdrowemi ceglastemi rumieńcami a starannie wyczernionym wąsem, w małej ordynarnej cukierni prowincjonalnego miasta galicyjskiego przy oknie...

Jest agentem Tow. Wzaj. Ubezp..., Ma mieszkanko, dwa pokoiki od frontu z ogródkiem bardzo ładnie zaniedbanym, mnóstwo fotografji, biletów wizytowych, kilka drobnych obrazów, dywan i rasowego doga. Żyje wspomnieniami z niedalekiej przedwczorajszej przeszłości i podłym wiktem z pierwszej restauracji w Rzeszotowie. Po obiedzie idzie do brudnej cukierni (pamięta dobrze Regence i Sachera) na czarną kawę, pożal się Bogu jaką. Stracił wszystko i ponad wszystko, bo i zdrowie, i humor, i siebie. Do cukierni schodzą się figury z miasteczka: hałaśliwi, gadatliwi, ordynarni, głupi, nudni w każdym calu. Nie patrzy na nich, nie widzi ich, nie znosi... Czyta gazetę, zapala cygaro, szklanym wzrokiem patrzy przez okno, uśmiechając się dziwnie, gorzko, spokojnie... W powiecie ktoś inny został posłem, marszałka wybrali tego co dawniej, kuzynek żeni się bogato w Warszawie, był łaskaw nawet list napisać. Tam gdzieś daleko wre życie, wielkie, gorące, szalone, gdzie on mógł królować. Ludzie bawią się, szaleją, denerwują się, biegną, tworzą, budują, niszczą, żyją. On tu spędzi sobie może już i całe życie... on szambelan Sarjusz, partja *prima qualité*, Paryżanin... miljoner... exmiljoner. Czasem oblewa mu szyję zimny pot, rozpacz ściska gardło, straszny żal zaćmiewa i zamruża oczy. Wstaje szty-

wnie, płaci, czasem spostrzeże w lustrze drwiąco uśmiechniętych „panów z miasta". Wychodzi.

Wraca do domu bezradny, pokorny. Siada w starym fotelu i patrzy godzinami na ścianę pozawieszaną fotografjami... Iza... Irma... Róża... hrabina... Ninetta... Fanchon... Mimi... ten i ów, w środku dawny stary dwór ojca i matki w Grzanowie...

Patrzy. Łza mu pod monoklem zwisa. Biedny Sar! Oby najbliższa cholera wybiła do nogi całe obywatelstwo Rzeszotowa, co się z ciebie wyśmiewa, Sar! Coś użył, to twoje! A votre santé Sar! Sacreuble!



WESELE CIOMPALANKI

Dnia 1 septembra b. r. wieczorową porą zebrało się wiele osób godnych, jakoto że od niego zacznę: prezydent sądu karnego, mający 5 córek i z tych trzy garbate, pan Mateusz Ciompała, poczem osoba, której wiecznie z uszu śmierdzące ciekło, radca przydzielony do cywilnego Pryszczak, następnie radca skarbowy z ogromnym wolem na szyi, następczo komisarz Skarbowy Moczymordowicz, następuje sam pan komisarz starostwa Alojzy Agapit Mendaczek, kolejno koncepiści: Fiedlertanz, Mauszman jakoteż adjunkt podatkowy Cycoń, z auskultantów Pyzaty, Pomidorski Florjan, Kapucynier Jan i dr. Samuel Guttaperer, oraz tychże małżonki.

Ostatecznie tedy sami swoi, że tak powiem wykształceni, bowiem tak w miastach jak i w Jaśle, Wadowicach, Bochni osiem klas łacińskich, studja uniwersyteckie pisząc po kancelarjach notarjalnych oraz magistrackich w Liszkach, Klikuszowy i Mielcu chlubnie dla narodu skończyli. Z całego zebrania pan komisarz Moczymordowicz był w Widniu, Antoni Pryszczak w Rabce i Żegiestowie, a dr Chlewik także nawet w takim Bostonie, gdzie cała jego rodzina z pod Nowego Targu pochodząca wyemigrowała.

Zebranie owo, jak już było wyżej wyszczególnionem, patrz pagina jeden, krytycznej nocy, o której jest mowa, zebrane było u czcigodnego prezydenta Ciompały, bowiem najmłodsza tegoż córka panna Flora, cierpiąca dotąd na chroniczną fluksję, pojmowała onego wzwyż cytowanego wieczoru za małżonka koncepistę dr. Chlewika.

X. Ambroży Ciompała brat pana prezydenta własnoręcznie pobłogosławił młodą parę przy dźwięku organów i śpiewu Veni Spirytus, przyczem ciotce młodej panny z imienia Karolinie zrobiło się tak mdło, że na świętą posadzkę kościoła w kącie za ołtarzem oddała dwa proszki antipiryny i pięć proszków kefalginy, co wszystko bierze na bóle głowy, powodowane głównie podobno tem, że tak zwany wychodek czyli ustęp znajduje się u czcigodnych państwa Ciompałów między salonem a sypialnią córek pani prezydentowej, co wszystko śpi na materacach na ziemi, niestety, Boże odpuść, i okien nie otwierając, tak że nietylko siekierę ale i kowadło w atmosferze powiesićby można, a pokolenie urzędnicze karłowacieć musi, tudzież blednicom nie będzie końca. Pożal się Boże, ni ja, Żelazikowski kancelista w takiej aurorze i fetorze przeżyćbym jako żywo nie mógł.

Czterema karetami udano się w 35 (cyframi trzydzieści pięć) osób z kościoła do domu, wytargowawszy je po pięć złotych od karety, z powodu czego ciężar osób w karetach był dotkliwy, chociaż na kozłach usadowili się pan komisarz Witrychowski i pan substytut Tiedemann, z czego żaki uliczne oraz gawiedź jadowicie i upornie się śmiała, a woźnice klęli, wymyślając najordynarniejszemi wyzwiskami i wysypując najprzed-

niejszą dykasterję z przeproszeniem jako ostatnie, dobił przed dom weselny, rzęsiście naftą oświecony.

W salonie na fortepjanie trzech strun niemającym, porozkładano bardzo gustowne prezenty dla państwa młodych, a więc: tuzin chusteczek z prawdziwego perkalu, tyleż łyżeczek do czarnej kawy z neusilbru, tyleż nożyków do krajania jabłek w pięknem pąsowem pudełku, następczo naczynie na ciasta z zielonego pięknego szkła, oraz cukiernicę z aluminjum, oraz aparat fotograficzny ceny o ile się pamięta z wystawy 6 złr. 76 krajcarów, pięć losów Czerwonego Krzyża, oraz pulares z duńskiej skóry z tak zwanym centem szczęścia, błogosławionym w kościele św. Barbary itp. Nie należy końcowo przepomnieć całego garnituru z różowej porcelany w zielone ptaszki składającego się z miednicy, dzbana, puzderka na mydło oraz filiżanki niedziennej, zwanej pospolicie nocnikiem na osób dwie, w potrzebie nawet cztery do pięciu.

Towarzystwo wzwyż wspomniane z doliczeniem nieodpowiedzialnych prawnie małoletnich w liczbie 7 zapełniło gościnne apartamenty prezydentostwa Ciompałów, póki służba wynajęta, t. j. lokaje (którzy jako karawaniarze wieczorem odprowadzili na miejsce wiecznego spoczynku suplenta Gagatka, zmarłego na tyfus plamisty) z pośpiechem i uszanowaniem nie nakryli do stołów wypożyczonych od miejscowych Izraelitów.

Koło godziny 12-ej otworzono drzwi do jadalni i oczom zebranych z c. k. Sądu delegowanego miejskiego, c. k. Prokuratorji i podprokuratorji, c. k. Dyrekcji Skarbowej, c. k. Urzędu Wymiaru i należytości, c. k. Archiwum Sądowego, c. k. Policji ukazał się wspaniale do biesiady urządzony stół z wieżą z czerwonego cukru i imionami nowożeńców na środku.

Atoli okna musiano z konieczności (rektyfikowanych sumiennie) otworzyć, bowiem smród z przypalonego masła był nie do wytrzymałości.

Uwierzytelniony jadłospis, zwany: menu, a spisany na kartkach z zeszytu nieletniej Maci Ciompałówny, rączką nieletniej Pelci Ciompałówny brzmiał w dosłownem przepisaniu następująco:

Bhoef a la monde
Comsommmme avec z jajami
Bouton avec Salade a la Metternich
Sparages a la Dunajewski
Blamagé avec vafles
Pommes des granales-Ementhaler
Caffe, Tee, Vine carte blanchel
Oranges, citrones
Vöslauer-Auslese, Soda-Wasser.

Co wszystko wykaligrafowane, otoczone było malowanemi przez pannę Madzię Ciompałównę kwiatkami, co się wytłumaczyć daje notorycznem i znanem w kołach sądowych powołaniem powyżej zaznaczonej nieletniej Madzi do t. zwanej pospolicie sztuki malarskiej.

Ponieważ dostojnych gości usadzono wedle wyższej instrukcji samego prezydenta Ciompały, przeto żadne uczucie pewnego rodzaju godności osobistej nie było na szwank narażone, wobec szacunku należnego rangom, jakoteż dykasterjom. Po prawicy panny młodej siedział ksiądz Ambroży, atoli po lewicy pana młodego pan pułkownik Pitzschke von Pitzendorf, dalej pan nadkomisarz Moczymordowicz, ozdobiony przez Miłościwego Monarchę orderem żelaznej korony VI klasy z uwolnieniem od taksy i frachtu, poczem wdo-

wa po św. p. staroście Friedmanie von Friedenau, znanym i wspomnianym zaszczytnie z ukarania szubienicą trzech powstańców z r. Pańskiego 1863. Na końcu stołu oraz przy osobnym stoliczku między nieletniemi zaś ci, którzy nie mogli jeszcze wykazać się ani egzaminem sądowym, ani adjutum, a z krewieństwa musieli być proszeni jakoto: syn kancelisty Kisielewskiego, takoż syn pana ministra Rittnera, takoż syn woźnego Weissa z zawodu malarz pokojowy portretów. Którzy to młodzieńcy szybko przebrawszy miarę w trunkach wszczęli zachowywać się nieprzyzwoicie, niepomni zaszczytu, jaki ich (zresztą niezasłużenie) spotkał. Najgorszy zaś z nich syn pana nadzorcy lat dwudziestu jeden, włosów ryżych, wzrostu słusznego, bez oznak szczegółowych, któren to, głównie obwiniony wonczas na grzeczną upominającą uwagę adjunkta konceptowego pana Cyconia, aby uciszył się, odpowiedział krnąbrnie propozycją pocałowania go w owo miejsce na ciele, w którem wszczynają się odnoża dolne u człowieka, inaczej nogi. Ten też inkryminowany młodzieniec doprowadził głównie według zeznań wszystkich naocznych świadków weselnych do karygodnego zakłócenia porządku weselnego, jakie miało miejsce po przemowie weselnej świetnie zestawionej i ściśle rzeczowej samego pana komisarza starostwa Alojzego Agapita Mendaczka, znanego ze skrupulatnej elegancji w całem sądownictwie, przynoszącej zaszczyt popularnej firmie izraelickiej: Heilman Cohn i synowie.

Zaznaczonem było poprzednio, jako osoby karygodny udział w zakłóceniu porządku weselnego biorący, przy osobnym stoliku, zwanym w sferach sądowych: katzentiszlem siedzący, od samego początku akcji weselnej zdradzały usposobienie nienormalne,

w wysokim stopniu uwłaczające wysokim rangom obecnych szczęśliwym trafem zebranym pod gościnnym dachem cytowanych powyżej prezydentostwa Ciompałów. Zaraz tedy z początku uczty jeden z nich skosztowawszy napoju winnego z butelki, której koszt nie przenosił 45 ct. w. a. (90 halerzy), szybko posłał obsługującego lokaja, nazwiskiem Fąferkę przynależnego do gminy Kilkuszowa Mała do pobliskiego handlu korzennego po 3 (słowami: trzy) butelki szampańskiego wina i odtąd inkryminowane osoby owe wyłącznie to wino piwszy łatwo usprawiedliwionem jest w stan nietrzeźwości wpadły, czego dowodem stały się wypadki przewidziane w kodeksie karnym i ustawodawstwie cywilnem Państwa Austrjackiego. Po przemówieniu wielebnego Xiędza Ambrożego Ciompały, proboszcza z Kleczy Piaskowej na cześć Najmiłościwiej nam Panującego Cesarza Franciszka Józefa I., którego słowa wywołały u zebranych oznaki radości niekłamanej, powstał, co zaznaczonem być musi, nadspodziewanie syn byłego Pana Ministra Rittnera i w przynależnej ciszy zebranych, odpowiedniej uczuciom wywołanym powstaniem rodzonego syna bardzo wysokiego dostojnika Monarchji Austro-Węgierskiej wygłosił donośnym głosem mowę na cześć stanu urzędniczego wogóle a sądownictwa w szczególności, nazywając całość urządzeń bezmyślną, ślepą starą „Maszyną", a poszczególne rangi i stopnie, kołkami i szprychami przeważnie zardzewiałemi, a mimo tę okoliczność zgodnie z ustawami funkcjonującemi. Przy końcu swej mowy syn Jego Excellencji Pana Ministra zapowiedział pewne, daleko idące reformy w wydziałach tak cywilnym jak i karnym w słowach następujących: wnet atoli przyjdą czasy, kiedy społeczeństwa bardziej uświadomione

wydzielą z siebie jako niepotrzebny ekskrement tę klasę pasożytną, kosmopolityczną, barbarzyńską i upartą. Szczególniej zaś Galicja, przychodząca z dnia na dzień do narodowego samopoczucia, powinna raz wreszcie „unaradawiać“ te zdegenerowane „elementy“ „czesko-szwabskie“.

Przeto niech żyje urzędnik! obywatel, urzędnik-Polak, a niech przepadają kółka i kółeczka centralistycznej „Maszyny“, niech ginie typ urzędnika-matołka, urzędnika kosmopolity...“

Takowe to mniej więcej w przybliżeniu przemówienie młodego mówcy z Widnia przyjęto jeszcze oklaskami i serdecznemi podziękowaniami. Poczem poprzód poprosiwszy o głos pana prezydenta, w sposób przepisany zabrał głos powstając sam pan komisarz starostwa Alojzy Agapit Mendaczek. Mowa onego w streszczeniu odpowiedniem brzmiała następująco: Z całą stanowczością opierającego się na rzeczowych dokumentach to se naziwa mit verantwortlichen Gewissen eines Staatsbeamten przychodzi mi tu zacytować słowa znakomitego dyplomata galicyjskiego namiestnika świętej pamięci grafa Stadiona, wypowiedziane niegdyś do świętej pamięci dyrektora policji Sacher-Masocha: „Ein Berenland kann in kurzer Zeitfrist in ein Schlaraffenland verzaubert werden nur mit Hilfe eines stark organisierten Beamtenstandes“... To se i my dożyliśmy czasów jako w naszych miastach jest kanalizacja a trotuary, a rozmaite kasyna, a to i bardzo wielu z nas rodaków w ministerjach i sekcjach, a największe cyrki do nas przyjeżdżają i ivadla, a przed kilkoma laty dożyliśmy nawet dass der famose Barnum był w Krakowie. Das sind die Thatsachen und alles

das verdanken wir einem Pflicht- und Dynastie-treuen Beamtenstande, którego chlubą, ozdobą, eine wahre Perle to se jest pan prezident Ciompała, którego ślieczinkę dziś, den vierundzwanzigsten September zaślubił nasz pan kolega doktór juris koncepista Chlewek! Hurra! Hurra! Hurra!

W ten dla przykładu i naśladownictwa zacytowany porządek zwięzłym i pięknym urzędowym językiem przemawiał pan komisarz pół godziny i trzynaście minut mimo kilkakrotnych przerywań ze strony zuchwale i coraz swobodniej zachowujących się młodzieńców. Dopiero na niestosowny okrzyk któregoś z nich w języku urzędowym brzmiący: Schluss, Du Kron-Kretin! czuł się zniewolonym zakończyć swe przemówienie pan komisarz starostwa. I wtedy to, wśród niemilknącego aplauzu, potakiwań i życzeń serdecznych ze strony wszystkich, mimo napomnienia jakoś i rady współtowarzyszy, (co musi być tutaj protokółowo wciągniętem) mimo protestu specjalnego komisarza skarbowego Moczymordowicza, przeczuwającego agresywny stan umysłu obwinionego, wskoczył wedle zgodnych naocznych zeznań świadków na krzesło syn emeryta radcy sądu cywilnego zwan w kołach urzędniczych Sowizdrzałem i trzymając w ręce naczynie z wyżej wzmiankowanem winem szampańskiem, wygłosił mowę, jakiej podobnej nie znajduje się w całem Archiwum Sądowem c. i k. miasta naszego, a noszącej wszelkie znamiona zbrodni i gwałtu publicznego, obrazy moralności, nieposzanowania ustaw, lekceważenia i pogardy stanu sędziowskiego, oraz pogardy dla całokształtu procedury cywilnej i karnej. Mowa ta, nie kwalifikująca się do publikacji, z opusz-

czeniem uwłaczających Monarchji Austro-Węgier i skonfiskowanych ustępów brzmiała jak poniżej:

...W złotych kołnierzach puste głowy!... Monady w pirogach! amfibje biedne!... rzezańce emerytury! Głodomory konceptowe i auskultanty bezbrzeżnej ducha nędzy... Niech wstanie tu jedna kreatura, co wie kto Spencer? Kto Crookes? Kto Haeckel? Kto Harnack? Kto Miecznikow? Kto Avenarius? Hola, trzodo Panurga! Milczycie, piargi marności?... ...Zapłużą rzemienie skręcone w zgiętych plecach referujących mrówek!... Pył z waszych akcisków huragany jutra rozproszą w niebyty!... Kamień na kamieniu w waszych c. k. kancellarji nie ostanie. Mówicie: za nami Wideń, co nam po Warszawach"?... Świat wam Hekubą. Lud wam Hekubą, społeczeństwo wam Hekubą, ziemia wam Hekubą!... Martyrologją narodu kopie swego każdy skrybacz za kancelaryjnym szańcem, syzyfowe prace za kordonem wydrwiwa każdy pomiot z egzaminem sądowym i c. k. adjutum! ...Mało na was deszcz kamienny z za barykad i illuminacja na latarniach, wy rozmnożone w małych miastach i wylęgłe w świadło pokraczne robactwo... Idą czasy, co was zmiotą, Ciompały!... Milczycie, wystraszone, blade, dygocące w reumatycznych więzadłach kolan, wiecznie skrofuliczne, wiecznie anemiczne parodje obrazu i podobieństwa boskiego?... Za nic wam cały naród, bando, kiedy macie emeryturę po 30 latach parszywości!... Mówicie: najpiękniejsi ludzie to J. E. Dunajewski i J. E. Gołuchowski, i J. E. Biliński, i J. E. Bobrzyński... A ja wam mówię. Najpiękniejszy człowiek to ten, co wysadzi w powietrze Biurokrację galilejską... ...Mówicie: za nami Wideń, co nam po „Warszawiakach"!... A ja wam mówię: Wiedeń padnie, Warszawa przetrwa,

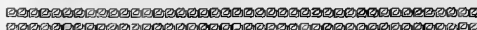
a z was będą tylko błazeńskie operetki i kuplety o starym prezydencie, co oszalał, nie dostawszy Żelaznej Krony III. kl. ...A teraz przepadajcie!... Adest ex ossibus vestris ultor! Niech z tej biednej Florci Ciompalanki i jej małżonka koncepisty Chlewka porodzi się symbol waszl niech się wypełni owo misterjum cellulae! Niech mu ziemia c. k. Galicji, na którą wstąpi, będzie lekką... Niech się stanie zadość słowom Sowizdrzałowym: A wynijdzie z pośród nich koszmar ohydny z olbrzymią na cienkiej szyjce wodną głową, opadającą bezwładnie, zielonemi muszlami uszu i potwornemi gałami oczu, wypadającemi na nitkach z oczodołów. Ten ci jest, który za nimi świadczyć będzie i w świat zejdzie na cieniutkich rachitycznych odnóżkach z wielkim opadającym w fałdach brzuchu! A na imię mu będzie Biurokrad".

I w ten to i podobny onemuż sposób, do zapamiętania całkiem nie możebny i nie kwalifikujący się a wykazujący jasno wszelkie znamiona wyżej wzmiankowanego obłędu, wzmocnionego powyżej cytowanym nadmiarem w użyciu napoju wyskokowego zwanego: szampańskiem przemawiał nadal wyrodny syn pana nadradcy, rzeczony, dzisiaj już zmarły Sowizdrzał. Od onego to czasu żywioły wywrotowe i rozstrojowe ośmielają się na określenie ck. urzędników ck. Cislitawji w ck. Monarchji używać obrażającego słowa: biurokrad zamiast do tych czasów powszechnie używanego biurokrata.

To niniejszem naoczny świadek onego zajścia na weselu córki pana prezydenta Ciompały ja, Jan Kanty Żelazikowski zeznaję i spisuję nie celem przedsięwzięcia jakowego dochodzenia sądowego przeciw

zmarłemu, a jeno ku wiecznej rzeczy pamięci i przykładu, do czego może doprowadzić niezłożenie w porę egzaminów rządowych na wydziale prawnym oraz wzgarda do jedynie pasującego uczciwym familjom ck. Lodomerji (wraz z Wielkiem Księstwem Krakowskim) urzędniczego stanu.

Na tem doniesienie takowe szlusuję.



NYMFOMANJA

Siadali najczęściej, powiedzieć da się prawie, zawsze na ławeczce, naprzeciw bramy parkowej Zakładu wodą z nudów leczącego, obliczonego na przeszło dwieście sztuk znudzonych ludzi z pod wszystkich trzech zaborów. Opodal nich na ziemi rozsiadał się po turecku gazda blagier, imponujący snobom srebrnem runem włosów i fantasmagorjami à conto nieszczęsnego Janosika, szarpanego za życia przez pandurów i żandarmów, po śmierci przez poetów i korespondentów gazeciarskich. Nadużywający powagi swej siwizny stary góral opowiadał przechodzącym podlotkom i scyzorykom, jakoby żył lat sto i trzydzieści, za co domagał się pieniędzy, monotonnie i nadaremnie wzywając imienia Boga, a otaczającym go czasem rojem chłopczyskom, wydrwiwającym bezlitośnie blagi starego, odpowiadał obelgami i kijem.

Tuż przy drodze stawał ze swym aparatem poważny szlifierz, puszczał w ruch kamienne kółko i mocno przyciskał do kółka filisterskie noże i nożyczki, syczące niemiłosiernie z bólu szlifowania. Chuda żona szlifierza w czarnych pończochach i wysoko podniesionej spódnicy obgryzała flegmatycznie kotlet wieprzowy, a mały jamnik o omal sześciu nogach spo-

zierał na nią z wyrazem zazdrości, łakomstwa, pogardy, ba nawet smętku z tego, że to życie nasze taką groźną, taką bezlitosną musi być walką o kość, o byt. O, smętne wy oczy jamnicze!

To wszystko obserwowałem z mojej sąsiedniej ławki, a nadto górali od furek, krytykujących sarkastycznie ludzi miejskich, nadto starą góralkę, ciągnącą gdzieś czerwonego byka za rogi, nadto dwa baranki bezkarnie spacerujące po środku drogi, nadto obrzydliwego młodzieńca, pędzącego oczywiście bez celu na lśniącym rowerze, nadto trzech księży dyskutujących o różnicy zrazów z kaszą, dawanych w Otwocku, od dawanych tutaj przy tabeldocie w zakładzie hydroterapicznym; nadto sympatyczną czarną samiczkę w popielatej sukni wsiadającą z bezbrzeżnym urokiem do furki...

Nadto Orestesa and Pyladesa.

Obaj mieli złote zegarki, ale i grube solidne laski, obaj byli w gołąbkowych pikowych kamizelkach i jasnych inexprimablach, obaj mieli, jak wyliczyłem, sześćdziesiąt dziewięć gestów rąk i nóg, które kolejno powtarzali z małemi bardzo warjacjami, obaj mieli ten sam stereotyp uśmiechu, który jakaś anegdota odbijała im na twarze w dość małpim grymasie; obaj palili ten sam gatunek cygar po pięć i pół centów, obaj mieli olbrzymie monogramy na rogach chusteczek, na czole bróżdę, którą innym żłobi troska, im zaś wyryło chyba rondo kapelusza. Co prawda, Opatrzność znów nie wysiliła się zbytecznie (myślałem), powołując do życia te dwa obrazy i podobieństwa Swoje. Jakże atoli prędko zmieniłem zdanie, zbliżywszy do nich me oczy, uszy i indywidualność. Pierwszymi czasy siadywałem blisko nich na sąsiedniej ławce, ale pogardza-

łem nimi. Zły byłem, że takie dwa podstarzałe lowelasy zajęły mi moją ukochaną ławkę naprzeciw bramy parku, ławkę, z której nadzwyczaj intensywnie wglądałem we wszystko, co się działo wewnątrz (a działy się dziwy); tem bardziej zły byłem, wiedząc, że tego sezonu w Zakładzie mieszkały właśnie dwie moje exnarzeczone z tych czasów, kiedy jeszcze nawet nie myślano odstawić mnie do Domu obłąkanych.

Dwie byłe narzeczone mieszkały tam gdzieś w głębiach jodeł i sosen i marzyły w bezsennych nocach księżycowych o smutku mojego obłędu i może z żalu darły w strzępy koronki swych nocnych kaftaniczków. Mnie zaś mój psychjatra, surowy i dalekowidzący psychjatra pod świętą przysięgą nie pozwolił nawet przekroczyć bram tego parku.

...Tam na pana czyha kompletny obłęd. Nie wolno panu wogóle nawet przez lunetę patrzeć na kobietę. Raz już czas, abyś pan zerwał z błędnem kołem zaręczonych z panem panien. Nie wolno panu tam chodzić; pan zdradziłeś się już z myślą uduszenia słuckim pasem litym dyrektora szpitala, tylko dlatego, że jest gadatliwy, a nic panu niema do powiedzenia. Unikaj pan emocji, na Boga, unikaj dyrektorów szpitali, unikaj obserwacji. Wolno panu spacerować aż do siódmej ławki na drodze od wilji Irridenty. Na siódmej ławce pan siądź, zapal papierosa i myśl o naszej filozofji mesjanicznej. To tylko bowiem najwięcej zbliżać pana będzie do bezmyślności, a panu konieczna do zdrowia bezmyślność...

A właśnie na 7-mej ławce siadali teraz Orestes i Pylades. Więc byłem słusznie zły na nich i pogardzałem nimi. Początkowo nawet nie zwracałem na nich uwagi szczególniejszej. Ot dwa łyse kozły, wy-

poczywające po marnościach pracy obowiązkowej, dwa nieuświadomione pasożyty butwienia, dwie świece kapiące ignorancją, które śmierć zapomniała zgasić, ot dwa materace, po których przewala się ziewając przepotężna nuda. A tu dokoła tyle było do oglądania dla widomego, do słuchania dla muzykalnej duszy.

W sąsiedniej willi jakiś pan z jakąś samicą z towarzyszeniem klekotu fortepjanowego rozdzierali atmosferę monumentalnym duetem z DonJouana. On musiał być chyba jakimś szefem sekcyjnym, czy radcą Towarzystwa Kredytowego, taki miał majestat w zerwanym głosie, ona cierpiała na niedokwasy w żołądku, tyle było bólu i szlachetnego zapału w zdzieranym okropnie:

Non sperar se non m'uccidi.

Z głębin parku dochodziły indjańskie dźwięki obrzydliwego tam-tamu, jakim służba wabiła nerwowych gości do żerowiska. Od głupiego dworca kolejowego turkotały hałaśliwie furki, pełne matek, ojców, synów, córek, kufrów, koszów, kołysek i tego specyficznie obrzydliwego zapachu, jaki roztaczają naokół rodziny cnotliwe szczególnie w lipcu, kiedy gorąco wywołuje pocenie, pocenie złość i niechęć wzajemną, niechęć wzajemna znowu pocenie. Czasem tylko niespodzianie z której budki góralskiej zapchanej małomiejską starożytnością, z jakiejś dryndy, czy powoziku, wychylała się jakaś twarzyczka świeżego swojskiego dziewczęcia, jakiejś Anielki czy Maryni, Lili czy Mity, ciekawej na Gewont; czasem mignęła jakaś twarzuchna mężateczki, żądnej płciowych sensacji, wybredniejszych często od tych, jakich dostawcą w mieście bywa mąż.

Tem wszystkiem oczywiście z czasem znudzony doszczętnie, pomny na słowa mojego psychjatry, siadałem jak i poprzednio na ławce *szóstej* od willi „Irri-

denty". Atoli całą siłę zmysłu obserwacyjnego odwróciłem od bramy parku, kryjącego moje dwie narzeczone, oraz newrozę polską z pod trzech zaborów. Odwróciłem się od nowych gości z kolei i od szlifierza i od dziada stotrzydziestoletniego, a zogniskowałem całą uwagę na Orestesie and Pyladesie.

Byliżby to nymfomanie? Zaobserwowałem bowiem, że nie było ani jednej dość brzydkiej kobiety pod słońcem Podhala, którejby nie odprowadzali oczyma i znacznie ożywionym djalogiem, póki nie znikła. Gdy przechodził nowy transport, garść panien, czwórka rozwódek, samotna wdowa, macierz z dwoma kurami, lub t. p., obaj odprowadzali wzrokiem i dowcipami nowe kobiety, aż dotąd, póki nie znikły w końcach alei.

Tak trwało dni cztery na obserwowaniu ich z dystansu. Z dnia na dzień czułem, jak coraz więcej przybywa mi rozumu, jak zwoje mózgowe bogato mi się fałdują. Dochodziłem do przekonania, że jeżeli już rzeczywiście sam przestanę marzyć o kobietach i tylko będę się wpatrywał w główkę mej laski, przedstawiającą głowę sowy, jeżeli już będę myślał o mesjanizmie, a tylko od czasu do czasu będę podpatrywał obu moich lowelasów, to z czasem przyjdę zupełnie do równowagi umysłowej i nikt nie będzie śmiał wsadzić mnie znowu do tego straszliwego domu obłąkanych, jedynego jednak D. O. M. U., w którym genjalny człowiek jest dziś *right man a right place*.

...W tych dniach pójdziesz mi pan na pewien reunion, mówił mi raz niespodzianie mój psychjatra, Nie tylko to. Będziesz mi pan tańczył z damami, które panu wskażę, Po kolei. Z pewną starszą już, ale bardzo wykształconą mężatką przetańczysz mi pan osiem razy salę, aż dostaniesz uderzenia krwi do

głowy. Ten reunion musi panu na całe już życie obrzydzić płeć piękną, jak mówią krótkowidze. To środek radykalny...

Biedny mój doktór! Przez ciągłe obcowanie z chorymi umysłowo sam nabawił się silnej atrofji naczyń krwionośnych. Chyba chciał mnie dobić tym reunionem. Ja miałbym ośm razy przeharcować po sali, długiej na szesnaście metrów, ciągnąć za sobą osobę wydekoltowaną, ale brzydką i dać sobie tłuc boki przez dryblasów, obtańcowujących trzynastolatki, przez czerwonych chłopczysków w mundurkach, rozbijających duszną atmosferę ciałami starych panien? Przenigdy. Postanowiłem sobie w tym wypadku absolutnie sprzeciwić się doktorowi i raczej dać się ztorturować, niż wepchnięty w smoking iść na salę rzęsiście oświetloną i pełną ludzi jeszcze sobie nieznanych, a już się oczerniających. Nadto, dość już się dawnemi czasy wytańczyłem, dość! Raz pamiętam zatańczyłem w galopce jedną blondynkę w różowych tiulach na śmierć. Upadła na kanapkę, westchnęła kilka razy, ostatnie jej słowa były: mille pardon! Jezus, Marja! i zmarła, a reszta towarzystwa nie przypuszczała nawet, aby zmarła na serjo. Odtąd nigdy już nie tańczyłem z blondynkami w różowych tiulach. Z czasem odzwyczaiłem się powoli od tego nałogu wogóle i wolałem, aby świat tańczył przede mną. Zresztą cały poświęcałem się bezproduktywnej obserwacji, zajęciu jedynie godnemu człowieka, którego życie zawiodło, dając mu ni stąd, ni zowąd dwie narzeczone (obiecując ich jeszcze więcej), a odbierając rozum. Postanowiłem sobie do końca życia być tylko biernym widzem, a przenigdy czynnym aktorem-fuszerem życia. Zrywałem wszelkie stosunki z ludźmi, nie kłaniałem się ani spo-

wiednikowi na ulicy, ani zdejmowałem kapelusza przed kościołem, nie czytałem gazet, nie wyzywałem antypatycznych ludzi na pojedynek, nie mówiłem grubiaństw Ekscelencjom, nie chowałem żadnej psiarni, nie grałem na giełdzie, co wszystko ostatecznie wzbudzało koło mnie silną niechęć, nawet nienawiść, bowiem nic tak ludzi nie drażni, jak lekceważenie życia. Nazywają to oni tchórzostwem wobec życia! Głupcy! Z czasem oduczyłem się i mówić. Rozmawiałem już tylko z doktorem, a przed światem udawałem głuchoniemego z pełnem powodzeniem. W charakterze głuchoniemego szukałem człowieka.

Chodziłem po koncertach, kiedy w programie był Bach lub Offenbach. Pędziłem dorożką wszędzie, gdzie udała się jakakolwiek katastrofa: pożar, powódź, śmierć głodowa, samobójstwo, utopienie dziecka, otrucie kochanki. Przysłuchiwałem się groteskowo-tragicznym rozprawom sądowym o podpalania lub kradzież. Podsłuchiwałem rozmowy na ławkach ogrodów publicznych, szpiegowałem kochanków i złodziei. Sam w tych okolicznościach byłem cichy, bo głuchoniemy, więc tolerowany z litości, zawsze pewny siebie, bo nikomu niepotrzebny. I jak tu można mówić o braku celów życiowych? Mnie problemy i cele życiowe przy całej mej głuchoniemocie, co prawda sztucznej, więc tem boleśniejszej poprostu oblegały. Mówiłem sobie: musisz zbadać, nad czem przemyśliwa ten pan siwy, utykający na lewą nogę, z pierścionkiem brylantowym na trzecim palcu lewej ręki, kiedy co dzień regularnie przechadza się od rogu ulicy pod cukiernię, wraca, znów idzie, codziennie po godzinie 5-ej patrzy na zegarek, ogląda stare pudełka, wystawione w oknie cukierni i wraca spokojnie do domu. Po roku zbadałem

dokładnie jego przemyśliwania, ba nawet wymogłem na nim spisanie pamiętnika i pamiętnik ten otrzymawszy, bez czytania spaliłem.

I znów rok minął, jak studjowałem stosunek Handzi i Henia. Po tygodniu już powiedziałem sobie, że nie byłbym tem, czem jestem, to jest niczem, gdyby tu nie było tragedji, co prawda przeciętnej, ale zawsze wesołej. I nie omyliłem się. Rok nie upłynął, a biedna Handzia otruła się w drastyczny i hałaśliwy sposób; nie pomogły moje admonicje i wróżby. Nie mówiłem jej coprawda nic nigdy, bo jej nie znałem, a choćbym ją był znał, udawałem głuchoniemego... Ale przecież całemi godzinami wysiadywałem posępnie naprzeciw jej okna, w którem za kwiatem fuksji i barwinka szyła na nikczemnej maszynie sukienki chorym na blednicę panienkom burżuazyjnym; przecież przybierałem dla niej prawdziwie złowróżbne maski twarzy, przecież w oczach mych, zasnutych mgłą przeczuć, tak łatwo wyczytać mogła swą przyszłość, dostrzec straszną nieodwołalną katastrofę, ostatni akord swej miłości. Nie dojrzała, otruła się, umarła, a małe dziecię ich bezsennych nocy pewnie i nie nazwano nawet na pamiątkę mem imieniem...

O biedne dziecię Handzi i Henia!

A on? Widziałem go już po pół roku... właśnie tutaj w bezmyślnem źle skrojonem ubraniu, jak pewny siebie szedł jak zwykle z nową ofiarą swoją, młodą żoną swego stryja, z którą bez powodzenia odgrywali komedję grzesznej i występnej miłości.

A kiedy przechodzili koło moich lowelasów, obie głowy podstarzałych panów Orestesa i Pyladesa podniosły się do niej i odprowadzały ich, aż znikli w końcu alei. Słuchałem, co mówili:

...Ależ obcisła suknia...!

...Ehe, wszystko jak na talerzu.

...Musi być krzaczasta kobietka.

...Ehe, widziałeś wargi, co? Musi lubić rostbeuf!

...Waży ze 75 kilo.

...Uniósłbyś taką?

...Oho. Jak nie daleko, n. p. z fotelu na kanapę lub z kanapy na fotel, to jeszcze dzisiaj.

...Uważałeś lewy bucik? Nie? Miała, powiadam ci, tak wydeptany obcas, że lewa jej strona stanowczo musi być cięższą od prawej.

...Może; perfumuje się jaśminem.

...Jaśminem? O! to gryzie.

...Co?

...Te, które używają jaśminu, to gryzą, te co Violetty, to obrażają się o byle co, te, co werbeny, nie lubią brunetów, te, co paczuli, to starzeją się, te, co Eau d'Espagne...

...Rączkę miała cudowną...

...Aha, musi mieć wielką technikę, przytem szykowna.

...Ale on.

...Najwyżej nr. 4.

Zgłupiałem; słyszałem dokładnie, ale rozumiałem z tego, co mówili, bardzo mało. Zacząłem ich podejrzewać o posiadanie własnego żargonu, jakiejś starokawalerskiej gwary. W każdym razie postanowiłem podsłuchiwać ich i znaleźć gdzieś klucz, otwierający mi te dwie dusze, od których zalatywała cokolwiek woń obrzydliwej ale ciekawej stęchlizny. Nie byli dla mnie arcynowością. Taką parę przyjaciół ma każde miasto zwykłe, ponad sześćdziesiąt tysięcy mieszkańców liczące, każde miasto portowe i każde większe

„miejsce kąpielowe"; bardzo często trafiają się i na jasnym brzegu, sporadycznie w Szwajcarji; znałem taką parę starych kawalerów w Bostonie, siadującą zawsze na ławce vis-á-vis Tribune-Buildingu. Nazwałem ich raz na zawsze Orestes and Pylades na pamiątkę dwóch zbrodniarzy hinduskich, którzy żyli w Pan-Dżab przez lat sześćdziesiąt w przyjaźni szczerej, w czas jakiś zamordowali starą lichwiarkę murzynkę i obaj równocześnie zostali powieszeni, trzymając się przyjacielsko za ręce.

Cóż więc dziwnego, że i tutaj taka para się złożyła, ale w każdym razie nie byli oni dla mnie arcynowością.

...Ty Teodor dużo miałeś blondyn? słyszałem od drugiej sąsiedniej ławki.

...Jedenaście. Jedenastej jednak nie liczę. Powiem dziesięć, ostatnia bardzo twarda w siodle.

...Ciekawe! Opowiedz.

...Za smutne to. Po dwóch porcjach poziomek nie mogę. Nic teraz łatwiejszego jak niedyspozycja żołądkowa. Grzeb co nieco w przeszłości, w starych valenciennami obszytych majteczkach, w suchych niezapominajkach, jedwabnym pantofelku, w żółtych listach, a ani spostrzeżesz, jak po czasie musisz powtarzać kurację Morisonoską.

...Pieścisz się! Zanadto wydelikacasz, to się mści, to się mści...

...Ja się pieszczę? Ja wydelikacam? Ja? Prawie pół godziny stałem wczoraj w oknie, w samej koszuli, aby zwrócić na siebie uwagę hrabiny Betsy z willi Jagiellonki. Hrabina płukała usta Odolem, poczem nacierała całe ciało kolońską wodą. Gdyby nie płomień cygara, które sobie zapaliłem, byłbym zmarzł w otwar-

tem oknie, zmarzł na posterunku. Podobno Jezuici nie pozwalają na inne mycie ciał kobiecych, jak tylko wodą kolońską i to ze względu na katedrę w Kolonji. Co innegoby ich zdradziło w konfesjonałach, gdy spowiadają naiwne damy z mieszczaństwa...

...Cóż hrabina Betsy?... Urocza Betsy?

...Natarłszy się kolońską, smarowała się cała kremem. potem pudrowała od alfy do omegi wszystko, wreszcie ubrała zielonkawy peniuar, stanęła w oknie, pokazała mi język, poczem rzuciła się gwałtownie na klęcznik i żarliwie modliła z książeczki, bijąc się w piersi i od czasu tylko do czasu pokazując mi język przez okno!

...Język?... No, no... Dziwna kobieta...

...A co za łydy! Mówię ci, Polikarpie, bez entuzjazmu, bez egzaltacji; oduczyły mnie egzaltacji długie jesienie i ciasne buciki. Człowiek, który tyle lat walczy z nagniotkami, wątpię, aby się mógł jeszcze entuzjazmować. Ale te łydki. Proszę ciebie, białe, złocone maluteczkiemi złotemi włoskami, elastyczne jak stal, jak fiszbin, nie za tłuste, ot zwykły fason francuski, tylko subtelność uważasz dwunastu pokoleń, dwóch biskupów, jednej metresy królewskiej. Łydka hrabiny czystej rasy, co to wiele omawiać...

...Przyznam ci się, że wolę „to wszystko" w pończoszkach, szczególnie białych. Wszyscy w 18 wieku przekładali białe, demokracja i pozytywizm wprowadziły czarne jedwabne, i wiesz co? Wątpię, czy to wyjdzie na zdrowie ludzkości te bardzo długie, wysoko, wysoko ponad kolano jedwabne czarne. O, nie wiem, do czego jeszcze doprowadzi społeczeństwa ta demokracja. Może wnet będą pończochy sięgały aż do bioder... może i ponad biodra wysoko, wysoko. Wyobraź-

no sobie, dajmy na to, dajmy na to tę pannę, och tę gazelę co teraz tu nadchodzi, tę powiedziałbym dobrze tuczoną gazelę w pończochach jedwabnych aż po szyję, aż po szyję. To okropne! O! ciężkich dożywamy czasów...

Tak mówił silnie piegowaty Orestes z dziwnym smutkiem. Głowę pochylił nad laską i zamyślił się.

Ale już nie słuchałem ich. Dziwnym sprytem pojmowałem, że mówią o kobietach i mówią bez szacunku dla człowieka w kobiecie, bez uwzględnienia całej potężnej duchowej strony kobiet, uważając za posłannictwo kobiet tylko ich bierność w ekstatycznych momentach i ich gorące całusy i szepty wdzięczności za to, co było, choć tak krótko trwało, ich pozy mniej więcej malownicze i dekoratywne, ich gesty przeważnie przyrzekające. Orestes i Pylades kochali Amazonki, ale tylko na Bucentaurach, przenigdy zaś feministki psujące papier okropnemi artykułami i krzyczące „nowe słowo" staregopanieństwa. W tym punkcie zderzały się nasze światopoglądy, Orestesa i Pyladesa, a mój i mego psychiatry. Znakomity lekarz zawsze mawiał:

...Panny powinny się emancypować. Marna panna, która się wstydzi wspinać po drabinie na wieże, kiedy pod wieżą stoi stu czterdziestu zdrowych samców. Słyszałem o mężatce, która pod cesarskiem cięciem rozumiała ilustrację przedstawiającą słynnego cesarza Wilhelma otwierającego komers studentów w Bonn uderzeniem rapiru o stół dębowy. Oto cesarskie cięcie według współczesnej Laszki, oto edukacja dzisiejsza.

...A kobiety lekarki, a kobiety malarki, a fortepjanistki... odważyłem się oponować memu lekarzowi.

...Fortepjan? Oto słowo mądre padło! Tylko forte-

pjan. Gdyby więcej było fortepjanów u nas w kraju, statystyka mniej wykazywałaby nielegalnych dzieci, nie byłoby tych prawdziwie tajemniczych i mistycznych urodzin w tydzień po ślubie w najbardziej szanowanych familjach. Kiedy widzę piętnastoletnią Grażynkę pożądliwie zbliżającą się do fortepjanu i z silną namiętnością odkrywającą z trzaskiem deki, odsłaniającą klawiaturę i dosiadającą pedału, mówię, graj: Graj, Grażynko, graj, tłucz, wal, torturuj, łam klawisze, ciśnij pedał bez upamiętania, graj, aniele, graj, nie Szumana, nie Chopina, ale rapsodje graj, rapsodje jedną za drugą, potem Brahmsa Węgierskie Tańce, a jak ci grzeszne myśli będą znowu powracać, kiedy znów zaczniesz w nocnej ciszy marzyć o tem, co mówił ci pan Litawor, jeśli przypadkiem postanowisz sobie iść z nim we dwoje już jutro do Jaszczurówki, ażeby zobaczyć te pstrągi, o których ci kłamał pan Władzio, że wieczorem pogodnym podnoszą z wody łebki do księżyca i wzdychają... jak to postanowisz, to wtedy wyskocz z łóżeczka i tak jak jesteś w koszulce, pobiegnij do fortepjanu i choć cię księżyc niebieskiem światłem opieści, dosiądź taburetu i graj. Graj mocno i bez kompromisu ze snem wszystkich wil i domków, graj: a czasem nawet kopnij sobie raz po raz gołą nóżką w klawiaturę, całuj nuty bez pamięci, zmęcz się, bardzo się zmęcz, a potem dopiero idź, Grażynko, do łóżka. Grzeszne myśli już cię odstąpiły... Paluszki twe zmęczone.

To był pogląd mego psychiatry, a więc i mój, odkąd wypuszczono mnie z domu (co tu owijać w bawełnę) warjatów. A także pogląd pary Orestesa and Pyladesa. Misją cywilizacyjną kobiet według mnie, mego psychiatry, Orestesa and Pyladesa, a może i większości męskiej było czekanie z lampką oliwną niezapaloną,

czekanie cierpliwe, ale nie przesadnie wybredne; po czekaniu dorwanie się oblubieńca, ozłacanie mu szarzyzny dnia powszedniego.

Kobietom pięknym wara od zajęć, w których mężczyźni mogą je zastąpić!... Jak straszną zbrodnią jest np. więzienie pięknych dziewcząt w centralach telefonicznych! Jakiż potworny los zmusił np. piękną Anhellę do tego, aby dzień w dzień łączyć numer 3756 z numerem 7891, to jest idjotę z oszustem, czy adwokata z dyrektorem banku, kulawego miljonera z primaballeriną, kiedy od tego są młodzi demokraci, śmierdzące chłopczyska w wieku dwudziestu kilku lat.

Łza mi się cisła do oka zawsze, kiedy stałem przy moim telefonie. Hallo! — krzyczała ta piękna, gibka w pasie, podobna do dziewczyn Mantegny, centralna Anhella.

— Hallo, Hallali Anhello! — krzyczałem — proszę mnie połączyć...

— Z numerem? Nie słyszałam!

— Ze sobą. Z numerem, ślicznym, złotym, cacanym numerem, ze sobą dziś wieczór w czwartej separatce. Dobrze?

— Owszem. Tylko przedtem do Cyrku. Dziś lwy tresowane. Przepadam za lwami. Dlatego ciebie lubię, oślino.

— Doskonale, klaczko Balaama. Więc najpierw cyrk, nad ranem cyrkuł. Całuję cię w paszkę. Na dystans stu ulic pachniesz kasztanami. Hallo.

— Hallo, Hallali, bzzzzz.

O moja Anhella! Prosiłem ją, aby mnie nazywała szamanem i, aby to usprawiedliwić, wkładałem przy niej zawsze na gołe ciało stare futro na zewnątrz obrócone kłakami.

I tak kochaliśmy się długo, póki nie uznano mnie niepoczytalnym i niepoczytalnemu odebrano telefon. Coprawda pozwalałem sobie z tym aparatem niesłychanie. Szarym brzaskiem zimowym wyskakiwałem z łóżka, przepraszałem towarzyszkę moją, nagle przebudzoną z uroczego snu o poprzednich emocjach, przyskakiwałem do telefonu...

— Hallo! Numer 44. A było to w Krakowie.

— Kancelarja Księdza Kardynała. Monsignore Warzecha.

— Jego Eminencja śpi?

— Śpi snem sprawiedliwych, panie!

— Jak się zbudzi, proszę mu oświadczyć, że miałem olimpijską noc, jestem strudzony, ale nie żałuję. Daję 2 funty świec Siostrom Karmelitankom na ofiarę. Bzzzz.

Albo:

— Hallo? numer. Co numer! Dyrekcja policji. Sam tajny radca Schweiggeld.

— Jest.

— Excelencjo. Panie Hofracie. Jestem na tropie komunardów. W przedpokoju moim eksplodowała bomba w nocy. Służący mój...

— Nazwisko, przynależność do gminy, wiek, religja?

— Artur Ksawery Branicki. Wypiera się stanowczo. Ściany domu całe, ale detonację słychać było w całej dzielnicy. Dynamitu nie znalazłem mimo gorliwych poszukiwań, ale odór w przedpokoju do teraz niemożliwy. Kazałem kadzić trociczkami. Nie pomaga. Co robić? aresztować?

— Telefonuję do Widnia... po instrukcje!

Kiedy te i tym podobne zabawki z telefonem,

które nazywałem elektrycznem zabijaniem nudy nowożytnej, zniewoliły władze dotyczące do interwencji, odebrano mi ostatni łącznik wiążący mnie ze społeczeństwem. Wtedy to postanowiłem dostawać regularnie napadów epileptycznych na rogach uczęszczanych ulic, postanowiłem dostać obłędu. Jak wiadomo, całą tragedję obłąkania odegrałem w poprawnym stylu, cokolwiek manierując się na Zacconim. Po czwartym akcie umieszczono mnie w zakładzie dla nieuleczalnych idealistów, gdzie przebyłem najciekawsze, najrozkoszniejsze miesiące mego życia.

O tem wszystkiem oczywiście nie mogli wiedzieć ani Orestes, ani Pylades. Inaczej nie djalogowaliby tak szczerze i otwarcie o najdrażliwszym i bardzo kompromitującym mózg męski temacie: kobieta. Obaj panowie uważali mnie za trzeciego pana, który coś gdzieś przeżył i obecnie spoczywa po dokonanym arcyfakcie swego żywota. Nadto ma majątek, pozwalający mu udawać poprawnego gentlemana. Ja zaś ich swobodnie podpatrywałem. O ile dostrzegałem więc w dalszym ciągu, Orestes miał skłonność do paradoksów, cygara wypalał aż do końca, a służbie dawał największe napiwki, bowiem był harpagonicznie skąpy, a więc żył z jedną tendencją nierozłączalnie, to jest z tendencją uchodzenia za rozrzutnika.

O baronowej Wallenrod wykombinował paradoks, który mógł być znośny, gdyby nie był nieparadoksalny. Baronowa cierpiała na histerję, jak wszystkie przeciętne baronowe, a specjalnie charakterystyczne było w niej to, że nie uznawała mężczyzn z długiemi paznokciami. Dziwna dusza i o jakże sferyczna! Kiedy przedstawiano jej mężczyznę młodego o mniej więcej normalnej anatomicznej konstrukcji, ani poglądnęła

w twarz (jakgdyby twarz nie była fotografją duszy?), nie patrzyła w oczy nowopoznanego, (jakgdyby oczy nie były obietnicami nieśmiertelności) ale wprost na ręce, na palce, na paznokcie. Gentleman o długich paznokciach nie istniał dla niej. Mógł mieć rozpaczliwie długie uszy, długi nos, wogóle długi u lichwiarzy, byle paznokcie miał krótkie. Dla młodego człowieka o krótkich paznokciach roztaczała natychmiast cały ogon pawi swych niepowszednich wdzięków, stawała sie uroczą, słodką, zalotną i pieszczotliwą i miała przy pożegnaniu dość enigmatyczny frazes: przyjmuję moich przyjaciół między 5-tą a 7-mą, pan należysz do tych, którzy nawet o 10-tej w nocy będą tem milej widziani.

O tej to baronowej Wallenrod powiedział Orestes: Ideałem tej kobiety byłby mężczyzna urodzony bez paznokci.

I to był powód, dla którego zacząłem bardziej Pyladesa przekładać, okazując mu do tego stopnia sympatję, że dym z perfumowanych papierosów angielskich puszczałem odtąd w stronę Pyladesa, a Orestesa rozmyślnie dwa razy uraziłem w nadgniotek.

Tymczasem rzeczy szły monotonnym trybem powszedniości. Każdy z nas musiał się rannemi godzinami myć, czesać i ubierać, i wogóle wstawać z łóżka bez najmniejszego widomego celu. Każdy z nas robił to, ziewając przeciągle i rzucając wypalone papierosy do popielniczki, przytem medytując oczywiście, czy dusza na serjo jest nieśmiertelną i czem będzie się czyścić zęby metafizyczne w jakiś czas po śmierci. Poczem każdy z nas nakładał dzienną i myślał o nocnych koszulach, jakie markiz de Morny rozdawał na Nowy Rok zawsze swoim kochankom. Poczem napinało się sztywny kołnierzyk i każdy z nas myślał

z pokorną dumą, że obecnie w Europie nakłada także kołnierzyk bardzo wiele panujących miernot, a że Byron żył w kołnierzykach szeroko od koszuli odwiniętych, ale bo też miał cudownie alabastrową szyję i był lordem, no i Byronem! I każdy z nas mówił do siebie w duchu: A ty nie jesteś Byronem, więc musisz ubrać kołnierz twardy, lśniący i maskujący demokratyczną żylastość twej szyi, a potem musisz iść do tabledotu i zjeść obiad w normalny sposób... A gdybyś był Byronem, mógłbyś jeść palcami, a wszyscy zaczęliby cię jako lorda naśladować oprócz, oprócz oczywiście wielbicieli baronowej Wallenrod, ktorych palce bez paznokci mają dla tej dziwnie i oryginalnej kobiety tyle tajemniczego uroku...

Po obiedzie wypijaliśmy po kieliszku względnie po flaszce whisky i schodzili się regularnie na ławecce naprzeciw parku.

...Dzień dobry łaskawym panom, wołałem już zdala, machając serdecznie mym panamem niepanamskim. Mój panam był zasadniczym rysem mej duchowej indywidualności. Kosztował dolara, a kupiłem go na pamiątkę od starego przyjaciela mego, pewnego handlarza dziewcząt z Bostonu, który cztery razy objechał już ziemię dookoła i wywiózł z Europy przeszło 200 miłych a bezposażnych dziewcząt, zagrożonych staropanieństwem. Mimo tych zasług odznaczał się niezwykłą skromnością.

— Dzień dobry łaskawym panom — witałem się z nimi serdecznie, poczem kopnąwszy dystyngowanym ruchem olbrzymiego buldoga o pięknem imieniu: Heloiz, siadałem między nimi.

— Dziś mieliśmy dobrze wychowane szparagi...

rozpoczynał Pylades jak zwykle od obiadu i analizy gastronomicznej.

— Ja zjadłem sztuk 13 tj. liczbę fatalną, chcąc się raz na zawsze uporać z zabobonem apostolskim. Jeżeli nie będę miał gniecenia w żołądku, to przyznam absolutnie rację Judaszowi, że wolał 30 srebrników w gotówce, niż Królestwo niebieskie z prelekcji latającego ludowego uniwersytetu Galilejskiego.

...Pani Aurora wyssała jedenaście szparagów po kolei, nie zarumieniwszy się ani razu.

...Uważam to sobie za hipokryzję.

...Przenigdy hipokryzja! Jest to tylko otrzaskanie się, powiedziałbym oswojenie, z nowemi formami bytowania. Jest to pogoda życiowa, przypominająca mi najlepsze czasy Peryklesa i Aspazji. Znasz pan chyba legendę o fujarce Aspazji?

...Opowiedz! Słuchamy.

...Słońce paliło i złociło port pirejski. Biały lud wyległ cały na wybrzeże piasczyste i patrzył. Na ślizgich taflach terasy stali dostojnicy w szerokiem półkolu, a bogom równy w chytrości Perykles podawał złotą fujarkę dyszącej od ciepła i wonnej jak kamelje białobiodrej Aspazji... Zagra dwa tony, a ruszy od brzegu cała flotylla triremów jak przestraszone stado albatrosów... A kiedy Aspazja do ust wsadzała fujarkę, dwunastu cyników, co koliskiem otaczali Peryklesa, obrzydliwie bezczelnym wybuchnęło śmiechem. I wtedy zawstydzona chichotem faunów Aspazja odjęła od ust fujarkę i podała Peryklesowi, mrucząc ze złością: O, idjota! A legenda przekazała naszym czasom ten pomruk obrażonej hetery, to słowo, które trzeba i dziś powtarzać mężczyznom śledzącym, czy rumieni

się kobieta, biorąc do ust tak wytworny owoc ziemi, jak Asparagus virilis.

...Zbyt surowym jesteś dla mężczyzn, Polikarpie.

...Nigdy zanadto, nigdy! Gdyby to ode mnie zależało... O, niema czasem granic niedelikatna brutalność samców, nawet gatunku samiec sapiens. Gdyby to ode mnie zależało, nie pozwoliłbym mężczyznom dotykać kobiet, ani dosiadać koni, czy też odwrotnie.

...Tak, ale twój zakaz powodowałby pielgrzymki kobiet na Lesbos.

...Byłbym dla nich Piotrem z Amiens, prowadzącym wyprawę do gajów mirtowych miłości.

...Wyschnąłby ci szpik pacierzowy, nimbym pacierz na benefis twej duszy miał czas wyszeptać...

I t. p. przekomarzali się ze sobą obaj serdeczni rówieśnicy, a ja skromny adept alchemji erotycznej słuchałem, dziwiąc się rzeczom niepojętym.

Konesery, bo konesery! myślałem. Oto wreszcie ludzie całą duszą, całem sercem oddani jednolitemu celowi, jednak ludzie, którzy znawstwo elementu wiecznej kobiecości doprowadzili do perfekcji, wobec której Don Jouan jest kominiarzem od pokojówek. Jednak ludzie całkowici, myślałem, aleksandryjscy uczeni z biblijoteki listów miłosnych, profeci, którzy na bieliźnie kobiecej więcej się znają od właścicieli hurtowych składów w Antwerpji. Oto adwokaci Erosa! błyszczący erudycją z alkow i sypialni. I z całą swobodą i z czystem rozpromienionem sumieniem próżniaka, który od lat kilku pochylił się nad duszą kobiecą, jak nad studnią, i wpatrzony w czarne głębie od czasu do czasu rzucał w taflę topieli kamyk doświadczenia. z całą potęgą ciekawości osłabionej wiecznemi sprzecznościami w obserwacjach, z pełną radością smutnego badacza

przysłuchiwałem się Orestesa i Pyladesa dysertacjom, jaskrawo-drastycznym czasem do tego stopnia, że djabeł Lucyper, przysłuchujący się temu z za krzaków, uciekałby często zarumieniony po białka. Bowiem Orestes był członkiem kongregacji Marjańskiej w Krakowie i protektorem klubu pokojówek imienia Świętej Zyty, a Pylades lecząc się na złośliwą chorobę Don-Juanom właściwą w Kairze, regularnie z Kairu wysyłał korespondencje do misyjnego pisma „Echa z Afryki".

Zdarzało się nawet czasem, że ukłony serdeczne przechodzących Ojców Jezuitów w samym wątku przerywały djalog moich przyjaciół, w którym grałem rolę chóru greckiego, przerywającego od czasu do czasu bezwstydny djalog.

...Blondynki o tyle, uważacie, moi kochani, mogą mieć coś nie coś specjalnego zapachu pod kolanami, o ile...

...Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus, przerywał rozgadanemu Orestowi przechodzący mimo nas ksiądz dziekan Murga, spowiednik baronowej Betsy Wallenrod, zwanej Messaliną Podhala.

...Na wieki wieków Amen. Moje uszanowanie. O ile nie spostrzeżecie u nich zbyt grubych kolan. Grube kolana to już bowiem nieodwołalny upadek rasy. Jest to dogmat tak ważny jak dogmat o nieomylności gentlemana z Watykanu. Sędziwym gentlemanem z Watykanu nazywał Orestes współczesnego nam papieża, którego poezje, tłumaczone przez Orestesa na rodzimy język, leżały u niego zawsze na biurku obok dawnych ksiąg o tytułach: Pamiętnik Sinobrodego, Tysiąc trzy kobiet Don Phallussa, Tajemnice Amazonek, Filozofja Trykotu, Centum artes amandi, Pryjapiczna ewangelja i t. d...

...Ja tylko ze Starym Testamentem nie rozstaję

się nigdy, mawiał Orestes, gdyż o lepszej antologji erotycznej przypuszczam na razie i mowy niema.

A że Pylades znowu miał kolekcję czterech tysięcy pięćset fotografji najpiękniejszych w Europie kobiet (zbieraną od lat trzydziestu kilku bez wytchnienia) i że przed Moną Lizą palił lampkę oliwną w swoim gabinecie, a że Pylades mówiąc o Dziewicy Orleańskiej, zdejmował kapelusz, a w mauzoleum swojej rodziny (wiodącej ród od Zyndrama z Maszkowic) kazał pozawieszać kopje wszystkich utworów Giulia Romana i Bacci Sodomity — więc cóż się mi dziwić, że z czasem obu bardzo serdecznie pokochałem, ba, nawet zacząłem szanować...

Powoli nawet, znalazłszy takich przyjaciół i taki cel w życiu, zacząłem już nawet zwolna przychodzić do zdrowia...

Gdy wtem nagle ten straszny cios, który przyprawił mnie o drugi atak obłędu...

Bo czyż nie straszliwem rozczarowaniem i ciosem musiał być dla mnie ten moment, ta chwila, w której raz i to przypadkowo ujrzałem ich obu dziwnie rozgorączkowanych, trywialnie zarumienionych, w nerwowym rozstroju rozpętanych trywialnych namiętności, pozbawionych wszelkiej dystynkcji, a ściskających bezładnie i bez programu, równocześniel pewną nymfę: grubą Mańkę, nieczystą pomocnicę kucharki właśnie od dystyngowanej baronowej Betsy Wallenrod.

...Gruba Mańka z Poronina nie używała przecież nawet wody z Kolonji...

Gruba nymfa Mańka nie kąpała się od urodzenia jeszcze ani razu...

Ponieważ właśnie podolski baron Wallenrod wchodził do mieszkania werandą od frontu, przeto zmuszo-

ny byłem, szybko pożegnawszy się z nagą duszą Betsy, uciekać z gościnnej willi tyłem. Przez kuchnię.

I oto widok niezapomniany a okropny!

Pan Orestes, koneser kobiet klęczał przed podkasaną jak Muzy grubą Mańką z frontu.

Pan Pylades!... on!... taki gourmand i ekspert erotyczny manewrował coś koło grubej Mańki od pleców.

Równocześnie! hehehe!

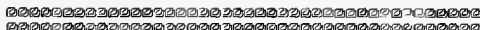
Tacy koneserzy, hehehe, miłośnicy, lubownicy! smakosze znawcy, rafinowani... subtelni...

A więc naturalia non sunt turpia...

Z taką nymfą Mańką? Ależ to chyba nymfomani do kroćset djabłów! I to się nazywa homo Sapiens!



WIELKANOC TEOFILKA



Chciałem rozbawić małego bogumiłego Teofilka. Wziąłem go tedy na kolana, huśtam monotonnie, zaczynam mruczeć: Hop, hop, hop, koniku, galop. Poczem, kiedy malec wpada już w lepszy humor, zgoła w dobrej myśli opowiadam:

...Za kilka dni, mój Filutku kochany, będą takie Wielkie Święta, będzie taki wielki Piątek, Rezurekcja... Wielkanoc... Alleluja...

Nagle malec zrywa mi się z kolan, oczy mu się rozszerzają w okropnym przestrachu, spogląda na mnie błędnie z wyrazem konwulsyjnego przerażenia, wpada w płacz, krzyk, jęki i ucieka, potykając się o dywan do pokoju, w którym mamusia jego, arcypieszczoszka pani Boba, przygotowawszy wszystko do rozkosznego *tete à tete*, zacnym zwyczajem kobiet małopolskich gasiła zbożnie na czas pewien różową lampkę olejną, wiszącą przed wizerunkiem Matki Boskiej Częstochowskiej.

Dobre półgodziny musieliśmy milusiego chłopczynę uspokajać, wlewać mu w pyszczek wodę Franca Josepha zaprzysięgając, że Wielkiej Nocy nie będzie, że tego roku Chrystus nie zmartwychwstanie, że i Wiel-

kiego Piątku nie będzie i „wielkiego śniadania“ ani gości, ani żadnych rzeczy, które jego są. Dopiero wtedy Teofilek, wylawszy z pół litra łez, uspokojony cokolwiek i wreszcie cichy oddał się w opiekę piastunki Marjanny, a ja z panią Bobą przystąpiliśmy swobodnie „do samej rzeczy“.

W jakie dwie dobre półgodziny po wypadku co dopiero opowiedzianym znów trzymałem małego Teofilka na kolanach, pani Boba siedziała przy oknie, szyjąc przepyszny fioletowo-złoty ornat dla księdza proboszcza z parafji, a mały Teofilek, chłopczyna przy swych dziewięciu latkach nadpodziw umysłowo rozwinięty, obecnie przekupiony paczką pomadą woniejących pomadek, spowiadał się dość interesująco z motywów, dla których tak rozpaczliwie boi się Świąt Wielkanocnych. Pani Boba pod oknem od czasu do czasu wybuchała gamą śmiechu jakby kto dzwonił srebrnym dzwonkiem i dodawała tylko swoje uwagi...

...Bo raz to już w Wielki Piątek, opowiadał Teofilek, u nas było straszne piekło — i babcia z mamą cały dzień siedziały w kuchni i piekło się ogromne placki, a kucharka Kasia pobiła się ze stróżką Apollonją i włosy sobie wyrywały i po ziemi się ciągnęły, a ja strasznie płakałem, jak to widziałem, więc mnie mama wyrzuciła na podwórze — więc wtedy wpadłem do dołu z wapnem i ledwo mnie Ignac od stajni wyratował i za to dostał od cioci pieniądz, ale on chciał więcej, bo mówił, że człowieka uratował i kłócił się z ciocią i wyzywał okropnie, więc go babcia kochlą od rosołu uderzyła trochę w głowę, więc mu się prawe oko zraniło, a mnie zamknęli do tatowej kancelarji i pan Jezus umarł. Więc już nie dzwonili w kościołach, tylko deszcz zaczął padać i przekładaniec z mig-

dałami niebieskimi pies Herod cały podeptał, a potem zjadł....

...I Pan Jezus umarł ale na krótko, prawda Teofilku? zagadnąłem chłopczyka, aby go zachęcić do dalszych miłych rewelacji...

...A tak, Pan Jezus umarł o 3-ej godzinie, bo to tato widział, a o czwartej do domu wrócił, ale bardzo zły, że Pan Jezus umarł, więc kazał czarną kawę z cytryną robić, bo miał straszny katzenjamer z tej śliwowicy, co u księdza proboszcza ją pili. Więc tato poszedł zaraz spać, a ja uciekłem do kuchni, gdzie kucharka Kasia cioci służbę wypowiedziała, bo jej nie chciała pozwolić iść na pogrzeb Pana Chrystusa i powiedziała, że w chlewie nie chce służyć, a woli u żydów, więc ciocia rzuciła jej na głowę żelazną brytwannę i uciekła do pokoju, gdzie tato spał i tatę zbudziła, a tato okropnie się złościł i powiedział, że o rozwód poda z temi babami i rzucił na ciocię starym pantoflem. A pan Chrystus wciąż umarł, więc kucharka Kasia ze swoim kapralem, co już czekał w bramie, poszła na groby, bo co kościół to inny Pan Bóg umarł, a najładniejszy Pan Bóg umarł u Dominikanów, bo i bengalskie ognie tam były, i kanarki śpiewały, i wróble, i fontanna z wodą sikała, tylko jacyś studenci niciami zeszyli ze sobą dużo osób, tak że się suknie rozdzierać musiały i kucharce Kasi rozdarli z tyłu bardzo dużo nową spódnicę, więc głośno klęła i modliła się: „O Panie Jezu, zejdźże z tego grobu, a niechże ciężka cholera podusi takich medyków, co się im i w kościele twoim figlów psich zachciwa". Więc poszliśmy do świętych Kapucynów, bo mnie bardzo kucharka lubiła i wszędzie brała, więc ja cygara tacie musiałem tylko brać z pudełka i dużo dla pana ka-

prala, a u świętych Kapucynów obracały się takie młynki cudowne, i latarki były, i złote rybki, i kwiatów dużo, a przy stolikach siedziały panie i panowie i jedli cukierki i pomarańcze, i okropnie się śmiali, i po francusku mówili, a Kasia im dała na tacę pieniądz, a pan kapral na złość dwa pieniądze i panie mówiły: Merçi, merçi i znów się śmiały, a jeden pan widziałem stał w cieniu i taką panią bardzo całował w szyję, aż jej wypadła książeczka do nabożeństwa i ja ją podniosłem, a to był jej tytuł: „Afrodyte" więc się okropnie śmiała i dziękowała i dała mi pomadkę, a potem poszliśmy do innego kościoła, gdzie przed grobem Pana Boga stały dwa żywe żołnierze, a jeden frajter Pęcak, co przychodzi do naszej pokojówki Andzi...

...Ależ odpocznij trochę Filutku, bo się zmęczysz i pana zmęczysz, a pan potrzebuje spoczynku... I pani Boba spojrzała na mnie tak, jak to ona jedna jedyna w Zachodniej Galicji umie. Ale Teofilek opowiadał nieznużony dalej...

...A w Wielką taką sobotę to też obiadu nie było, bo Pan Jezus umarł, tylko panowie u nas się zeszli i stary pan prezydent i pan starosta już o jedenastej rano i dostali śledzie od mamy i wódki, a potem jesiotra i wódki, a potem karpia i wódki i grali w karty przy dwóch stolikach, a story kazał tato spuścić od ulicy i świece przy kartach pozapalać na znak żałoby, że Pan Jezus trochę umarł. Potem i pan prokurator Piernikarski przyszedł, więc nie mógł przyjść wcześniej, bo jednego dekadentystę musieli na rozprawie skazać na areszt, bo powiedział, że Pan Jezus dawno umarł i ani z Niego śladu teraz tutaj, a tylko „złe" syny rządzą i pan prokurator miał mowę pół godziny i teraz chce dużo wódki i karpia w sosie i grał też aż

do wieczora, a tato powiedział mamie w sypialni, idź sama z bębnami na Rezurekcję, bo oni mają jeszcze pięć robrów. Więc my poszli i było bardzo ładnie, może i ładniej, jak na tej „Żydówce", cośmy byli w teatrze, tylko że tam był sam kardynał na procesji, a tu tylko ksiądz proboszcz Gabzdyl i ogromnie śmierdziało od kadzidła i strzelali tak, że pani radcowa Kąsikowska trzy razy zupełnie zemdlała, bo ma aż szesnaścioro dzieci, a wszyscy mówią, że radca to buhaj, a nie żaden radca. A potem znów strzelili, a kiedy panią radcową wynieśli z kościoła i sznurówkę jej musieli rozwiązać, wtedy zagrało i dzwony zaczęły dzwonić i Pan Jezus zmartwychwstał. I już stróżka mogła wyjąć szynkę z garnka, bo mama mówiła, że ani na moment wcześniej, tylko aż usłyszy z fary dzwony, ale mama tak się okropnie spłakała, bo choć Pan Jezus zmartwychwstał, to jej złoty zegareczek, kiedy klęczała, ktoś sobie pożyczył i tato potem okropnie krzyczał, że niech djabli porwą całą Alleluję, a tu ze 100 reńskich straty, ale na drugi dzień oddali, bo to tylko pożyczył sobie prezes „Towarzystwa Ubezpieczeń od nagłej i niespodziewanej śmierci" stolarz Gońkiewicz i musiał oddać. A babcia, ciocia, mama i wszyscy do późna w nocy wszystko przygotowywali, a tylko taty nie było, bo dużo pieniędzy od gości wygrał i o 10-tej wieczór z domu wyszedł na komisję, a tylko babcia ogromnie się złościła i mamę buntowała, żeby tacie wszystkie żebra połamała, bo tato nie na komisji, tylko u panny Salci Süsskind ciągle teraz przesiaduje i co zarobi w karty, to wszystko puszcza na żydówki, a mama babci słowo dała, że tacie jutro głowę zmyje, a babcia mówiła, że i zęby powinna mu całkiem wyrwać, więc potem myśmy dzieci zasnęły,

ciesząc się z jutrzejszego święconego, a ja się modliłem i dziękowałem Panu Jezusowi, że już zmartwychwstał. bo będą jaja na twardo i szynka, i torty, i dużo gości, a tylko w nocy mnie myszy i szczury budziły, co chodziły po spiżarni i kosztowały wszystkiego, co było dla gości...

...Ależ Teofilku! przerwała chłopczynie opowiadanie pani Boba, rumieniąc się aż po bieluchny karczek (i to tak, jak to ona umie). Jak ty możesz!?.... Teofilku, co ty wyplatasz? Dajże już panu spokój, to są sprawy rodzinne, tego się nie opowiada gościom. Opowiedz o Tadeuszku może lepiej...

...„Aha", przerwałem, „bajkę, jak niegrzeczny Tadeuszek panieneczkom do poduszek powkładał hiszpańskich muszek?" Ech nie! Pocóż mnie ma bawić utworami mojej własnej fantazji? Mów, Teofilku, co było w Niedzielę po Wielkiej Sobocie! mów, czemu się tak boisz Święconego i tych przepięknych zwyczajów staropolskich, które tradycja w całej niepokalanej czystości imponującego zwierzęcego obżarstwa i pijaństwa przechowała aż do naszych czasów? Opowiadaj!

...Więc w Niedzielę rano to nas bardzo myli i szorowali nam buzie, tak jak w Sobotę wieczór podłogi, a mnie dała Andzia nowe ubranie, a taty jeszcze w domu nie było, choć już dziewiąta rano i całą noc nie było i mama bardzo płakała i przysięgała babci się, że się zemści na tacie, a tymczasem stróżka zbiła dwanaście talerzy, więc dostała trzy razy w twarz i mama powiedziała, że się jej całą pensję miesięczną odtrąci, a ona płakała, bo ze stróżem wzięli od bociana dwanaście dzieci do chowania i tak za każdy zbity talerz „jedno dziecko zemrze z głodu". A potem wszyscy nakrywali do stołu, a na środku dali garnek

z rzerzuchą zieloną, z barankiem z cukru, a mama pokazywała mi baranka z cukru i mówiła, że to jest Bozia, a ja powiedziałem, że to nieprawda, więc mi mama dała klapsy, więc ja powiedziałem, że poskarżę księdzu proboszczowi, jak mama takie cukierki może nazywać Boziami, to w cukierni na oknie stało całe stado Boziów. I kiedy nikt nie widział, porwałem baranka i dałem Herodowi, a on prędko zjadł i machnął ogonem, potem bardzo szczekał z radości i biegał, i wywrócił ciocię, która z kuchni znosiła długie kiełbasy. Więc ciocia uderzyła się o kant stołu i krew jej szła z głowy, i leżała na dywanie, i bardzo płakała ze złości, i kazała psa zaraz zastrzelić, albo przynajmniej po sumie u fary, a potem i ja płakałem, że cioci krew idzie z głowy, więc mi dała mama w skórę, a że się Waciu za mną ujął i mnie bronił, więc i on dostał lanie trzepaczką i hałas w domu był okropny, bo Herod tem się bardzo zirytował i biegał jak szalony i wściekły i przeskoczył stolik z kieliszkami i dwadzieścia kieliszków stłukł, a mama krzyczała, że będzie hołota musiała pić ze szklanek i strzeliła z rewolweru do Heroda, ale nie trafiła tylko w lustro paradne w salonie. Ale nie skryła się przed tatem jak zawsze na strychu, bo tato nie wracał ranki i wieczory, więc Herod bardzo sobie łapy pokrwawił kawałkami zbitego lustra i wył w niebogłosy, tak że aż ksiądz proboszcz przyszedł w komży i z kropidłem i z zakrystjanem i organistą, którzy już byli nachmieleni i powiedział, że dziś musi po domach święcić, bo wczoraj przegrał dwadzieścia pięć blatów, a potem miał tę szopę w kościele. A to nieprawda, bo tylko na Boże Narodzenie są szopki w kościele, więc on już nie miał humoru do łażenia i kropienia małżeńskich kiełbas. A potem ksiądz pro-

boszcz napił się koniaku i mówił po łacinie, a Herod bardzo szczekał na zakrystjana i organistę, którzy się oblizywali na głos, patrząc na stół nakryty i babcia znów płakała, że to jej ostatnia Wielka-Noc, więc i ja się rozpłakałem, a tylko mama z księdzem proboszczem pili wino i krajali jajka, a ksiądz proboszcz życzył mamie, aby co rok to prorok, a mama się rozpłakała i mówiła o pannie Salci Süskind i że tato nie wraca ranki i wieczory i że ona się zemści, więc ja znowu płakałem...

...Poczem zaczęli schodzić się panowie w czarnych surdutach o czerwonych twarzach i wszyscy mamie winszowali i żałowali, że taty nigdzie niema i zaczęli zjadać wszystko, co leżało na stole i wypijać bardzo dużo wina, bo korzystali z tego, że taty niema, a cioci i mamy to się nic nie wstydzili. A potem przyszli panowie belfry gimnazjalne z panem dyrektorem i te były najłakomsze, ale i naprawdę zato wygłodniałe, a już jeden, który w gimnazjum uczył rachunków, to widziałem, jak do surduta chował tort, co już nie mógł sam zjeść, a na szafie w przedpokoju schował butelkę wina, ale ja się tam wyspinałem i butelkę wziąłem, a na jej miejsce dałem butelkę wody, a potem przy stole mu mówiłem, ze P. Jezus to przemienił wodę w wino, a ja umię przemieniać wino w wodę, a potem, kiedy mama szukała cygar, tom krzyknął, że pan aptekarz ma w surducie, bom widział jak je chował i mama mnie wyrzuciła od gości, choć z daleka mówiłem gościom na pamięć „Powrót taty" a taty i tak jeszcze nie było. Wtedy babcia kazała na zatrzask zamknąć drzwi od przedpokoju i nie puszczać więcej nikogo, a szczególnie taty, więc okropnie płakałem, więc znów trzepaczką dostałem trzeci raz tego dnia, kiedy Pan Jezus znów

zmartwychwstał. A potem panowie śpiewali i niektóre bardzo ładne piosnki jak: Pije Kuba do Jakóba, Michał do Michała. Pijże i ty, piję i ja, kompanija cała. A potem wszyscy winszowali panu prokuratorowi, że taką piosenkę ułożył i znów zaśpiewali drugą. „Siedziały gołębie na dębie i skubały mech, a kto resztek nie wypije, bodajby zdechł" i koniecznie chcieli pić z pantofelka mamy, ale że nie było pod ręką, więc pili wino z wódką z kalosza cioci, a potem się całowali wszyscy i płakali niektórzy panowie szczególnie z fiskusu i urzędu podatkowego i przysięgali się, że są „świnie" i znów się całowali, a potem panowie z sądu też płakali i mówili, że są „karjerowicze", „lizusy" „szwarcgelbery", że sobie stołków podstawiają i że się oczerniają przed szefami. Ktoś powiedział księdzu kanonikowi, że jest karciarzem, więc pan starosta Tarnowski wzniósł staropolskie „kochajmy się", a dyrektor szpitala wołał: nie dajmy się, a ciocia siadła do fortepjanu i grała okropnie mocno wieniec polski walców Straussa, aby tylko przygłuszyć psa Heroda, który w przedpokoju wył okropnie, bo do drzwi dobywały się jakieś złodzieje, a Andzia mówiła, że pewnie tato... I potem było coś okropnego.

...Odpocznij może, Teofilutku, — przerwałem chłopięciu, bojąc się, aby nie przerwał swej opowiastki z lat sielskich, anielskich w najciekawszym momencie.

...E już do reszty proszę pana... Potem wywalili policjanci drzwi i wszedł tato, ale zupełnie bardzo pijany i z nim jakaś bardzo piękna panna biała z czerwonemi piórami, a za nimi muzyka cygańska i grała czardasze, więc i mama dostała spazmów, a babcia uciekła na strych, a ja okropnie płakałem, a Andzia chciała mnie położyć do łóżeczka, więc ją podrapałem

po twarzy a ona mnie za to żelaznym pogrzebaczem po plecach kopnęła, a ja krzyczałem tylko do mamy, a potem ta panna Süsskindówna u taty w kancelarji na kanapie zasnęła, a muzyka grała całą noc, więc ja z mamą zasnęliśmy bardzo spłakani zamknięci w spiżarni, a tylko przez ścianę słychać było bardzo ładną muzykę cygańską i Niech żyje nam, Vivat niech żyje nam, Alleluja, Alleluja, Alleluja! Siedziały gołębie na dębie... Więc... No to teraz koniec.

I malec zapatrzył się w przestrzeń, a ja i pani Boba spoglądaliśmy po sobie.

...Ale tak już nigdy nie będzie, prawda panie, nigdy? mamusiu, prawda, że nigdy, no powiedzcie! takiej Alleluji!!! I nigdy?

...Nigdy, dziecko, — uspokajała go mama, jedna z najładniejszych mam Zachodniej Galicji.

...Nigdy, Teofilku... odrzekłem! poczem, zwracając się do mamy:

...A jednak miały swój styl specjalny takie obchody świętalne w małych dziurach Zachodniej Galicji, pani Bobo... Po latach, po latach wspomina się je z rozrzewnieniem...

Może...



MR. STRIKEMAKER



W bogatem i lekkomyślnem mieście Bristolu, w którem rodzynkarze mają swój własny „Indiana Club“, a mydlarze własny tor wyścigowy dla dwulatek, istnieje na rogu Gumni-Street, a Waterproof-avenue duża jasna kawiarnia mr. Stanleya Campnera.

W kawiarni tej od jedenastej rano do jedenastej wieczorem przesiaduje obywatel, mr. Hieronim Strikemaker, osobistość sucha, żółta, intrygująca jako fenomenidło społeczne dzisiejszych czasów.

Mr. Strikemaker jest z zawodu próżniakiem, czyli jak Bristolczycy mówią: nygusem. Zawód jego zabiera mu dwanaście godzin pracy żmudnej i mozolnej dziennie; resztę doby poświęca mr. Strikemaker spaniu i czytaniu powieści Dumasa ojca. Pracuje stale w kawiarni mr. Stanleya Campnera: chodzi od stolika do stolika, czyta „Arizona-Kiker“, „Revolver-Newspaper“, „Pick-Pocket-Press“ i inne pisma, wypala trzynaście cygar, siedm fajeczek, wypija jedenaście czarnych kaw, pięć dog-whisky, sześć marine-coktails, zjada dużo ciastek, parówek, cakes i t. p. i... urąga burżuazji bristolskiej.

W kawiarni mr. Stanleya Campnera jest tej bur-

żuazji zawsze pełno i wszyscy wprost przepadają za tem, by mr. Strikemaker mawiał im impertynencje, złośliwości i streszczał w krótkich zdaniach to wszystko, co wyczytał w żółtej, czerwonej i czarnej prasie. W ten sposób mr. Strikemaker stał się ulubioną figurą Bristolu, należącą już prawie do inwentarza kawiarni mr. Stanleya Campnera, a równocześnie pupilem burżuazji, na którą, gryząc cygaro w trzech pozostałych czarnych zębach, wymyśla bez miary, bez przerwy, bez wytchnienia, jak pędzony elektrycznością automat.

Ale przyszły na bogate a lekkomyślne miasto Bristol czasy, o których powiedziano: „nie laurowo w nich, a durnowo i ciemno", czasy, w których połowa ludności zażądała zmiany burmistrza, szeryfów i aldermanów. Ponieważ magistrat i rada bristolska nie chciały natychmiast ustąpić, przeto zaczęły się strajki.

A mr. Strikemaker zaczął się wtedy zaniedbywać w pracy kawiarnianej. Tylko w południe wpadał na chwilę do lokalu mr. Stanleya na trzy kawy i grog i znów z bardzo tajemniczemi minami wybiegał w miasto, w którem na czas jakiś objął, jak się wyrażał, „ster spraw politycznych w swoje ręce". Osobiście nie należał on do żadnej partji, ale zasadniczo sprzyjał tej, która „ze stanu biernego przechodzi w stan aktywny, na ulicę" i „przerywa monotonję naszej bristolskiej nudy".

Skorzystał sobie więc mr. Strikemaker z politycznych okazyj i coprawda samozwańczo, ale z tem silniejszą energją wziął na siebie obowiązek zamykania sklepów i grajzlerni na bocznych ulicach i przecznicach, gdzie mało grasuje policmenów, a spokój i ciszę przerywa tylko ziewanie starych psów. W potwornie

wielkiem, starem, wypełzłem futrze, otulającem 45 kilo jego ziemskiej wartości, łaził mr. Strikemaker od sklepiku do sklepiku, i wyciągając z ust na moment zgryzione cygaro, wygłaszał sakramentalne: W imieniu partji alfa beta gama, handlowi kładzie się tama, przerwiemy raz tę nudę! proszę zamykać budę!

I zestrachani, skatowani, zneurastenizowani saloon — i schop-keeperzy zamykali posłusznie jak jagnięta.

Na głównych ulicach Bristolu wielkie magazyny, bogate sklepy i manufaktury, bezpieczne pod okiem maszerujących tam i z powrotem policmeńskich oddziałów, drwiły sobie z politycznego programu mr. Strikemakera. To też dzielny działacz z kawiarni mr. Stanleya Campnera nie narażał swego autorytetu rewolucyjnego puszczaniem się na wielkie arterje, ale z tem większą pasją rozwijał swą energję po zaułkach i przeczniczkach. „Dziennie zamykam 670 sklepów, dwadzieścia składów węglowych i do dziesięciu garkuchni i restauracyjek" chwalił się przed kupcami pierwszej gildji i fabrykantami miljonerami. „Nie wiem i nie obchodzi mnie, co tam sobie robią socjaliści i czy im to zamykanie grajzlerni przypada do smaku, ale to wiem, że ja się bawię pysznie..." dowcipkował do właściciela kawiarni mr. Strikemaker.

I bawił się istotnie dzielny człowiek z kawiarni Campnerowskiej przez dni kilka czy nawet kilkanaście, zrobiwszy sobie istotny świetny sport z zamykania sklepów. W kawiarni mr. Stanleya nazwano go nawet championem od zagważdżania małego handlu. W nocy, koło jedenastej, kiedy wracał zawsze ze swoich sportsmeńskich wycieczek, by się posilić obfi-

cie i zakupić zapas cygar na noc, przy niektórych stolikach witano go wprost owacyjnie.

Ale nadszedł dzień posępniejszy, niż inne. Kroćiowe miasto wstało rano złe i ponure. Całe mieszczaństwo wielkie i małe, bogate i ubogie postanowiło absolutnie domagać się ustąpienia natychmiastowego rady miejskiej, ekonomatu i magistratu. Mr. Strikemaker, obudziwszy się rano, jak zwykle po jedenastej, prędko umył koniec nosa i prawą rękę, którą się witał z gentlemanami w kawiarni bristolskiej, i wdziawszy futro i zapaliwszy pierwsze cygaro, szybkim krokiem wylazł na ulicę. Już jednak na rogu ulicy Jonathan-Square zaczepiło go grono proletarjuszów słowami wcale brutalnemi: „Mr. Strikemaker, oddaj nam swoje kiepskie futro i swoje dobre cygara, jeżeli zaliczasz się do naszych!"

— Nie, obywatele! Futra i cygar wam nie oddam, gdyż jestem wyznawcą zasad syndykalistycznych i do komunizmu nie czuję inklinacji...

...Tedy, mr. Strikemaker, jesteś bałwanem... odpowiedzieli, zdzierając zeń szybko podłe, wygryzione, wypełzłe futro... I wziąwszy też wszystkie cygara, pomaszerowali towarzysze dalej.

Ulicami płynęły fale ludu ze sztandarami: precz z szeryfami! Kina gratis! Dość pracy! i t. p.

Mr. Strikemaker, mocno niespokojny i już nieco zniechęcony do przesadnego manifestowania po ulicach, psucia elektrycznych przewodników tramwajowych, tamowania ruchu na trotuarach i t. p. biegł szybko do swej kawiarni, roztrącając obywateli z mocno zrewoltowanemi wyrazami twarzy.

Wreszcie dobiegł do rogu Gummi-Street i jak słynna bomba bristolska wpadł do ukochanej kawiarni.

Było pełno. Wszyscy zdenerwowani, bladzi, rozgadani, wymachujący rękami, nogami, wydzierający sobie pisma poranne.

— Co słychać, mr. Strikemaker?

— Co ma być słychać? Głupio słychać. Z czego ja sobie zrobiłem sport, to inni zaczynają brać na serjo.

— Pójdziesz dziś master na swoje uliczki i zaułki?

— Albom ja zwarjował mr. Kohnboy, żeby iść w taki dzień? Dziś sobie po staremu przesiedzę dzień cały u Stanleya, zagram w domino, w szachy, przeczytam od deski „Arizona Kiker", „Revolver-Newspaper"...

— Mr. Jonathan! proszę dla mnie a knikeebejn, ...dwie pary parówek liwerpoolskich, jeden philisterwhisky i dziesięć cygar po 30 szylingów sztuka!

I jeszcze nie dómówił tych słów wygodnie siadając sobie na burżuazyjnej czerwonej kanapie pod kapitalistycznem w grubych złoconych ramach lustrem... kiedy u wielkich drzwi wchodowych wszczął się kolosalny gwar i hałas. Czternastu gentlemanów w czerwonych koszulach, w kapeluszach à la Garibaldi, wbiegło z wyciągniętemi w górę sympatycznemi wyrobami mr. Browninga do pierwszej sali, celując lufami tych wyrobów wprost w przerażone blade twarze gości mr. Campnera.

Jeden z czerwonokoszulich wskoczył na stół. Gniotąc nogami cztery czarne kawy i kapelusz mr. Strikemakera, wygłaszał krótko a radical speech:

— Obywatele! zjedliście wiele, wiele wypili, gdy my biedni z głodu wyli. Teraz odchylamy przyłbicę! Zamykać budy! Marsz na ulicę!

I zeskoczył. A wszystko, co żyło w kawiarni,

szybko wstało, ubierając się kurczowo. I wnet tłum bogatych bristolczyków jął wysypywać się na ulicę.

— No, a co pan na to, mr. Strikemaker? pytał znany złośliwiec mr. Berlinerblatt bladego z gniewu i dygocącego ze strachu dzielnego działacza... Wypędzają nas, a pańska protekcja nic nie pomaga... hę?..,

Mr. Strikemaker nic nie odpowiadał, tylko szybko chował ocalałe cygara, ciężko wzdychając. Dopiero gdy wychodzili, rzekł przechodząc mimo, do przyjaciela swego mr. Stanleya Campnera:

— Uważasz stary!... To muszą być prawdziwi socjaliści, skoro odważają się zamykać pierwszorzędne magazyny i lokale na pryncypalnych streetach i placach, wobec tylu oddziałów pieszych i konnych policjantów!.. My!... sportsmeni rewolucji działamy tylko na bocznych uliczkach. Miej mnie za wytłumaczonego. Good by mr. Stanley!

— Good by mr. Strikemaker.



FRANC-JOSEPH
W CIĘŻKORYPINIE

Uczciwemu człowiekowi w tym przykładzie łzy się do oczu cisną na samo tylko owych chwil i momentów wspomnienie. Takie sprawy, moje państwo, raz się jeno przeżywa, boby nie wystarczyło; raz w żywocie każdy człowiek nawet mizerny ma. A potem już znowu jednakowo wciąż i tosamo. Ale się zawsze o takiem szczęściu śni nad ranem i w dzień się człowiek zamyśli i do trumny się z takiem szczęściem kładzie i umiera.

Hoj, hoj! Wiele latów mija, jak to wszystko miało miejsce i znów wiele latów minie, nim się powtórzy i już nie za mnie, nie, bo skądżeby Owe Najjaśniejsze Oświeceńsze Osoby po Bogu w narodzie pierwsze do takiej z przeproszeniem państwa conieco śmierdzącej dziury zaglądnęły? Co innego w wielkich miastach Przemyślu, Tarnowie, gdzie jest co widzieć i naco się popatrzyć. O Cesarza tedy naszego najjaśniejszego wizycie w mieście naszem roków temu dwadzieścia będzie opowiedzieć ochotę mam i takoż opowiem sumiennie.

Jeszcze wonczas Starostwo było na dawnem miejscu, na Ogrodowej, ksiądz dziekan Rondel żył sobie, cukierni nijakiej nie było, bo skądżeby? straż ogniowa świeżo się założyła i sztandar jej wyszyły panny Pindelskie, co to jedna za koncypistą tym no jakże mu tam, no, tego. A druga Andzia umarła z wieczy-

stej fluksyi. Aż tu jednego dnia stojemy sobie przed Sądem całkiem zwyczajnie omawiający rzeczy bieżące, szczególnie poronienie pani weterynarzowej, która sobie ze zbytków, ponieważ bardzo majętną wyszła za pana weterynarza Choca i sprawiła tak zwany bicykl i na takiem aż do szóstego miesiąca krowy i psy przejeżdżała, djabłu i aniołom jego duszę jenteligentną zaprzedając. Stoimy tedy i radzimy nad owem poronieniem: ja, pan zarządca więzień i majster szewski Ambrożkiewicz, co to się obwiesił tamtego roku, (wtedy mu się drugi raz para bliźniaków z żoną udała) i obradujemy a tu nagle z sieni, pamiętam jak dziś, wychodzi pan substytut Schmockerle z panem adjuktem Ćwieczkiem. Pan Ćwieczek jak to on zawsze przechodząc, jak nie klapnie mnie po plecach jentelegentnie, jak nie wrząśnie mi do ucha, tak aż mi się, (że to rekonwalescentą byłem po zapaleniu śledziony), niedobrze zrobiło i tylkom się o ścianę gmachu sądowego oparł. A wtedy ochłonąwszy popatrzyłem dokoła, nikogo już przy mojej osobie nie było, bo wszystko się rozbiegło z ogromnej radości, a tylko w uszach i w głowie huczało mi i jęczało wiadomością niepojętą: Żelazikowski! Żelazikowski! Najjaśniejszy Cesasz przyjedzie! Najjaśniejszy Cesarz do twojego miasta, Żelazikowski, przyjedzie! Opamiętaj się, człowieku, póki czas, bo nadchodzi dzień on, w którym na żywe oczy oglądniesz owego Majestatu królewskiego, co wisi w sali rozpraw w złotej ramie i u pana prezydenta i na każdym guldenie i w każdym jest ferowanym wyroku i nad ową Cislitawią i ową tedy Lodomerją świętą panuje.

I opamiętałem się tedy jak na urzędnika manipulacyjnego godzi się i prędkim krokiem zaszedłem do

rodziny, oznajmiając jej zdaleka, że słowo ciałem się stało, a miłosierdziu boskiemu granic nie masz. Tylko niewiadomo jest jak tu wystąpić, czy jako figura i honorat, to jest prezes Bractwa Różańcowego, czy jako kancelista c. k. Sądu Powiatowego w Ciężkorypinie. Wszelakoż czasu było jeszcze wcale wiele na zapadnięcie uchwały obowiązującej, a Ciężkorypin przygotowania czynił na najdostojniejsze przyjęcie. Najpierw, to jeat najsamprzód załatano wielką dziurę w dachu Magistratu, przez którą przeciekało w porę słotną aż do Sali obrad. Potem pomalowano dach kościelny na czerwono, a na wieży wywieszono ogromną forągiew z czarnego i żółtego koloru, ale coby nie obrazić pana rejenta Dzikiewicza za to, iż tenże był w powstaniu, a potem wiceburmistrzem, więc i drugą forągiew z czerwonej i białej farby. Następnie wycięto młody lasek należący do gminy i drzewka powtykano w ziemię wzdłuż toru kolejowego, że już chyba i nie mogło być piękniej. A według rozporządzenia z wazystkich okien i wogólności otworów domów przy torze kolejowym pozostających, wywieszano na próbę dywany, kapy ze stołów i z łóżek, co piękniejaze poduszki. We wszystkich domach prano bieliznę, szorowano podłogi, zapuszczano posadzki, zakładano do lamp nowe knoty. A wieczorami azły ogromne śpiewy od dzieci, co na dziedzińcu normalnej szkoły ćwiczyły aię w Hymnie Ceaarskim pod przewodem egzaminowanej akuszerki Śliwowej, która podobno niegdyś sobie taką była teatralną chórzystką i za śpiewanie brała wielką pensją, a tylko z powodu gardła przeziębionego wzięła się do rękodzieła akuszerstwa w Ciężkorypinach. Najwięcej atoli parady i urzędowej pieczołowitości poświęciły złączone władze miejskie piero-

nowi kolejowemu, jako miejscu uświęconemu przybyciem Światowego Majestatu na czas dziesięciu minut i pięćdziesięciu sekondów zatrzymania się dostojnego pociągu.

Prędko kończyły się przygotowania paradne i zwolna nadchodził dzień upragniony. Nigdy jak miasto miastem nie oglądało tyle forągwi i tyle świerczków i dywanów. Najstarsi ludzie nie pamiętają takich bram triufalnych, jakie pan rewizor Pęczkowski pobudował z żołnierzami i panem Piernikarskim, jako znającym się na tych rzeczach jako i na ogniach sztucznych i teatrach amatorskich i wogóle; tembardziej na napisach z czerwonej i zielonej bibuły: „Boże wspieraj“ i drugich: „Boże ochroń“ i trzecich: Vivat et crescatl i czwartych: Viribus unitis a piątych: „Tu felix Austria nube“, co jednak wszystko ustawicznie psuło się uszkadzane od zbereżnych chłopaków miejskich, rzucających naokół kamieniami i zdzierających po niewidności bibułowe wstęgi, a ogromnie podnieconych zuchwalstwem z powodu uroczystej powagi godnej starszemu wiekowi i świadomości wysokości odpowiedzialności przed Najwyższymi Gośćmi.

Przedostatniego dnia, kiedy już wszystkie parady były gotowe i deszcz cokolwiek zlał wszystko rzęsiście przez całą noc padający, wydał Magistrat i rada gminna w nadzwyczajnem posiedzeniu uchwałę, mocą której wywieziono na czas Święta Wielkiego starą Kitzlerfreundową i jej pięć dziewcząt na pobliski miastu folwark daleki i ukryty w brzozowym lasku. Zrobiono to z przyczyny takowej, że dziewczyny zuchwale wygrażały, że wszystkie wcisną się na pieron uświęcony i całą noc gardząc gośćmi i wstrzymując się od wszelkiej obowiązującej je pracy wiły ogromny bu-

kiet z róż polnych, tymianku i macierzanki, który jedna z nich jako najpiękniejsza imieniem i nazwiskiem Weisse Chane upierała się wręczyć Cesarskiemu Majestatowi w asystencji innych. Uchwała władz Ciężkorypińskich usunięcia dziewczyn tych za miasto jednogłośnie powzięta spotkała się z niesłychanym uporem dziewcząt, chcących także okazywać swe uczucia wiernopoddańcze i całkowitą ufność dla obecnego miłościwie panującego rządu. I trzeba było interwencji całej kompanji policyjnej, całej straży ogniowej i pomocy woźnych sądowych, aby wyrywające się, szlochające i włosy sobie z głów wyrywające dziewczęta wsadzić na ogromny wóz rzezalni miejskiej i odstawić do folwarku. Czego znów z wielką odpowiedzialnością i chlubą podjęli się dwaj synowie pana starosty: Artur i Jerzy, czuwając też całą noc poprzedzającą wielki dzień przy zbuntowanych osobach, wykluczonych z natury rzeczy od prawa hołdownictwa Najjaśniejszemu Panu.

A tu noc szła. A po nocy miał iść dzień! Mało spaliśmy w mieście, bo już obawa zaspania była wielka i nawet spóźnienia się. A że dostojny pociąg miał w Ciężkorypinie stanąć o godzinie ósmej, więc wedle przykazania pana starosty wszystkie władze i cechy, jakoteż szkoły i dostojeństwa i bractwa i banderja z dwudziestu krakusów i kahał żydowski miały punkt godzina szósta uszykowane wszystkie stać na dworcu i czekać w milczeniu i spokoju tego, co się stanie.

I ja nie spałem. Chciałbym był widzieć takiego, co wonczas spał, czy to zwykły kancelista, czy choćby emerytowany radca skarbowy pan Szelmiński, lub sam starosta.

Uradziliśmy wspólnie ze starą, co ja nie będę się prezentował między kancelistami onymi i manipułą, a osobno, z „Bractwem Różańcowem" jako posiadający frakowe ubranie po ś. p. pierwszym mężu starej, który, bywszy długo kelnerem, umarł z przejedzenia się zepsutym galicyjskim rozbratlem. To też stara wyprała mi na glanc piękną różową koszulę w popielate muszki nakrapianą, a ja uzyskawszy pozwolenie pana starosty bez wzgląd, żem w wojsku feldfebla niegdyś się dosłużył, stawiłem się na uświęconym pieronie z deputacją bractwa. I wyznaczone miałem miejsce między weteranami z pod Sadowy a szkołą normalną, głównie dla zasługi uratowania niegdyś z wody żony jednego pułkownika, tonącej bez ratunku, za co medal zasługi dostawszy, przypięty miałem na fraku obok innego orderu, który stara gdzieś za pięć centów od żyda tanio kupiła, myśląca, że to złoto. W on dzień święty i tenże order się przydał.

Jasny dzień pogodny zaświtał na niebie, kiedy drogą do pieronu najwyższego szły tłumy ludzi i jechały powozy i straż ogniowa z trzema beczkami i muzyka żydowska i włościjanie szmalcem na glanc wypomadowani. Ścisk koło pieronu dostojnego czynił się coraz większy, zwłaszcza że zuchwałe żydostwo wyległo całe. To na widok żadną miarą nie mogło być dopuszczonem, wskutek honorowej straży obywatelskiej pod przewodnictwem rzeźnika pana Zefirka, który wspaniale się prezentował jako wzrostu i siły byczej człowiek i też we fraku, żółtych spodniach, przepasany przez ramię wielką czarno-żółtą wstęgą. O szóstej rano obywatelstwo było już w komplecie zebrane i czekało. Że jednak z powodu wyciągnięcia nieużywanych z różnych dziesiątków lat szluzroków

i innych mundurów smród od naftaliny, oraz ziół różnych i w ogólności butwiejącego płótna dawał się czuć nieznośny, przeto jeden z prewizorów aptecznych porozpalał wszędzie małe trociczki i zioła wschodnie, aby niemiły zapach nie dawał się odczuwać nadjeżdżającemu Majestatowi. Wkrótce też przyjemny kościelny dym rozszedł się dokoła. Koło godziny siódmej nadjechał i pan starosta z żoną i jej przyjacielem z roków dziecinnych rotmistrzem od ułanów i dokonał przeglądnięcia całego zebrania, zadowolony z dzielnej podstawy zgromadzonych, a tylko pana prewizora bardzo ostro skrzyczał za trociczki i zioła, które tak wiele znowu spaliło się, że aż wielkie mgły i obłoki pachnące unosiły się wśród zebranych i nad dachem Dostojnego Pieronu. Ponieważ już tylko pół godziny dzieliło od Pociągu Najwyższego a sygnały już szły, że wyszedł ze stacji Brzuchowice Małe nagle żona pana zawiadowcy stacji ze strachu na nic zemdlała, a pan starosta, mocno zirytowany, kazał otworzyć wszystkie wszędzie drzwi budynku stacji, coby wywiało przeciągiem zapach z onych trociczek. Panu rewizorowi zaś wobec kilku radców Sądu i burmistrza i ciała nauczycielskiego nawymyślał od warjatów i głupców. Aż tenże obrażony i zły do wściekłości ukłonił się i prędko uciekł, a nikt nie wiedział, bo i nie mógł wiedzieć jaką zemstę podłą w sercu sobie ukuwał.

A tu już pociąg za kwadrans miał nadchodzić, a wszystkie dzwony u Fary i u Ojców Jezuitów biły na potęgę, aż się pot nam zebranym w paradzie lał z twarzy i z szyjów i nic nie było widać tylko białe, czerwone i niebieskie chusteczki do nosa, którymi wszyscy ocierali głowy i łysiny, sapiąc ze nużenia jakoże z gołą głową, a w słońcu. Wreszcie i małe

dzwoneczki stacyjne zaczęły dygotać, a daleko od strony toru i mostu na Smierdziączce słychać było krzykliwy szmer niezliczonego tłumu starozakonnego rodaków: Kimmt schojn, kimmt schojn, kimmt!

I wtedy zaczęły nam tak serca bić wszystkim i taki strach okropny przeszedł w nas, że wielu chciało uciekać z Pieronu i to zwykle bardzo śmiałych n. p. pan egzekutor Pycka. A już niektórzy dygotali w kolanach jak pan inspektor podatkowy Schraube, który tylko dzwonił zębami śmiertelnie pobladłszy i mruczał do siebie: Serce Jezusa bądź moją miłością! Serce Jezusa bądź... i tak w kółko, ponieważ należał do Towarzystwa Jezusowego, a jednak był tak ogromny pies dla biednych ludzi i bezpardonowa świńska dusza, którego wszyscy Ciężkorypińcy nienawidzili.

A teraz, że już dym z Dostojnej Lokomotywy szedł przed laskiem, więc okropne wzburzenie ogarnęło wszystkich i nikt ani to spostrzegł, jako mstliwy pan prowizor z apteki, chyłkiem wrócił znów z apteki z torbeczką jakichś zapachów nowych, przeciskał się między największe urzędniki miasta i okolicznych dziedziców i dużo coś nowego pachnącego rozsypywał po ziemi.

A tu już i dudniało po żelaznym moście na Smierdziączce, a pan starosta jeszcze raz donośnym głosem przykazował, że na wszelkie pytania odpowiadać należy się habacht stanąwszy: Jawohl Majestät. A ktoby więcej powiedział, może rangę stracić, a z pośledniejszych ludzi to po pysku dostanie, ino tylko Dostojny Pociąg odjedzie.

Już się i zamęt wielki robił, bo Straż honorowa rzeźnicka, że to i napić sobie lubią więc bezradna ręce opuściła i wraz mrowie żydowskiego ludu i hołoty

krajowej pchać się zaczęło. Czternaście zaś dziewcząt nietykanych w bieli które miały podać ogromny bukiet z bzu i jaśminu Najwyższej Osobie, nagle w płacz, głównie zarażone od płaczu panny naczelnikówny, która miała oddeklamować Dostojnemu Majestatowi całą balladynę: „Graf von Habsburg" wiersz po niemiecku przez swojego nauczyciela napisany, ale z przeraźliwego strachu wszystko zapomniała co na początku. A tu mimo owego przewietrzania Starostowego dymy od spalonych kadzideł jakoś nie ustępowały, ale do tego dołączył się inny jakiś zapach, okrutnie śmierdzący niemile, aż się tak zaczęło mdło ludziom robić, a panie radcowe i inne damy i matrony zaczęły już słaniać się ku ziemi i pojękiwać. A pani starościna, rozpychając wszystkich swym przyjacielem rotmistrzem, prędko już z Najwyższego Pieronu jakby nigdy nic wyszła i oboje z rotmistrzem w galopie do powozu wsiadłszy odjechali w stronę najbliższego lasku.

A tu już Najwyższy Pociąg zwolna bardzo powolutku wjeżdżał na szczęśliwe tory żelazne. Stałem bardzo blisko księdza proboszcza. Pamiętam jakby dziś, że to bladł, to czerwieniał i krew go zalewała aż po koreżkę, chustkę trzymał przy nosie. A już wkiedy uwidział nadjeżdżające Wysokie Wagony, odjął chustkę od nosa, głęboko wciągnął powietrza, zachłysnął się niem i jak długi omdlał na ręce organisty z głośnym krzykiem: Oremus fratres. Assa foetida! Assa foetida!!

A co się potem już działo w Onym Świętym dniu to i dobrze nie pamiętam. Huk moździeży i walenie dzwonów wszelakich zagłuszające; grany przez Kapelę Ciężkorypińską Hymn Cesarski i płaczące dziewczątka w bieli a wszystko pchało się naprzód do wa-

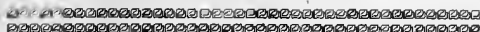
gonów, które cicho stanęły całe złote i z lustrami a w jednym wagonie w otwartych drzwiach stanął jakiś Najwyższy Minister i powoli po schodkach schodził. Potem jakiś czerwono-pozłocisty Najjaśniejszy Adjutant. Poczem coś mówili do siebie, znów stanęli na schodach a wśród hałasu niewiadomem było co się stanie. A że ja śmiało się wypchałem tuż przed pana Starostę jako orderowy Kancelista, więc danem mi było słyszeć kilka słów rozmowy. Starosta coś powiedział, blady juk trup do pierwszego z najwyższych jenerałów, ten zaś odwrócony skrzywił nosem mrucząc: Unmöglich! Stinkt grässlich! Drugi Generał czy Wielki Adjutant w wielkich złotych okularach dodał: Furchtbar! Naftaline und Assafoetide und Armeleutegeruch. Einfach Scheusslich! Sakrament! Potem jeden i drugi weszli po stopniach napowrót, zatrzasnęli drzwiczki, znów stanęli w okienkach, salutując blademu jak śmierć panu Staroście i Najdostojniejszy pociąg zaraz ruszył wśród huku moździerzy, hymnu Cesarskiego, bicia dzwonów i okropnego krzyku żydów i biedniejszej ludności Ciężkorypina: Vivajt! Vivajt!

Z ostatnich wagonów jeszcze któryś z kucharzów Najwyższych przez otwarte okno wylewał na uroczysty Pieron jakoweś zapachy, oblewając nimi conieco deputację okolicznych dziedziców i rodzinę samego pana burmistrza.

Święty to był dzień moje państwo dla Ciężkorypina... Święty, choć się ta i co nieco po prawdzie nie zupełnie we wszystkiem udał...

STAROPOLSKA KLECHDA

(FRAGMENT W KTÓRYM 95 PROCENT SŁÓW JEST POCHODZENIA OBCEGO)



Wędrował tedy *Walgerz* do *króla* z *lamentem* na *rycerza* z *Melsztyna, niechędogiego pogana, rabusia, szakala.*

Za nim *szlachty huf* na *bachmatach* pod *herbowemi chorągwiami* w *rynsztunku* jechał *szykownym ordynkiem* jak na *fest* czy *taniec turniejowy.* Ci z *mieczami luźnie przewieszonemi z ramion* na *bławatnych pasach,* owi jeszcze z *łukami.* Sam *Walgerz* w *drucianej koszulce* był, w *łańcuchu misternego kunsztu* z *ryngrafem polerowanym;* z *rumaka mu* się zwieszał *czaprak szkarłatnej barwy.*

W sercu Walgerza wrzał *rankor* na *gwałty Melsztyńskiego żupana. Wart* był *stryczka* ten *rycerz, topora* lub *celi* w *turmie. Dzięki* jemu *tyn Walgerzowy* legł w *gruzach.* Zerwany *dach* z *gmachu,* w *ruinach komnaty* i *izby,* rozbite w nich *skrzynie* i *graty,* potłuczone *zegary,* powyrzucane ze *szaf żupice jedwabne* i *manele perłowe* a *zrabowane* w *szale* nie jeno *pieniądze* ze *szkatuł* aleć i *ćwieki* ze *stołów* powyrywano. Jechał *skarżyć* swój *los* i swoją *hańbę królowi Lachów Walgerz, rachował* na *glejt* i *dekret gorazdego władarza.* Tylko u *króla* co jak *anioł berłem* swem *warował szanowania rycerskiego* mógł szukać *ratunku* i *leku* na swą *ruinę,* nie chcieli żebrać.

Wędrowali tedy *Walgerzowi rycerze forytarze* przez

gaje bukowe i *rude miedze*, aż stanęli nad *strumieniem* Wisły, po *brzegach* której *gmin* łowił dla *krotofili wędkami* małe *karpie* i *karasie*. Wsiedli u *brodu* na *tratwy* i przeprawili się na *brzeg* drugi pod *szańce królowego grodu*, *co rej* wiódł między *grodami Lachów*. *Bramą passamonników* wjechali w *gród*.

I *rumor* szedł po *placach*, że wjeżdżają *rycerze*. *Gwarnie* wyległ *gmin* na *rynki celem* zobaczenia Walgerza.

Jechali podle *rotusza*, gdzie pod *budami* w *krobiach* i *misoch* sprzedawały *rajfurki* trześnie, a to w *kadziach ocet* a *wino* a inne *trunki najtrefniejszego gatunku*, ba nawet *rzodkiewek* im a *róż* nie *brakło*.

U *Fary* roiły się *żaki*, czekające pod *tumem* na *prałata* ażby ten wyszedł z *dziekanki* w swej *litej komży* na *nieszpor* czy *mszę*, by *chrzest* dać jednym a *bierzmować* drugich; z *kościoła* słychać było *chóry* z *nut kunsztownym trybem kolendujące*.

Podjeżdżali pod *mury pałacu*. I snać już ich *trafem* spostrzegł *ochmistrz brodaty*, gdyż w tej chwili uderzono *chyżo* w *kotły* na *gankoch* a *trębocze* zagrali *hejnał* na *surmach*.

I t. d.

Klechdy koniec. A na czem żart ten polega? Oto na tem, że w tej staropolskiej gwarze, purystom języka naszego dedykowanej, 98% słów jest pochodzenia cudzoziemskiego!...

